

12/10

12/7-10

№ 2 Feb. IX. 7 b.

Jim B. v. Linn

Nr. Inw. gł.	Nr. Inw.	Dział
1523....	187....	4....

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

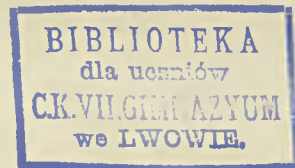
W STÓŚUNKU DO WSPÓŁCZESNEJ EPOKI.

TOM TRZECI.

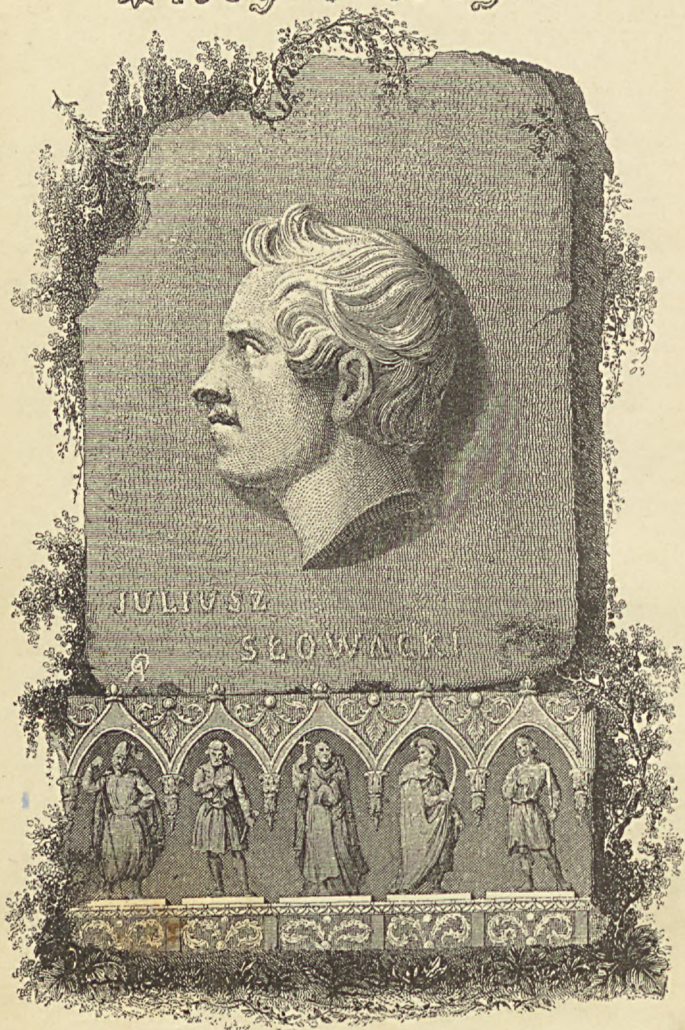
WYDAWNICTWA I KOMISA
KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
WE LWOWIE.

złr. ct.

Abraham Wład. Organizacya kościoła w Polsce do połowy wieku XII. drugie i zwiększone wyd. 1893. (XX., 303 uzupeł. str.) w 8-ce.	3-60
Biliński Dr. Leon. System ekonomii społecznej, I. tom (V, 436 str.) II. tom opracował dr. Stanisław Głabiński, wydanie trzecie w 8-ce, (str. 696 i I—IV). Cena za 2 tomy	10-—
Bielowski Aug. Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski. Tom. III. opracowany przez lwowskich członków komisji historycznej Akademii — Tom IV.	12-— 14-—
— Pomniki dziejowe Polski Tom. V.	15-—
Czołowski Dr. Aleksander. Pomniki dziejowe Lwowa z archiwum miasta cz. I. — Najstarsza księga miejska 1382—1389 — r. 1892.	3-— 3-—
Dublany. Szkoły i zakłady krajowe w Dublinach. (Dzieło wydane przez kolegium profesorów szkoły wyższej z polecenia wydziału krajowego r. 1897.	2-50
Estreicher Dr. Karol. Wincenty Pol, jego młodość i otoczenia (1807—32	2-50
German Ludomil. Henryk Ibsen (studyum) r. 1895	1-80
Głabiński Dr. Stanisław. Wykład nauki skarbowej r. 1895.	5-20
Winlarz Dr. Alojzy. Polskie prawo dziedziczenia kobiet w wiekach średnich, r. 1897	1-20
Bronikowski A. Kazimierz Wielki i Esterka. Moina. Powieści historyczne. 2 tomy — Jan III. i dwór jego. Powieść historyczna 2 tomy	2-12 4-20
Ebers Jerzy. Serapis, romans historyczny 2 tomy	3-20
Edward A. B. Tysiąc mil na falach Nilu. Powieść z angielskiego 2 tomy.	3-40
Kalderon. Życie snem. (La vida es sueno). Dramat dziejący się w Polsce w przekł. J. Szujskiego.	1-50
Łoś hr. Wincenty. Odrębna istota. Powieść współczesna r. 1896.	2-50
— Intrzygantka Powieść r. 1898.	2-—
Sas Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie z lat ubiegłych, 2 tomy.	3-80
Sass Paweł. Pamiętnik znaleziony. Opowiadania historyczne.	2-60
Zieliński Wład. August II. i Aurora Königsmark. Powieść 2 tomy.	2-40
Zacharyasiewicz Jan. Jedna krow. Pomyłka serca. Powieści.	1-80
— Teorya pana Filipa. Obrazek.	2-40



☆ 1809 + 1849



4 Małecku Antoni
Juliusz Słowacki

15
JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSIUNKU DO WSPÓŁCZESNEJ EPOKI

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO

TOM TRZECI

Trzecie poprawne i pomnożone wydanie

L. 962.

BIBLIOTEKA
dla uczniów
CK. VII. GIMNAZJUM
we LWOWIE.

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

1901

Czytelnie



cyf 884(091) Romantyzm

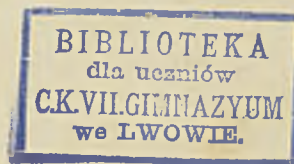
47926

884(091) 1329/438] A/2

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 47926



BGZs 47926



XV.

Rozbiór Lilli Wenedy. — Dany w niej obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowej? Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie przekleństwa, skazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiej jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedii: Derwid — Lelum-Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragizm idei, na której dramat osnuty. Czy jej wielość jest dostateczna? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Sąd o katastrofie dramatu — ogólne uwagi.

Lilla Weneda wyszła z druku wprawdzie po Balladynie, co większa, Balladyna i napisana nawet została kilka lat pierwiej, niżeli Lilla. Pomimo tego, jeżeli chodzi o miejsce w szeregu sześciu owych zamierzonych dramatów, z których się miał złożyć cały cykl legend fantastycznych o najdawniejszej Polsce: to pierwsze miejsce w tym cyklu zajmuje właśnie dramat niniejszy. Daje w nim poeta właśnie sam zawiązek, sam zaród społeczeństwa naszego. Drugiem ogniwem tego łańcucha miał być Krakus, którego Słowacki stawia jako syna Lecha. Dla Balladyny, jako wsuniętej tuż przed czasy Piastowe — więc już po dynastyi Popielów, przypada jedno z miejsc ostatnich, może piąte, lub szóste. Piąte, jeśli miał na-

leżeć do tej całości i »Wallenrod«: ostatnie — jeśli ta kreacja miała zająć miejsce osobne.

W tym stanie rzeczy, jaki obecnie jest, posiadamy tedy tylko sam początek i koniec tej projektowanej seryi legend. Lilla — to nawiązanie, a Balladyna — to dośpiew tej udramatyzowanej Epopei przedbytu.

Główny pomysł Juliusza co do zawiązku narodu naszego i zgadza i nie zgadza się z tradycją przekazaną o tem przez kronikarzy. /Zgadza się z nią w głównej rzeczy — rozmija w szczegółach. Poeta nasz idąc w szczegółowem rozprawianiu odnośnych okoliczności wbrew ich podaniom i po większej części wbrew też rezultatom ostatnich historyków, stworzył jednakże świat, który w sobie ogólną historyczną prawdę zamyka i nie tylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia ostatecznie odpowiada obiegowym wtedy powszechnie o genezie naszej pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie był czemś odrębnem w słowiaństwie: temu i historia nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, może odmiennych czysto słowiańskich stosunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposób mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcej, aniżeli w sobie mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i ówdzie słowiaństwa. Historyczna krytyka nie dawała wtedy pewnej konkluzyi, kiedy i jak te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian osiadłych ponad Gopłem i Wisłą. Lelewel, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotów był prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski wywodził Polan od Daków czyli Traków, zatem z południa. Maciejowski od Swewów, więc z zachodu. Szaj-

nocha od Skandynawów, zatem z północy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzali wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatem ze wschodu.... Te różnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś z zewnątrz wszczęcie latorośli nieco odrębnej w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy pisali jakby na fakt dowiedziony, a tradycja odwieczna o przyjsciu Lecha w te strony, także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historia tradycyjna pojmuje to przybycie nowych żywiołów na ziemię naszą w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższej, organizacyi odrębnej, może też wreszcie nawet i rasy obcej, lecz w taki sposób, że bez wielkiego oporu potrafiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobów i choć nad nimi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczej sama się do nich przystosowała i rozplynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją była miała w sposób gwałtowny wyprzeć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę stosunków przemianę jako podbój, jako krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, co większa, jako bój dwóch całkiem różnych plemion o śmierć prowadzony lub życie w dosłownem słowa tego znaczeniu. Przedstawia przyjscie Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszej tych okolic ludności — na korzyść przybyłej rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historyi i pokonanego plemienia za główny przedmiot tragedyi. Żywioł lechicki, zwycięski, dopiero poczynający tu życie — odgrywa w niej rolę drugorzędną. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli »Wenedów« nadzoplańskich, które po długim i rozgłośnem niegdys

istnieniu w rozległych kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jest to zatem per excellentiam tragedia idei, tragedia narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych.

Sztuka się poczyną samym początkiem najazdu. Widzimy tu wprawdzie od razu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, pierwsze już starcie.

— »Cóż myślisz starcze o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem tej krainy:
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj tymi ludy«¹⁾.

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do pokonanego Derwida, już się poczyną akt pierwszy.

W poprzedzającym akt ten Prologu, którego czas przypada właśnie na chwilę owej bitwy stanowiącej, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś poza sceną: daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że Wenedzi skazani są na zagładę; że cięży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny której upaść i zaginać muszą.

— »Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona — i na wieki
Widzę umarłą«....

— »Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o biada nam, biada!«²⁾ —

Słowa te wypowiadają Róża Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką — i harfiarze, którym

jako kapłanom narodowym, odchyłona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie to zbliżającego się końca ciąży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w tej ostatniej walce z najeźdźcami.... Poeta nie tłumaczy ani powodów ani bliższych okoliczności owego przekleństwa, rzuconego na cały szczepek Wenedów. Można by go tu prawie posądzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tem bardziej zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dramacie mogłoby się zdawać na razie uzasadnionem, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnej nad nimi wyższości. Przeciwnie, jest to rasa jakaś i fizycznie karłowata i duchowo napiętnowana jakimiś oznakami małości, skłonna do nieczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, coby znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwie popełniająca nawet obrzydliwości! Wszakże sam Lech, patrząc na roste ciała, na dumne postawy swoich feńców zakutych w pęta, mówi do żony:

»Gwinono patrzaj, jaki to lud rosty!....
Ja komar — i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w rękę jak cytrynę!....

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie!«¹⁾ —

¹⁾ P. III. 163. ²⁾ P. III. 157 i 159.

¹⁾ P. III. 163.

Zdawałoby się, z tych chępliwych słów wnosząc, że za tę drobnosć zewnętrzną ciała, natura wynagrodziła Lechitów nie tylko tęgością nadzwyczajną sił fizycznych, ale może i mocą duchową, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniej nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju — tę im przyznaje, ale prócz tego — niczego więcej.

O jak rycerze ci są łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.
A choć szychową nie zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć z kłębka — jedni przez lenistwo,
Drudzy, widzący w tem może pożytek
Albo zabawę: i tak oszukani
Fałszu krzewinie rosnać pozwalają!¹⁾

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekkomyślność, jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebnem, że to »lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących« złożony, który, jeżeli ona go w opiekę swoją nie weźmie — przy lada burzy rozpaść się musi.

Na to samo wychodzi, co w swój znowu sposób i przy innej okoliczności o tej rasie wypowiada pocieszny i głupkowaty Śláz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił.

— »Cóż to? Czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,

Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać in »verba magistri« —
Oweczarstwo — czy to wszystko mi do twarzy? —
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą —
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra«¹⁾.

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tem miejscu rzucić nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się później okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły satyrycznie usposobione polskim szlacheicom, rozumiejąc przez wyraz ten nie sam tylko zwykły ogół mniej światłej masy wyższego społeczeństwa naszego....

Lech sam to prototyp powyższych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża — słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru i bez różnicy, wszystkim, lada komu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwie pociesznych niekonsekwencji (naprzykład przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy danej Lilli Wenedzie co do uwolnienia jej ojca, albo też o narażenie się na gniew krzykliwej a tyranizującej go małżonki), Słowem, jest to prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do dramatu wyraził, »praszczur Sobieskiego« — przy silnej ręce, a Molierowskiej w domu słabości. »Kontusz mu

¹⁾ P. III. 195.

¹⁾ P. III. 230.

włożyć i bity czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnący i krwią obłany po szyję. Kon-
tusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje — bez jutra!»

Otóż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wro-
giem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś
fatalizm winićby o to trzeba, gdyby zagłada ich ple-
mienia na korzyść ich najeźdźców, miała rzeczywi-
ście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słu-
szność jest po stronie tych, co bronią swojej oj-
czyzny. Przewagą liczebną także przewyższają We-
nedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego
ich charakteru zmuszają w dramacie często nie tylko
do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert
święty, człowiek obcego pochodzenia, zatem bezstronny,
wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliża-
jącego się i do tych już krajów chrześcijaństwa, oddaje
im świadectwo, »że to był dobry lud, choć nie
chrześcijański«. Dlaczegoż tedy Opatrzność, czy
wreszcie szczęście samo, łaskawszem byćby miało dla
Lecha i jego wojów, którzy równie jak Wenedzi nie
są jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla tej ludności spo-
kojnie mieszkającej u siebie? Jeżeli z tego powodu,
że to pokolenie obarczone przekleństwem: to kto je
niem obarczył? za jakie wykroczenie? przed czym
trybunałem?

Na te wszystkie pytania niema w dziele odpo-
wiedzi gotowej; ale całe przeprowadzenie i osta-
teczna katastrofa tragedii staje za wymowne rozwią-
zanie całej tu poruszonej zagadki. Przekleństwo We-
nedów wynika z nich samych. Jest to tylko symbo-
liczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego
narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowej sile
żywej, tak niezbędnej do istnienia ciałom zbioro-
wym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło
ich przekonanie, że potrafią się oprzeć nawet wro-
gowi, który w stal zakuty od stóp do głowy, poprze-

dzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odzie-
dziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy,
których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom nie-
gdyś tryumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych
dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a po-
zostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brzęków
oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby,
na których budują wszystko, a którym jednak sami
nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku
udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich
w przyszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli
żądać jej i wymóc ją — nawet wbrew wszyst-
kiemu, co onej przeczy. I to jest owo przekleństwo,
dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wyższość Lechitów na tem właśnie polega, że
lubo oni jak się powiedziało, podlegają tylu rozli-
cznym ułomnościom i niedostatom moralnym, lubo
nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają
w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem
od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwia-
zdę swoją i mają serce do boju.

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie
czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy
już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu
Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już po-
została tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta
o losie dzieci i t. p., zmuszona ona jest jednakże
powiedzieć mu i te słowa, nie będące naganą, a tło-
maczące naszą zagadkę:

»Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
(W niebezpieczeństwo«¹⁾).

A Róża Weneda kiedy opowiada swoje widzenie w przededniu walki, mającej ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie innem świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie kilkunastu tysięcy, ale z wybladłemi twarzami, w grobowem milczeniu zajmujących miejsca na przyszlęm pobojuwisku. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju:

•Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem¹⁾.

Powiada, że kiedy chcąc się przekonać, co się dzieje w piersiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszej: to znalazła u jednego, »że w nim serce zbladło i tak trzęsło się, jak liść olchowy«; w piersi drugiego znalazła zamiast serca — kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: — to była pusta! nie było w niej niczego miasto serca. I nie zazierała już dalej wróżka natchniona do sere ludzkich w swoim narodzie, bo już wiedziała wszystko....

Gdzie tak rzeczy się mają, tam i katastrofa gotowa. Gdzie tacy zapaśnicy, tam i wypadek walki z góry wiadomy. Nie byłoby o czem ani z czego i tutaj stworzyć dramatu. Jednakże są jeszcze przynajmniej pojedyncze pomiędzy Wenedami osobistości, które grozę położenia pojmują, nie zapomniały godności narodowej, zachowały choć iskrę wiary w skuteczność swoich poświęceń; które czują ciężar obowią-

zku i mają siłę go dźwigać. Są jeszcze ludzie, którzy jeśli nie więcej, to pragną się bronić, żeby — kiedy trzeba już polec, legnąć przynajmniej bez hańby, i oddać życie nie bez drogiego okupu i odwetu.

Stawmy przed sobą te wybitne charaktery słowiańskie, podtrzymujące akcyę tragedyi.

Oto najprzód Derwid, sędziwy król Wenedów. Znękany to starzec, w wysokim stopniu wyobrażający wszystkie braki swego plemienia, ruina, niemoc uosobiona.... Ale ruina to zdolna wzniecić i w wrogu cześć dla tego, czem była kiedyś. Mąż królewskiego ducha, który się śmierci ani okrucieństw żadnych nie lęka. Walczy — wprawdzie tylko słowami, ale słowami, które wroga prażą jak razy. Ożywia i zapala się — wprawdzie na tylko znikomą zawsze chwilę, żeby po wysileniu takowem opaść z sił w tem bezbronnejszą bierność: ale wiary do harfy swojej, tego symbolu narodowego zbawienia, nie traci nigdy i wzniosł się duchem na wysokość, z której dumnie zapowiada wrogowi, że

.... »po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz blednąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz¹⁾.

Są dalej dwaj synowie jego — tak podobni do siebie, a tak jednak różni usposobieniem. Młodszy Lelum — to poeta, marzyciel, to Kordyan tamtych wieków, serce narodu. Starszy Polelum — to tego narodu oręż, grom, jego siła, która jeszcze zdolnaby była i w czyn rozkwitnąć zbawczy, gdyby to było rzeczą podobną, żeby jeden stanął za wszyst-

¹⁾ P. III 226.

¹⁾ P. III 171.

kich: gdyby jedna latorośl zielona mogła ożywić soki w całym drzewie — zmruszałem!... Lelum-Polelum — te dwie nazwy, dwa wyrazy niezrozumiałe dla dzisiejszej epoki, choć przekazane tradycją, połączył poeta w jeden więc pomysł. Skuł dwóch tych braci jednym łańcuchem, doczepionym jednym końcem do prawej ręki młodszego, drugim do lewej starszego brata. Stawia ich obu jako jednego wodza w tej ostatniej narodowej potrzebie, jako wodza o dwóch głowach, a jednym mieczu i jednej olbrzymiej tarczy. Miecz — dzierży prawa ręka Polelum; tarcza — zdana lewej ręce drugiego brata. Tak oni walczą i giną na stosie. W tem połączeniu dwóch jestestw, przekazują oni po sobie ostatnie wspomnienie pamięci wieków potomnych. Dwa imiona mitologiczne, dołąd prawie śmieszne, a w każdym razie bezmyślne, nabierają więc w dziele obecnem znaczenia. Znaczenie to nie jest bez ubocznego związku i z charakterem narodowym całych naszych dziejów następnych. Dwie głowy — a jedna ręka! Dwa niestety rozумы — a jedno tylko działanie. Nie jestże to rzeczywiście, jak poeta w przedmowie swojej natrąca, wiekowe, tradycyjne »nieszczęście narodu?« Nie jestże to przeznaczenie, nie tylko »przewodniczące tantemu, przez Boga potępionemu ludowi«, ale i owym wojennym spadkobiercom jego krainy, którzy tu dalsze dzieje więcej w jego duchu, niżeli w własnym roznują?

Mamy w dramacie na koniec dwie córki króla Derwida, Różę i Lillę Wenedę. I tutaj uwydatnił Słowacki stanowczy kontrast między temi siostrami. Starsza jest wrózką, kapłanką i oliarnicą swego narodu. Nie tylko powołaniem, ale i usposobieniem wyższa nad pleć swoją niewieścią — może sama jedna w pokoleniu owem całem obdarzona jasnowidzeniem tego, co się dzieje w duchu narodu i na co się w nim zanosi: wystaje Róża Weneda w dramacie, w kolo-

salnych, twardych, ostrych zarysach, po nad wszystkie inne w nim działające figury, i tą surową wielkością duszy zniewala do podziwienia. Na pozór poczyną ona sobie niekiedy jako istota nieczuła, zdolna do krwawych tylko porywów, bez łez i serca dla siostry, dla braci, dla ojca pojmanego w niewolę i powracającego z niej potem z wydartemi oczyma. Zamiast jakby się należało, powitać w tej scenie ten tak późny, tak nieszczęsny powrót rodzica swego do domu: zamiast otoczyć ciemnego starca tem przyjęciem, jakiego się mógł spodziewać ze strony dzieci, a raczej ze strony jedyne go dziecięcia, które nie dziełiło jego niewoli: Róża Weneda sucho i ponuro zagaduje Derwida, dlaczego bez swojej harfy powraca? Derwidowi wprawdzie wiadomo, że od tej harfy zawisło ocalenie Wenedów: wiadomo mu, jakie miejsce w społeczeństwie narodowem starsza córka jego zajmuje: wiadomo mu, że ona czuje za naród cały i że tylko to jedno uczucie serce tej dziewczycy zapełnia. A przecież, w takiej chwili, nie rozumie ni on sam nawet Róży Wenedy. Pojąć tego nie może, żeby na widok wydartych jego oczu, na widok twarzy złanej temi łzami krwawemi, mogła córka jego, kobieta, myśleć jeszcze o czem więcej, jak tylko.... o takim powrocie ojca! I karci, i przeklina prawie to na pozór niedobre dziecko:

— »O gadzino!

Czy ty się z harfy mojej urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? — Gdym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości,
A ty jak kruk«.... itd.

»Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!
O bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścić się za mnie!«¹⁾....

¹⁾ P. III 232 i 233.

Te wyrzuty starca świadczą jednak więcej przeciw Derwidowi samemu, aniżeli przeciwko Róży. Dowodzą, że król Wenedów jest niezdolny — nie potrafiem podzielać, ale nawet rozumieć tego nastroju ducha, do którego w takiej chwili, jak tamta, wzniesłaby się powinna cała ludność zagrożona zagładą, przede wszystkim zaś sam panujący, jako bezpośredni wyobraziciel idei swego narodu. To też bynajmniej się nie miesza kapłanka nasza temi gorzkimi wymówkami rodzica. Czyni co do niej należy z tym samym spokojem duszy, z jakim działała przed przybyciem Derwida; a na jego wyrzekanie i skargi patrzy w milczeniu pełnem boleści, jak na poczynanie sobie człowieka przeżytego i zdzieciniałego, który nie wie co czyni... W innych miejscach daje też poeta wymownie do zrozumienia, że i Róża Weneda ma serce, ale serce do czynów, do walk, do zemsty nareszcie, a nie do łez, które gaszą ogień serdeczny. Jej słowa wyrzeczone do siostry:

»Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy«¹⁾

określają dostatecznie cały charakter tej roli.

Podczas więc kiedy starsza siostra działa w dramacie jak Eschyłowska Eumenida, która »jednym strasznym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swemi nogami«, przydzielił poeta siostrze młodszej, Lilli, właściwości całem niebem tamtej przeciwne. Zamknął w jej piersi uczucia wdzięczne, miękkie, tklive, prawdziwie niewieście — uczucia właśnie w tym stopniu zmuszające do miłościwego współczucia, ile natura tamtej tylko chłodny obudza podziw. Wizerunek ten dziewczycy cichej i łzawej wy-

kończył Juliusz z całą miłością artysty. Wymarzył sobie tę prawdziwą Antygonę słowiańską nad nagrobkiem, gdzieś w Szwajcaryi kiedyś widzianym, ze starożytnego Rzymu jeszcze epoki datującym, który mu teraz stał przed oczyma ducha, jakby był materyalnie obecny. W krótkich ale dziwnie rzetelnych wyrazach skarży się tam jakaś młoda Rzymianka na nielitość Przeznaczenia swojego. »Julia Alpina tu leżę — nieszczęśliwego Ojca nieszczęśliwa córka — bogów awenturyńskich kapłanka. Wyprosić Ojca od śmierci nie mogłam. Nieszczęśliwie umrzeć, w losach jego było. Żyłam lat XXIII«.... Nowsza filologicznego sceptycyzmu krytyka dowiodła niedawno temu, że napis ten grobowy należy do apokryfów. Mniejsza o to! Napis może sobie być podrobiony — pomysł jego nie przestanie dlatego być pomnikiem autentycznej, bo prawdziwej poezji. Z niewielu dat tej lapidarnej kroniki, jak widmo wyziera powieść strasznego jakiegoś zajścia. Żywsza wyobraźnia dosnuć tu sobie potrafi cały poemat poświęcenia i miłości, tragicznie kontrastującej z ciemnym tłem czasów, które pochłonięły tę białą postać dziewczycy, zabitej w swojej wiosnie, tak rychłej. I nasz poeta z tej wymownej, choć w słowa tak skąpej skargi, z tego jęku, właściwie nie nad sobą ale jedynie nad ojcem, wywołał pomysł swojej idealnej Słowianki. Żeby wydobyć na jaw cały urok tej gołębiej duszy, przeciwstawił dziewczęcą jej potulność — spiżowej grozie starszej córki Derwida. Róża jest kapłanką bogów rodzinnych, a Lilla — to już chrześcijanka — to pierwsza nawrócona w Słowiaństwie! Tamta — już z natury surowa, ponura, duchem wyłączna, w sobie samej zamknięta, choć zdolna myślą dźwignąć z posad całe arkanum państwa swojego ojca, to bez zmysłu dla cierpienia jednostek: a ta gibką swoją postacią, jak bluszczu zielonego gałązka.

¹⁾ P. III 160.

zadania swojego szuka jedynie około siebie; z uśmiechem na twarzy, ze łzą miłości w oczach, zawisa białemi ramionami u szyi ojca, braci, siostry co jej w dzieciństwie zastępowała matkę, i tylko na to żyje, żeby umilić, rozjaśnić, szczęściem umaić dni drugich, dopóki można: żeby je okupić śmiercią swoją, gdy tego trzeba. O losy narodu jako ogółu — nie pyta. Przyszłości — nie zna. Przeznaczeń — nie bada. Żyje w obecności — i to jej wystarcza; pragnie szczęścia — dla każdego z osobna. Świat się do niej uśmiecha — poznała miłość, jest zaręczoną: ale ta nadzieja szczęścia na ziemi jednak nie więzi jej do ziemi. Pragnie żyć, lęka się śmierci — a jednak bez wahania niesie życie swoje w ofierze, byleby ocalić tych których kocha, od zguby.

Rzecz jasna, że z pomiędzy wszystkich osób wprowadzonych w ramy dramatu, Lilla Weneda ma najwdzięczniejsze i najrzewniej nastrajające zadanie. Jej rola głównie sobie współczucie widza ujmuje. To też jeżeli która z tych poszczególnych postaci, to ona właśnie mogłaby być nazwaną heroiną tragedii. Rzeczywiście jednakże herosem sztuki naszej jest cały lud Wenedów, o losy którego ostatecznie tu chodzi. W nim głównie poeta uobecniał i uwidomił tragiczność idei, która mu tu dała natchnienie. Niema zaiste rzewniejszego obrazu ani tragiczniejszego widoku, nad konanie szlachetnego narodu, jeżeli na konania tego przyczyny złożyły się i momenta z własnej jego winy wynikłe, nie będące jednak taką skazą na obliczu jego duchowem, żeby sumienie widzów, na ten straszny dramat patrzących, nie miało im mówić, że to sprawa nieboska, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf nie idei, ale przewag tylko doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie z szczęśliwej dla nich okazji.... Takiego to konania tragicznym wizerun-

kiem mieli być w tej kreacyi Wenedzi. Czy nim są? o tem możnaby sądzić różnie. Mnie się zdaje, że obraz rzeczy tej nie jest w dziele naszym zupełny. Autor zaniedbał wykończyć go z tą plastyką artysty i z tą historyzoficzną mądrością myśliciela, jakiejby tu koniecznie było potrzeba. Odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnej Wenedów. A zapomniał skreślić dodatnie, nawet i teraz jeszcze, strony ich charakteru. Przynajmniej nie wyrzeźbił ich z tą wymową skądinąd właściwą jego utworom, iżbyśmy czuć mogli nie tylko całą wagę i całą prawdę, ale i całą ironię skargi, włożonej w usta ostatniego z rodu Wenedów na końcu sztuki. Jest nim Polelum, stojący już na stosie, ażeby umrzeć na grobie swojej ojczyzny. Spieszą ku niemu dwaj spadkobiercy spuścizny pozbawionej swego dziedzica, jak gdyby nieśli ocalenie dla plemienia, które właśnie skonało. Lech woła: stójcie, bo ja przynoszę wam życie! Gwalbert głosi: stójcie, bo ja wam wiarę przynoszę. Wtedyto wypowiada Polelum te słowa tłumaczące całą dążność tragedii, i zarazem stawiające jakoby na piedestalu pomnikowej w dziejach wielkości pokolenie owo, w dramacie pokonane:

— »Boże, patrzaj z nieba

Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego! Patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i uragowiska!«¹⁾....

Widzimy więc, że się tu przyznaje Wenedom uprawnienie do bytu, nawet i w tej jeszcze porze, jedynie w proporcji, czyli względnie i pośrednio, t. j.

¹⁾ P. III 249 i 250.

tylko o tyle, że Lechici w porównaniu z nimi duchowo i fizycznie, w indywidualach swoich i w masie, w rodzinie i poza jej obrębem, wyglądają jak karłowate jakieś i pełne ułomności postaci. Ale własne, dodatnie i wprost przemawiające do wyobraźni zalety społeczności Wenedów, te pozostały poza ramami obrazu, co w każdym razie doniosłość tej kreacyi jako tragedyi osłabia i nie przyczynia się do wydobycia na jaśniejszą istotnego w niej założenia.

Bądź jak bądź, zamiar taki autora jako zamiar dostatecznie jednak z dzieła wyziera i wątpliwości nie podlega, że główna rola spoczywa tu na tym właśnie czynniku. Ponieważ wszakże niepodobno było poecie, z artystycznych przyczyn, rozwinąć akcyi dramatu na tem tle działań i cierpień zbiorowej osoby, jaką jest naród: musiał tedy osobę tę moralną pozostawić w idealnej głębi obrazu, a zapełnić przestrzeń jego konkretną działaniem jednostek, najpełniej i najwybitniej wyobrażających stan ducha swego narodu. Osobami takimi są głównie obie córki Derwida. Starsza działa w miarę charakteru jaki jej przydzielono, przedewszystkiem mając na oku cały ogół narodu. O losy jednostek, chociażby sercu najbliższych, nie pyta. Przygotowuje czyn ostatni Wenedów, przepowiadany z dawna w wróżbach objawionych co prawda w sposób, że i tak i owak, jak wszystkie wróżby na świecie, może być wykładany. Ani się zbytecznie ku ufności skłaniając, boć zna ducha społeczeństwa swojego, ani też nie rozpaczając stanowczo o wszystkim, rozsyła harfarzy swoich na wszystkie pokolenia i zwołuje cały naród do walki. Jeśli ocalenie nie należy jeszcze do rzeczy przechodzących wszelki zakres możliwości, to ona siłą do niego w Wenedach rozbudzi i zmusi ich do odniesienia zwycię-

stwa. Jeżeli zaś jest już rzeczą konieczną, żeby plemię to w własnej swojej dziedzinie przyjęło na się jarzmo obcego służebnictwa i zakończyło dzieło swoje upadkiem: to niechże raczej ginie i skona, byle całe, byle na polu chwały, z orężem w rękę, biorąc do grobu z sobą świadectwo, że uczyniło w obronie swojej, co mogło. Wtedy odwet za to zabicie narodu będzie poruczony przyszłości, choćby najdalszej. Pomsta przyjdzie, choćby ją spłodzić miały zmarłych popioły.... Taka jest rola i taki cel działania Róży Wenedy.

Tragiczność roli tej w tem widna, że chodzi o przeprowadzenie czynu, do którego braknie żywiołów w społeczeństwie. Jest to walka z fatalizmem, przebój żywotności w jednostce z ociężałością i bezduchem ogółu. Na takich sztandarach imię idei niesmiertelnej jest wypisane. To ich prawo. Ale niema komu nieść tych sztandarów. To ich niemoc.

W zupełnie innym kierunku idzie działanie drugiej córki Derwida. Lilla wyobraża żywotność idei słowiańskiej w rodzinie. Jej ideał — szczęście osób najbliższych sercu. Gdyby można było żyć dla ideału tego, nie pytając o to, co się tam dalej dzieje w narodzie: nie wchodziłaby pewnie i nasza bohaterka w żadne zawiąkania z zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale związek między rodziną a społeczeństwem jest nadto ścisły! Po wszystkie wieki iści się owo proste a tak głębokie słowo Wajdeloty, powiedziane o Walterze u Mickiewicza: »Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie«.... To też i w obecnej tragedyi miłość rodzinna prowadzi do-raznie do podjęcia boju na zewnątrz. Jest to bój dziewicy, bój prowadzony o wybawienie tylko trojga pojedynczych osób z niewoli, bój nie na oręż, ale raczej na rozum i na przebiegłość serca, ale zawsze bój

straszny: i kończy się równie tragicznie, jak cała walka Wenedów.

Lilla podejmuje zadanie, wyprosić z jeństwa ojca i braci, których wzięto w niewolę już w pierwszej z Lechitami potyczce.

*Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O pobłogosław ty mi sestro moja
I wy mi starzy ludzie błogosławcie!
Ale nie prosicie Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!
O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie --
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mię siostrą nuniema.
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękiecie jeszcze wyżej lata;
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młoda —
A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny!*

W tych kilku wierszach zawiera się cały przebieg tej roli. Jest to rzeczywiście walka słabej gołąbki z sępami, które tylko uznają rację szponów swoich drapieżnych. Smutna, choć wzniosła walka miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią.... Pomysł tej właśnie części dramatu należy niezawodnie do najcelniejszych jego piękności. Tem bardziej też żałować tego należy, że wcielenie pomysłu tego w szczegóły, że przeprowadzenie rzeczy w pojedynczych ustępach, dalekiem jest od tego, żeby miało zaspakajać pod każdym względem.

Lilla przybywa do Gwinony z zamiarem ujęcia jej sobie pokorą. Przy pomocy Matki Bożej, której za radą Gwalberta ślubuje czystość dziewiczą, spodziewa się Lilla Weneda, że potrafi skłonić nieprzyjaciół do prośby, z jaką przychodzi. Przybywa na nieszczęście za późno. Ukazują jej ojca — już z wyłupionemi oczyma! To ją wprawia w oburzenie najwyższe. Ufna w opiekę Bogarodzicy, która (jak jej to św. Gwalbert zapewnił) za ślub uczyniony czystości stoi po jej stronie, daje nieogłędnie wyraz uczuciu, jakie w niej wre, i zapowiada żonie Lehowej, że ta cała wściekłość przeciwko bezbronnemu jej ojcu okaże się bęzsilną, gdyż potrafi ona go wydrzeć z ręki oprawców, choćby i trzy razy wymyśliła Gwinona dla niego śmierć najokropniejszą.... Gwinona złośliwie bierze dziewczynę za słowo. Przrzeka puścić Derwida na wolność, jeżeli Lilla rzeczywiście tego dokaże, co tak chełpliwie wyrzekła, i potrafi na przekorę wszystkiemu co nastąpi, wybawić trzy razy ojca od śmierci. Z tego wywija się dla Lechitki pochop do wymyślenia po trzykroć najwyrafinowańszych okrucieństw na zagładę oślepionego więźnia, a dla Lilli konieczność trzykrotnego udaremnienia tych usiłowań. Otóż więc w szczegółowym przeprowadzeniu tego założenia, zapelniającem w każdym razie większą połowę sztuki, upatrywać można jakby sprawdzenie własnych słów autora, w przedmowie mimochodem rzuconych o sobie samym, że ile tylko razy przyjdzie mu zetknąć się z rzeczywistemi rzeczami, to opadają mu skrzydła. Wiele nie genialnego pomysłu, środkami artystycznej techniki, w materię zdarzeń i zawikłań pomiędzy ludźmi, to należy w zawodzie poety niewątpliwie do »rzeczywistych rzeczy«. To też w ustępach, w których się powyższego pomysłu szczegółowe przeprowadzenie

mieści, okazuje zdaniem mojem dramat niniejszy najsłabsze swoje strony.

Pierwsze skazanie na śmierć Derwida już samo przez się jest zgoła nieodpowiednie warunkom środków scenicznych. Zawieszają starca na drzewie, za siwe jego włosy, niezbyt wysoko ponad poziom, lecz tak, iż stopami ziemi nie tyka. W tej postawie ma pozostać tak długo, dopóki albo nie umrze, albo przez córkę — bezbronną i bezsilną — nie zostanie wybawiony od śmierci.... Autor sam czuł niepraktyczność artystyczną tego pomysłu, i przeto usunął widok ten, nawet samym oczom nie miły, poza kulisy, a na scenie daje widzieć tylko cień wiszącego Derwida. Niewiele to jednak rzeczy pomaga! Niedosć na tem. Przychodzi do ocalenia starca z tej napowietrznej pozycyi w taki sposób, że jeden z synów jego spowodowany zostaje, wielce problematycznym, bo o sto kroków wymierzonym rzutem ostrego topora, przeciąć tę krótką smugę włosów w odstępnie między głową a gałęzią, na której Derwid zawisł. Myśl tę poddaje sama Lilla Weneda. Rzut się wprawdzie ndaje, ale jakaż to scena okropna!.... Otóż właśnie okoliczność, że rozpaczliwa ta próba była przez Lillę samą poddana, odbiera rzeczy znaczenie, jakiego miała, gdyby to był wymysł pochodzący ze strony udręczonego. A reminiscenye, zawsze w razach podobnych niekorzystne, które się tu mimowolnie nasuwają, reminiscenye mówię z historyi Tella, i zbyt znanej i już nawet spożytkowanej w poczyi (Schiller) — psują do reszty wartość tego ustępu.

Drugi zamach na życie Derwida, udaremniony przez jego córkę (osnowa aktu trzeciego), wkle się w jeszcze gorszych niewłaściwościach. Na rozkaz Gwinony zostaje starzec wrzucony na spód jakiegś

zapadłej wieży, zapelnionej jadowitymi węzami. Ma on tam przez nie zostać pożarty. Lilla dowiedziawszy się o tem, porywa za harfę cudowną ojca swego i biegnie do owej wieży. Równocześnie przysyła też i Matka Boska Gwalberta świętego na ratunek ojca i córki.

»Idź, bo stary Derwid kona!

Córka jego, mój gołąbek,

Z bolu umiera! «¹⁾....

Te słowa usłyszał Gwalbert od objawiającej mu się Bogarodzicy i pospiesza więc Derwidowi na pomoc. Po drodze wyprawia prawdziwie pocieszne a niepotrzebne zupełnie sceny, które go tylko ośmieszają. Niedziw też, że przybywa po czasie. Pomimo tego Derwid jednakże zostaje ocalony¹⁾ Lilla grając na harfie, wywabiła węże z głębi wieży na wierzch do siebie, tak iż stanęły wkrąg koło niej wyprostowane, »jak morska fala wzdęte nad dziewczyną«. A ojciec jej na spodzie wieży, nietknięty, mógł sobie zasnąć spokojnie.

Otóż nie wiedzieć, jak sobie cały ten ustęp tłumaczyć. Jeżeli wybawienie Derwida było dziełem harfy endownej: to na cóż to całe, tak wiele słów kosztujące, a tak niezdarne współdziałanie w tem przedsięwzięciu i Gwalberta świętego? Jeżeli zaś łaską Bogarodzicy rzecz dokonana: to jakież wtedy znaczenie harfy? I czemu też w takim razie nie przychodzi do rzeczywistego uwolnienia starego króla Wenedów? Wtrącają go bowiem zaraz potem do innej wieży, i to wraz z świętym Gwalbertem (!) gdzie obaj głodem zamorzeni być mają...

¹⁾ P. III. 205.

Bądź jak bądź, czy przyjmiemy jedno, czy drugie: zawsze to wyratowanie Derwida okazuje się być aktem cudu jakiegoś. A dramat cudów, zwłaszcza takich, nie znosi. Ustępowi temu braknie na warunkach prawdopodobieństwa. Jest to jakby obrazek ładnie ukoloryzowany, ale bez doskonałości rysunku.

Podobnie nie wytrzymuje krytyki i trzecie wybawienie od śmierci (w akcie czwartym). Gwinona powzięła zamiar zamorzyć tedy więźnia swojego głodem. Dwa dni już upłynęły, i nie wziął Derwid żadnego do ust pokarmu. Przychodzi przed Gwinonę Lilla, z wieńcem białych wodnych lilii na głowie, cała w łzach się rozplývając, pokorna — i otrzymuje pozwolenie widzenia się z ojcem przed tą śmiercią, teraz już nieuchronną. Idzie do więzienia i — nakarmia Derwida owemi liliami, w które była ubrana. Lilie te bowiem można spożywać i służyć one za pokarm ludowi tej okolicy, na czem się nie spostrzegła Gwinona. Owoż wygrany więc i ten trzeci zakład z Lechitką! Podstęp przyodziany w pokorę, zwyciężył nad okrucieństwem. — Przeprowadzenie tego ustępu w dramacie należy do najpiękniejszych partyi.... jeżeliby chodziło o przecudne wiersze i o niezrównane w rzewności swojej słowa (naprzykład cała początkowa scena aktu czwartego). Jeżeli jednak chodzi o coś więcej, jak o słowa i wiersze, to powiedzieć trzeba, że to pozór, że to tylko złuda wybawienia od śmierci, a nie wybawienie istotne. Lilla tu tylko spletała figla, sztuczkę, ale nie więcej. Człowieka skazanego na zamorzenie głodem nakarmić raz: to jeszcze nie jest zabezpieczenie go od śmierci z braku pokarmu! Gdyby Gwinona potrzywać chciała trochę dłużej Derwida w owej ciemnicy podziemnej: coby jemu pomogły owe lilie na raz jeden spożyte?

Do tego tym razem jednakże na szczęście nie przychodzi. Zaszło zdarzenie tymczasem, które okrutną Gwinonę nastraja trochę łagodniej dla tych jej ofiar. Syn jej Lechon został przez Wenedów schwytany i jest trzymany w niewoli. Ażeby go wybawić od śmierci, która mu tam zagraża, i wydobyć na wolność: Gwinona przyznaje Lilli i to więc trzecie zwycięstwo jako szczęśliwie dokonane, wskutek czego Derwid będzie tedy wypuszczony z jej mocy. Ale ażeby się zapewnić co do powrotu swego syna, stawia Gwinona teraz nowy warunek: albo Lilla albo harfa Derwida pozostanie jeszcze w jej rękach — dopóki Lechon żywy i cały nie powróci do domu.... Wielkiej piękności jest ustęp ten dramatu, gdzie się Derwid waha, kogo zostawić Gwinonie: córkę czy harfę? Od tej harfy zawisło ocalenie jego królestwa! Nie wybrać jej, nie przenieść jej nad córkę! to to samo, co zgodzić się na zagładę narodu. A przenieść harfę nad córkę? cóż się stanie w takim razie z najmilszem jego dziecięciem? Znane mu przecież są okrutne tej Skandynawki instynkta! Prześliczne jest miejsce, gdzie się i w sercu Lilli odbywa walka — między życzeniem, ażeby ojciec wybrał harfę, a obawą że usłyszy, iż jest więc przecież coś na ziemi, co dla niego droższe nad Lillę!

Na żądanie Lilli samej, rzecz się kończy na tem, że ona pozostanie w rękach Gwinony! Odprowadzi tylko ojca do domu, a potem dobrowolnie odda się sama w jej ręce — za harfę. Jeżeli wróci z Lechonem, to i harfa i córka zostanie zwrócona Derwidowi. Jeżeli wróci bez Lechona: natenczas — natenczas harfa wróci wprawdzie do rąk króla Wenedów, lecz córka jego podlegnie losowi, jaki jej zemsta matki zabitego syna naznaczy. Ten układ Gwinona i mąż tejże przyjmują. Derwid wraca do swoich. Wypuszczają na wolność i św. Gwalberta.

który (nie wiedzieć właściwie na co) razem z Derwidem był trzymany w więzieniu.

Gdzie się wielkie sprawy ważą między dwiema ostatecznościami, z których żadna w danym razie nie jest sama przez się niepodobieństwem, tam nieraz drobnostka najmniejszej wagi szalę przechyla. Zwyczajnie daje ona przewagę stronie, która i bez tego większe miała nadzieje. Bo komu się już nie wiedzie, na tego się i sam przypadek sprzysięga. Taką to drobną małością między czynnikami naszej tragedyi jest osobistość Ślaza. Chciał w nim poeta, jak w przedmowie nadmieniam, wyobrazić „mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa”. Przyczepił rolę jego do głównej akeyi w sposób nadzwyczaj luźny. Ślaz pełni w ciągu sztuki różne niedorzeczności, ani szkodliwe, ani też nie pomocne niczyjej sprawie. Jaki cel tego? trudno odgadnąć. Chodziło chyba o to, ażeby były ustępy pocieszne i humorem owiane między okropnościami — jedno zapewne z następstw studyów Słowackiego nad dramaturgią hiszpańską. Nie powiem, żeby cała ta rola Ślaza była jedną ze stron szczęśliwych Lilli Wenedy. Owoż zaczepia się działanie tej figury do toku właściwego działania — w istotny sposób — w jedynej tylko scenie. Na nieszczęście przypada to na tę chwilę właśnie stanowiącą! Przed powrotem jeszcze Derwida z niewoli, przychodzi w obozie Wenedów do rozstrzygnięcia o losie Lechona. Na widok podłej bojaźni tego młodego Lechity, wzgardliwie i wspaniałomyślnie zarazem postanawia Róża!... darować mu życie i wypuścić na wolność! Wtem przyprowadzają na scenę Ślaza, który właśnie został pojmany jako szpieg lechicki, za jakiego go uważają. Szpiegiem on wprawdzie nie jest: ale jakże tu tego dowieść Wenedom, że on nie sprzyja Lechitom i że tu nie

przyszedł żeby szpiegować? Ażeby się wydobyć z trudnego położenia, zaczyna Ślaz rozpowiadać kłamliwe wieści. Opisuje (zmyśłone przez siebie) zamordowanie Derwida i Lilli, jako okropności na które patrzył. To doniesienie zmienia pierwotne postanowienie co do losu Lechona. Okrucieństwo Lechitów żąda odwetu: więc Lechon ginie! Zaledwie się to stało: przybywają na scenę Derwid i Lilla — po Lechona, żeby w zamian za niego wydobyć z rąk Gwinony ową harfę, przy której graniu zapowiedziały wróżby ostatnie zwycięstwo Wenedów....

Tak więc samym przypadkiem ostatnie nadzieje Lilli w niwecz obrócone zostały. Co zrobiła dotąd, jest niczem! Widzi się zmuszoną wrócić w moc rozjuszonej Gwinony — po harfę i żeby dotrzymać danego słowa.

Następuje, co musiało w danych okolicznościach nastąpić. Następuje i więcej jeszcze. Gdzie bój między plemionami o śmierć lub życie, tam wszelkie układy z wrogiem tragicznie się kończą zwykły dla tej strony, która w nie wierzy. Taka to wiara — jest w roli Lilli Wenedy, od początku aż do samego końca, jest jej winą, jej obłudem — choć obłudem szlachetnym i wzniosłą winą. To też pokutuje za nią okropnie. Doznaje nie tylko zemsty ale i wiarołomstwa. Gwinona odsyła Derwidowi w cedrowej skrzyni od harfy — za córkę, którą w napadzie wściekłości bezlitośnie zamordowała — nie harfę, ale... ciało zamordowanej....

Wśród najzaciętszego boju, do którego tymczasem wskutek starań Róży Wenedy przyszło, i który się między Wenedami a Lechem, jak było przepowiedziano, odbywa w nocy przy bijących piorunach.... w chwili gdzie szale zwycięstwa, długo chwiejne na obie strony, już zaczynają się chylić na korzyść

Lechitów — w chwili spotęgowanych zatem pragnień Wenedów, żeby usłyszeć cudowne, przepowiedziane głosy z złotej harfy^{*)} królewskiej: przychodzi do owej niezrównanej sceny, w której Derwidowi zamiast harfy — ciało jego Lilli przynoszą. Nie okropniejszego, nie poetycznie prawdziwszego nad ową scenę! Jest to rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do zemsty i życia poruszyć, którą tu gra rozpacz ociemniałego ojca, kładącego ręce na martwym ciele, na złotych włoskach, na zgasłych różyczkach ust tak niewinnie zabitego swego dziecięcia! Takąto pieśń przepowiedziały więc wróżby, jako ostatnie tony, które wydobydzie z cedrowej skrzyni ręka starca oślepionego. Jeżeli czem, to też właśnie tą pieśnią mogliby najdzielniej wskrzesić ducha swego Wenedzi do zwycięstwa, gdyby... gdyby były jeszcze w ich sercu jakie iskry życia i ducha.

Ale życie duchowe plemienia tego należy już do przeszłości, która niepowrotnie minęła. To też widoków, zamiast zgalwanizować nawet trupi organizm, zabija w Wenedach otuchę do reszty. Ustami zaprzysięgają zemstę, ale schylają karki swoje pod miecze, »które ich rąbią, jak trzodę«. Widzenie Róży Wenedy, oglądane dniem wprzód, iści się całkowicie. Cała ludność wytępiona. Jutrzejsze słońce wznijdzie już nad mogiłą narodu. Młody wódz, ostatni z plemienia, staje na stosie i znajduje dobrowolnie koniec w płomieniach. Pozostaje przy życiu sama tylko Róża, wieszczka — jakby uosobienie dziejowej Nemezy, cierpliwie a jednak tęsknie wyczekującej odwetu — od czasów, co przyjdą kiedyś.

*Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.

Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,

Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga!¹⁾

Jak tę zapowiedź przyszłości zamierzał autor rozwiesić i uścić w dalszych dramatach? to bezpośrednio nie jest wiadomem. Pośrednią jednakże odpowiedź na to daje Król-Duch.

— Zdaje mi się, że w powyższem dotknąłem już prawie wszystkich szczegółów, mających istotne znaczenie w składzie tego dramatu. Na zakończenie niech mi będzie wolno dołączyć tu tylko jeszcze jedną ogólną uwagę. Niewątpliwie należy Lilla Weneda do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacyi sprawia w myślącym czytelniku imponujące wrażenie i wytrzymuje porównanie z każdym dziełem pierwszego rzędu. Jeżeli pomimo tego nie śmiałyby z nas żaden pewnie zaliczać tragedyi tej do skończonych arcydzieł: to przyczyna tego w stanowisku poety i w całym sposobie jego poetyckiej praktyki. I w Lilli Wenedzie widzimy się aż zbyt często w tem położeniu, że godząc się na pomysł, nie przystajemy na jego wcielenie; że przyklaskując intencji (którą właściwie tylko odgadujemy), utyskujemy albo nad niedość plastycznem tej intencji przeprowadzeniem albo nad jednostronnem i zbyt jakoś wyłączeniem wypowiedzeniem. Juliusz pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, imaginacją. Jego logiką — nie była rozumowa, refleksyjna, więc prawdziwa logika. Stądto u niego zawsze między ideałem a cielesnem wyrażeniem tegoż ideału — przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkim coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika otwarte wszędzie pole szerokie, granice tego pola niedojrzane okiem cielesnem. Stądto

w płodach jego zawsze jakaś irracjonalność, dla której trudno je przełożyć że tak powiem z języka fantazyi na język myśli, na język zwyczajnej w ścisłym sensie logiki.

Stanowisko, które tu określamy, jest to pojaw doprowadzonej do ostatnich swoich kresów zasady romantyzmu, którego typem najwybitniejszym był w poezyi naszej właśnie Słowacki.

Tak na przykład żadną miarą nie widzi mi się dość świadomie przeprowadzonym pomysł owych harf w rękach Wenedów, które im daje poeta jako ich tradycyjną, plemienną własność, na zasadzie wzmianek o tem w bizantyńskich kronikach. Wnikamy w jego intencję — pojmujemy z niej wiele: ale nie dociekamy wszystkiego, gdyż się rzecz w niektórych scenach gubi w głębinach symboliki — zamkniętej na siedm. pieczęci! Poeta ma tu na oku raz stósunki tamtoczesne, to znowu dzisiejsze stósunki nasze. Przywiązuje do harf to znaczenie poezyi jako najwyższej potęgi w narodzie: to znowu myśl, że to broń mdła i bezsilna przeciw ostrzu i przeciw wadze żelaza! I tu jest prawda. i tam jest prawda: — ale jakże te dwie prawdy wiązać z sobą? Związaćby je można, ale tego nie uczynił poeta.

Przykład jednostronnego i wyłącznego, a zatem ostatecznie fałszywego wcielenia myśli w sobie może prawdziwej, mamy w całej roli owego typu chrześcijańskiej idei, jakim w tej sztuce jest Gwalbert święty. Rola to dziwnie niejasna. W przedmowie czytamy: — »Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawo Chrystusa oliwy zaszczipać na płonkach sosnowych.... Lecz o biada! o losy! — Słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze jeden lud kona z wiarą okropną rozpacz w przyszłość i zemstę. — Gdyby to założenie przeprowa-

dziane było przez dramat w taki sposób, iżby działanie Gwalbertowe takie właśnie w widzach wywoływało wyobrażenia: byłaby to jedna więcej z niepospolitych zalet niniejszego utworu. Ale czy istotnie jest tak oddana Gwalberta rola w Lilli Wenedzie? Zdaje się raczej, jakby tu było autorowi chodziło o odślonienie wszędzie niemocy religii wobec prądu rzeczy dziejowych. Toczą się one swoim torem. Krew się leje — zbrodnie i okrucieństwa mnożą się bez końca — niewinne ofiary padają pod brzemieniem cierpienia. A interwencya religijnej idei przybywa zawsze tak nie w porę, tak bezsilnie, tak na drobiazgi tylko wypływając, a nie dotykając rzeczy ważniejszych — że to na śmieszność zakrawa! Rzekniewście też święty Gwalbert — mimo jasnej aureoli, która jak gdyby był z obrazka zdjęty otacza jego głowę promieniami — odgrywa w dziele tem rolę głównej figury komicznej. (Ślazowi bowiem ani tego zaszczytu przyznać nie można). Jakież to suche i drewniane u niego pojmowanie cierpienia ziemskich ze stanowiska wiary! Jakaż obojętność na mord publiczny narodu, byle tylko religia wyszła przytem nie bez jakiego takiego zysku!.... Czy zaś ta poziomość osobistości świętego Gwalberta spada tylko na indywiduum, czy na ideę, którą wyobraża? — z tego się autor nie spowiada. Chcielibyśmy chętnie wierzyć, że tu chodziło tylko o skreślenie nieudolności osoby! Czy temu jednak możemy wierzyć, patrząc jak rzecz jest w dziele przeprowadzona?')....

¹⁾ Szereg krytycznych ocen „Lilli Wenedy” rozpoczyna artykuł H. Lewestama, umieszczony w „Gazecie polskiej” (Warszawa 1859 nr. 195—6). Następnie w cytowanych już niejednokrotnie książkach M. Bałuckiego i P. Chmielowskiego o kobietach Słowackiego mieszczą się trafne charakterystyki bohaterek tragedyi. Odczyt St. Tarnowskiego o „Lilli Wenedzie” (Poznań 1881) jest piękną oceną estetyczną; wy-

powiedziane w nim poglądy społeczno-narodowe wywołały żywą polemikę w pismach poznańskich. W studyum Nehringa (w zbiorze: *Studia literackie*. Poznań 1884) roztrząśniona jest kwestya historyczności tragedyi. Prace: J. Cybulskiej *Trzej królowie: Edyp, Lear i Derwid* (Świt. Warszawa 1884. Nr. 29 i n.) i dr. H. Monata: *Lilla Weneda J. Słow.* (Mysł. Kraków 1897. Nr. 12 i n.) nie przynoszą żadnych nowych spostrzeżeń.

Nader cenną jest rozprawa dr. W. Hahna: *Geneza Lilli Wenedy* (Lwów 1894); pierwszy pomysł tragedyi odnosi autor do czasów pobytu poety w Veytoux. Wykazuje następnie, że napis na nagrobku Julii Alpinuli wzięty jest z przypisku, umieszczonego w poemacie Byrona: *Wędrowni Child-Harolda*, omawia wreszcie wpływy literackie, wskazując na reminiscencye z Chateaubrianda (*Les Martyrs*), Schillera (*Wilhelm Tell*), Calderona (*El Alcaide di si mismo*) i z *Eddy*«.

Kilka cennych uwag o *«Lilli Wenedzie»* wypowiedział W. Gasztowt w francuskiej swej rozprawie o Słowackim (Paris 1881). Ob. wreszcie artykuł W. Hahna: *Drobne notatki do pism J. Słowackiego* (Prawda, książka dla uczenia A. Świętochowskiego 1899), gdzie autor mówi o *Ślzie i Salmonie* z *Lilli Wenedy*.

XVI.

Druga połowa roku 1842 i następne lata aż do 1847. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się Koła jego zwolenników. — Stosunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niej autora *Przedświtu*. W roku 1842 Słowacki przystępuje do Koła — jego korespondencya z matką i z Krasińskim. — Zerwanie się między nimi przyjacielskich stosunków. — Stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — waśni i utworzenie sobie osobnego Koła.

Nim przystąpię do osoby naszego poety i stosunków jego w ciągu roku 1842: zmuszony jestem w tym rozdziale dotknąć nasamprzód pewnej ubocznej okoliczności, która w czasach owych ważną odgrywała rolę w wychodźstwie polskim, o ile ono gromadziło się w Paryżu. Sprawa ta zrazu poety naszego nie dotyczyła wcale; miała jednak niebawem zwrócić i jego umysł ku sobie, a następnie zadecydować głównie o kierunku dalszego jego życia i działania aż do samego końca.

Mówię o rzeczy niemiłej, bolesnej, upokarzającej — o Towiańszczyźnie¹⁾.

¹⁾ Towianizm posiada dzisiaj swą obszerną literaturę; nader obfity materiał przynosi dzieło p. t. *«Współudział Adama Mickiewicza»* Małeckiego.

W siedm miesięcy po objęciu katedry słowiańskiej przez Mickiewicza, w miesiącu lipcu 1841 r., stawił się przed nim człowiek aż dotąd nikomu prawie w emigracyi nieznany i oświadczył, że przybywa z polecenia Bożego z kraju i ma do niego posłannictwo. Oznajmił mu, że się właśnie oto poczyną nowa era ludzkości; że nadeszły czasy nowej Ewangelii, dni zmiłowania i litości Bożej — przedewszystkiem nad nami, a pośrednio, przez nas, i nad resztą narodów....

Mickiewicz Towiańskiemu uwierzył.... uznał w nim proroka, jeśli nie zbawiciela. Od tej chwili można było uważać doktrynę i sektę Towianizmu za zawiązaną.

Nie mam zamiaru opowiadać tu w wyczerpujący sposób o zdarzeniach tworzących że tak powiem zewnętrzne dzieje tego smutnego w życiu wychodźców naszych ustępu. Chciałbym tu tylko rzucić kilka ogólnych spostrzeżeń o znaczeniu i o naturze Towianizmu, o ile on się odbił na obliczu ówczesnej naszej literatury emigracyjnej. Nie mam wprawdzie bynajmniej roszczeń do nieomylności w sądach moich o Towiańskim i jego apostołskich robotach. Jeżeli w czem, to w tej rzeczy bardzo mylić się mogę. Patrzę bowiem na tę sprawę z oddalenia i co do miejsca i czasu: patrzę na nią może i przez szkła sztuczne, które przeistaczają rzeczywistą barwę przedmiotu. Rozumiem przez to te wszystkie różnych osób broszury, z których, na ich wiarę, czerpać muszę o tem wia-

ca w sprawie Andrzeja Towiańskiego. (T. 1—2) Cała literatura najlepiej jest zebrana w czterotomowej biografii Mickiewicza, napisanej przez syna. (Poznań 1894, t. III i IV.)

Obszerny życiorys Towiańskiego opracował B. Canonico, b. profesor uniwersytecki w Rzymie.

domość. Lecz z drugiej strony mam też tę znowu korzyść po sobie, że nie tylko znam materiały przeciw Towiańszczyźnie, ale i niektóre za nią świadczące, a przynajmniej z niej samej wyszłe. Takimi są właśnie pisma Juliusza Słowackiego, pochodzące z tej doby jego życia, pisma nader rozmaitej treści i formy, nieogłoszone nawet w pośmiertnem wydaniu, a już z powodu samej swojej objętości żadną miarą nieobojętne. Mogę tedy porównywając jedne źródła z drugimi, starać się jeżeli nie o co więcej, to o równowagę, o sprawiedliwość pośrednią. I zdaje mi się, że jestem co do tego punktu w każdym razie dalekim od uprzedzeń stronnicych.

Powiedzmy coś przedewszystkiem o osobie samegoż sekty założyciela. Jedni, t. j. zwolennicy jego, uważali go za postać Bożego, za męża nie tylko działającego w najlepszej wierze, ale i będącego w rzeczywistym posiadaniu objawień udzielanych jemu w nadprzyrodzony sposób od Boga. Drudzy znowu go okrzyknęli za oszusta albo w najlepszym razie za marzyciela na umyśle obłąkanego. — Po którejże tedy stronie jest prawda?

Mnie się zdaje, że właściwie po żadnej. Obłąkanego w zwyczajny sposób umysłu nie był bynajmniej Towiański. Przeciwnie — mądry, przebiegły, wyrachowany to człowiek! Z drugiej strony nie wątpię też i o tem, że co czynił, czynił z przekonania. To go jednak żadną miarą nie oczyszcza od ciężkich przewinień, jakich się — dodaję śmiało: z świadomością względem narodu swego dopuścił.

Bywają czasem pomiędzy ludźmi natury, w których szczerą wiarą i najobłudniejszy podstęp dziwnie się łączą ze sobą ku wzajemnej pomocy. Wyrasza z łacińskiego: *pia fraus* wybornie tę szczególną dwustronność serca ludzkiego wyraża. Człowiek taki chce dobrego i rzeczywiście wierzy najmocniej w to wszystko,

co rozgłasza. — Ale ażeby tem bardziej poprzeć sprawę, na korzyść której wystąpił, ucieka się do sztuczek, i zmyślonymi, świadomie urojonymi szczegółami rzecz uzasadnia. Zdaje mu się, że działać tak nie jest rzeczą niepocziwą: bo wszakże to (wedle jego mniemania) chodzi o prawdy takie, które muszą odnieść zwycięstwo, które się pod każdym warunkiem powinny stać artykułem wiary powszechnej.

Wyznając wprawdzie, że co do mojej osoby, nawet możliwości psychologicznej tego rodzaju wiary nie pojmuję. Bo gdzie wiara prawdziwa, tam też byćby powinna i nieograniczona ufność w siłę i tryumf tej prawdy, którą się głosi. Na cóż jej jeszcze pomocy sztuczne, na podstępnych sposobikach oparte? Prawda Boża kłamstwa ludzkiego na sprzymierzeńca nie potrzebuje, ażeby się stać czynem i ciałem. Z tem wszystkiem tak doświadczenie jak dzieje niezaprzeczenie tego jednak dowodzą, że w każdej religii i w wieku każdym zdarzały i zdarzają się takowe nadzwyczajne zjawiska w świecie psychicznym. Mahomet na przykład był jednym z takich fanatyków kalkulujących. Możliwe i dzisiaj niejednego między nami doszukać się takiego, gdyby się tylko dobrze obejrzeć. Owoż i Andrzej Towiański zdaniem mojem był z tego rodzaju ludzi.

Głównym punktem wyjścia w genezie duchowego jego rozwoju było usposobienie jakieś mistyczne, połączone z wielką pochopnością do marzycielstwa. Młodym jeszcze będąc, jak powiadają, bliskim był zupełnej utraty wzroku. Odgradzony przez czas kalectwa od wrażeń i zetknięć z zewnętrznym światem, zamknięty w wnętrzu własnego tylko jestestwa, a przytem przyciśnięty świadomością, że jest ciężkiem zagrożony nieszczęściem, znalazł on w tym wyjątkowym stanie aż nadto sposobności do rozwinięcia

w sobie tych skłonności do jakiejś ekstatycznej zadumy, które snąć już mu były wrodzone. Później wyzdrowiał. Ale ekscentryczność i wiara w przeróżne przywidzenia chorobliwej wyobraźni, które on nazywał wizjami i seryo za wizye uważał, już się u niego przemieniła w drugą naturę. I powiększała się z laty do tego stopnia, że go w kraju, na Litwie, wielu podobno uważało za człowieka o pomieszanych zmysłach. Nawet podobno z tego powodu miał on czas jakiś przebyć w szpitalu jakimś. Obląkanie jego nie szkodziło wszakże nikomu, to go też niebawem wypuszczono na wolność i nie ograniczano jej w niczem. Zresztą potoczne życie szczególnego tego człowieka niczem się nie różniło od innych. Urzędował sobie, jak drudzy; był regentem przy jakimś sądzie powiatowym na Litwie; później gospodarzył na wsi, we własnej majątności; ożenił się, miał dzieci kilkoro: słowem — był to co do swego zachowania się zewnętrznego, co się zowie »porządny, praktyczny człowiek i obywatel«. Od udziału w wypadkach roku 1831 trzymał się z dala i nie miał zwyczaju mieszania się do żadnej polityki. Jak się wyrażał, miał on ostrzeżenie z góry, od Matki Boskiej, że się te roboty niedobrze skończą. To też nie tylko sam nie należał do niczego, ale i innych starał się powstrzymywać. A jako nie przesadzał więc w zapędach patryotycznych, tak też wolnym był od zbytecznej żarliwości i w rzeczach religijnych. W tej mierze obojętność jego dochodziła nawet do tego stopnia, że przez cały ciąg lat 20 przed przybyciem swem do Paryża, zupełnie podobno zaniedbywał spowiedzi.

Pomimo tego wszystkiego, człowiek ten przez całe życie miał jednak ciągle do czynienia z cudami i widzeniami, a odbierał objawienia, które jak rozumiał, przychodziły mu z nieba. Myśl jego cała za-

jęta była religią; ale nie w taki sposób, ażeby ją wykonywać, lecz ażeby ją poprawić. W tym przedmiocie — w kraju jeszcze będąc, pracował on i rozmyślał bezprzestannie. Czytać musiał bardzo wiele, najrozmaitszych książek, a mianowicie mistycznych. Ks. Semenenko widzi w doktrynie jego wyraźne ślady studyów nad magią i nawet nad kabałą żydowską. Wiele także się podobno zajmował i magnetyzmem. Godzi się wnosić, że przyswoił on sobie znajomość i wyników główniejszych w zakresie niektórych ścisłych umiejętności w ich nowoczesnym rozwoju; choć z drugiej strony widać i to jak na dłoni, że nie jego to pole! Rozumowa i naukowa strona w rozwinięciu ducha Towiańskiego musiała w ogóle być nad wszelkie wyobrażenia zaniedbaną. Podstawy i zdolności naukowej u niego niema. Pojąć coś jasno, wyrazić z precyzją, w trafnych i naturalnych wyrazach — to nie jego rzecz! Słyszał więc o niejednym, co badania umiejętne w ostatnich czasach wykryły, otarł się o jakieś wypadki nauk; ale śnać przyszedł do nich dorywczo i pojął je bałamutnie. Ani zatem nie rozumiał dróg, któremi się w sposób należyty do twierdzeń takich przychodzi, ani też jasno istoty ich nie przenikał. Wiedział jednak, że dzwonili, chociaż nie wiedział, w którym kościele....

Pod wpływem takich tedy okoliczności usunął sobie Towiański, na Litwie jeszcze, rodzaj nowej religii. Nie podejmuję się, jak to wyżej już powiedziałem, odtworzyć wizerunku tego nowego systematu dogmatów. Powiem tylko, że charakterystycznym doktryny Towiańskiego znamieniem zdaje się być w ogóle dążność stworzenia czegoś, coby stało się niejako w pośrodku między tą nauką, którą daje Kościół, a stanowiskiem nowoczesnych rezultatów, a raczej kierunków umiejętności, które pod niejednym względem odstepują od rzeczy w Kościele za pewnik

uznanych. Chodziło mu tedy o zapełnienie tego że tak powiem rozstępu pomiędzy wiarą a wiedzą dzisiejszą, do jakiego pod tym i owym względem w postępie wieków przyszło. Zamierzył zaś tego dokonać łatanym, eklektycznym sposobem. Co mu się podobało z wypadków wiedzy, to brał za pewnik i podnosił do wysokości dogmatu. Resztę zaś nauki odrzucał z pogardą, »jako mądrość świata tego«, jako wymysły »ziemi« i pychy ludzkiej. W takiż sam sposób przebierał i pomiędzy artykułami objawienia chrześcijańskiego. Jedne z nich przyjmował, jak są: drugie wykladał po swojemu i tylko je pod tym zatrzymywał warunkiem; a trzecie — milcząc mądrze i skromnie — usuwał na bok, jakby ich wcale nie było. W taki więc sposób powstało coś, co niby godziło z sobą te dwa odrębne światy pojęć i wyobrażeń duchowych, co miało zastąpić i wiarę i wiedzę, i religię i mądrość świecką; co miało zbliżyć do siebie tak prostaczki jak mistrze świata tego i stawieć ich wszystkich jako zastęp kierowany jednym pocuciem, jedną ideą, jednym popędem — zastęp, przed którym niczem są wszelkie potęgi ziemskie — niezwyciężony, bo milionogłowy, a jeden....

Jeżeli z jednej strony, oceniając dążność tego pomysłu, nie można mu nie przyznać pewnego sensu a nawet godziwego celu: — to z drugiej dziwić się tylko należy nad sposobami, którymi spodziewał się Towiański dokonać swego zamiaru. Bo i cóż to było takiego, co on ludziom w zamian przynosił za to wszystko, co im odbierał?

Spytajmy naprzód: byłaż to wiedza, a raczej, byłże to owoc wiedzy? Byłaż to rzecz, któraby ludziom zastąpiła ich wyrozumowane pewniki? — Bynajmniej! Doktryna jego zbyt była skażona marzycielstwem, żeby obóz, wyłącznie kierujący się myślą, był go mógł przyjąć za swego. W jego mętnej poj-

stawianiu wszystkiego, o czem bądź prawie zaczynał, a bardziej jeszcze w jego arcywiedzącym tłumaczeniu swoich urojeń — obóz ten widział jedynie nieudolność nieuka i jako takiego też go traktował.

A w tym samym znowu stopniu zastęp wiary, hierarchia, Kościół — nie mógł nic innego w nim widzieć, jak chyba tylko sekciarza. Wprawdzie Towiański sam dawał się zawsze za najwierniejszego syna Kościoła. Nie przyznawał się aż do śmierci, żeby w czem zbaczał od tradycyjnej nauki chrześcijańskiej. Z tem wszystkim daremne i tylko wybiegliwe były to zapewnienia! Wątpię, żeby on był sam wierzył temu — bez przenośni i bez tak zwanej restrykcji mentalnej. Księża Zmartwychwstańcy dowiedli mu jak na dłoni, że dogmata jego nie są dogmatami Kościoła. Nauka Towiańskiego potępiona też została przez stolicę apostolską, jako herezya.

Żołtyciel nowej religii nie uznawał wprawdzie tego potępienia i na przekorę temu wszystkiemu, co się stało od czasu jego wystąpienia, ciągle się widział w jedności z Kościołem. Pochodziło to stąd jednakże jedynie, że uważał się względem chrześcijaństwa, jak takowe jest reprezentowanem przez Kościół, w takim stosunku, w jakim się miał Chrystus do starożytnego zakonu. Chrystus nie na to przyszedł, ażeby dawny zakon obalić, lecz ażeby go dopełnić i wytłumaaczyć. Podobnie i Towiański żył w przekonaniu, a raczej urojeniu, że dopełnia i wyklada tylko dawną naukę Kościoła, że ją w swoją doktrynę wciela i podnosi, nie zaś obala ani jej przeczy. Stąd też to zatrzymuje sekta jego wszystkie katolickie symbole, wyrażenia, godła, obrzędy i praktyki; ale im prawie zawsze poddaje nowe znaczenie i wyciska na nich piętna taką pieczęcią, która nie ma żadnej wspólności z katolickim kościołem.

Rozważmy wreszcie, w imię czego czynił to wszystko Towiański? — Na mocy objawienia i posłannictwa, danego sobie z góry. Że zaś chodziło tu o niemniej ani więcej, jak o przeistoczenie tego porządku rzeczy w religii, której założycielem był Chrystus: więc się Towiański stawiał w roli nowego zbawiciela i mesjasza, choć nie miał odwagi nazwać się nim wręcz i otwarcie.

To powiedziawszy o samym Towiańskim i o duchu jego doktryny, spojrzmy teraz na okoliczności, pośród jakich wprowadzona została w życie.

Wystąpienie Towiańskiego jako proroka niedopiero w Paryżu przyszło do skutku. Jeszcze mieszkając na Litwie zaczął on napomykać o swoim objawieniu i posłannictwie. Tu jednakże nieszczególnie mu się wiodło. Udało mu się wprawdzie znaleźć kilku, co w niego uwierzyli i zostali jego uczniami. Należeli do liczby takich malarz Wańkiewicz i doktor Gut, szwagier Towiańskiego. Ci mu też i za granicę w religijnych celach jadącemu towarzyszyli, nie chcąc odstępować już mistrza. Z tem wszystkim grono zwolenników, w kraju jeszcze pozyskanych, było nadzwyczaj szczupłe. Oprócz dwóch powyżej wymienionych i chyba rodziny własnej reformatora, która apostolstwo jego może brała na seryo, nikt więcej podobno w kraju nie dał się wciągnąć w tę sprawę.

Wypadło zatem próbować szczęścia w innych prowincjach, a w najgorszym razie na emigracji. Jakoż wyjechał Towiański z domu podobno około roku 1837 i najpierw się pojawił w Poznaniu. Było tu staraniem jego pozyskać dla sprawy swojej przede wszystkim... głowę całej hierarchii w Księstwie, arcybiskupa Dunina. Lecz arcybiskup po niewielu już konferencyach przeniknął człowieka jako marzyciela, a w każdym razie katolika wątpliwej prawowierności

i wzbronił mu dalszego przystępu do siebie. Trzeba więc było szukać sobie gdzieindziej takiej powagi, pod którejby skrzydłami dały się krzewić z pomysłnością plany ukartowane. Za taką wybrał sobie teraz Towiański generała Skrzyneckiego w Brukseli. Pojechał do niego, zawiązał z nim stosunki i zrazu była wszelka nadzieja dobrego powodzenia, sprawił bowiem pewne wrażenie na generale, kiedy się przed nim opowiedział wysłańcem Bożym do niego! Dla Skrzyneckiego to też napisana była owa »Biesiada«, w której rzucił Towiański ogólny zarys swoich pojęć religijnych, kładąc przez to niejako pierwsze podwaliny do dzieła. W dalszych stosunkach jednakże nabożny i ściśle po katolicku myślący generał przekonał się o bałamutnej dążności całej owej misji nieznanego sobie człowieka i zerwał z nim.

Teraz dopiero przyszła kolej na Mickiewicza. Nie powiodło się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym: może się powiedzie (pomyślał sobie) z największym z polskich poetów. Powaga Mickiewicza naówczas stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Po zajęciu katedry słowiańskiej imię jego nabrało nowego blasku — i miało znaczenie nawet we Francyi. Idźmyż zatem do niego! Zyskajmy sobie Mickiewicza, a wszystko nasze....

W roku 1841 w miesiącu lipcu przestąpił po raz pierwszy Towiański progi mieszkania poety. Tym razem próba powiodła się nad wszelkie spodziewanie!

Zdaje mi się, że kto tylko zastanawiał się nad duchem poezji Mickiewicza i nad jego życiem wewnętrznym, ten się ze mną zgodzi na to, że łączyły się w tym genialnym człowieku jakby dwie zgoła odrębne natury. Zazwyczaj był to mąż głębokiej myśli, trzeźwo poglądujący na rzeczy — organizacya du-

chowa zdrowa, realna, zdolna zdawać sobie świadomą sprawę ze wszystkiego, co tylko czynił; takim go też widzimy w jego listach. Ale Mickiewicz miewał w różnych chwilach żywota swego tajemnicze jakieś podrywy i zachwyty, które go przenosiły w stan taki, że tracił niejako z oczu wszystko, co jest rzeczywistem i wznosił się duchem do ekscentrycznych krain ekstazy. Wtedy nie w sensie retorycznej przenośni, lecz literalnie przestawał być poetą, a był wieszczem; z artysty przeistaczał się w narzędzie poezji, nieświadome tego co czyni. Bywał w razach takich czasem duchem jasnowidzącym, niekiedy.... marzycielem, nie biorącym za nie odpowiedzialności na się.

Tak na przykład »Grażyna«, »Wallenrod«, »Pan Tadeusz« itp. — to były dzieła stworzone w normalnem usposobieniu. »Oda do Młodości«, »Dziady«, a zwłaszcza Dziadów »Część trzecia« — to owoc natchnienia, wyższego nad świadomość artysty.

Co się »Dziadów« tyczy, jest dowiedzionem, przyznanem przez samego poetę, że są tam ustępy, których zupełnego znaczenia on sam nie umiał sobie wyjaśnić.

W podobnie wyjątkowem usposobieniu zostawał Adam od czasu ponownego przybycia swego do Paryża z Lozanny. Zajęcie katedry rozbudziło w nim życie ducha w najwyższej sile. Rehabilitacya że się tak wyrażę i apoteoza napoleońskiej tradycyi i napoleońskiej idei, dopełniona aktem sprowadzenia ciała cesarza z wyspy św. Heleny, na rozkaz samego króla, i to właśnie w czasie, kiedy Mickiewicz miał zająć nowe to stanowisko, rehabilitacya ta mówię sprawy, która u poety naszego stanowiła zawsze artykuł wiary, nie mało się też przyczyniała do nastrojenia jego ducha na jakieś tony mistyczne.

Miewał on w owym czasie przywidzenia, które uważał za widzenia, za objawienia rzeczy, jakich zdaniem jego nie było dano zwyczajnym ludziom oglądać. Te widma ekstatycznej fantazyi tak dalece nabierały w jego oczach znaczenia przedmiotowego bytu, że je poczytywał za kształty, za ciała — nie przez siebie stworzone.

»W miesiącu grudniu (1840), dnia nie pamiętam (tak pisał o sobie sam Mickiewicz w szesnastu miesięcy później do Skrzyneckiego), kiedy oglądałem przygotowania do egzekwii za Napoleona, miałem w dzień biały widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jedno-konnym, w biedzie, po błocie i mgłę; i uczułem że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki. Chciałem go opisać, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy i dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem, nieprędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży i uznałem prawdę widzenia«... (Z listu z dnia 23 marca 1842 r.).

Te same prądy wstrząsały też Mickiewiczem już w chwili owej drugiej improwizacji na wieczorze Januskiewicza ¹⁾.

¹⁾ Z okazji tego wieczoru tak się wyraził Mickiewicz w tymże iście do Skrzyneckiego, który w całości przytoczono w Przeglądzie Poznańskim 1858 r. Tom XXV, półroczcie I, zeszyt 2, a potem w Korespondencji Mickiewicza. Paryż 1880. I. 248:

»W roku przeszłym kilkudziesiąt Polaków dawało mi ucztę. Czułem się w wielkim podniesieniu ducha i powiedziałem im, »że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania i zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeśli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas prawem żywym, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami«... Nie pamiętam, pisze dalej Mickiewicz, słów poczyi (improwizacji), ale ta była ich treść; zaklinałem, żeby ją pa-

W ciągu roku 1841 przyczyniło się do utrzymania Mickiewicza pod ciągłym wpływem mistyki zapadnięcie żony jego w stan najopłakańszy ze wszystkich, jakie tylko dotknąć mogą rodzinę, w stan obłąkania umysłu. Wypadła potrzeba wśród zajęć najboleśniejszych wysłać ją z Paryża na wieś do jakiegoś zakładu chorych — z małą nadzieją, żeby było rzeczą podobną uchylić to nieszczęście w zupełności i na zawsze.

Człowiek przywalony nieszczęściem skłonny jest zawsze wierzyć w cudowność, gdzie tylko się z nią spotyka; a jeżeli kto, to Mickiewicz był prawdziwie nieszczęśliwy w tym czasie. Owoż takito zbieg przypadkowych a dziwnych okoliczności mieć tu należy na względzie, ażeby pojąć, że taki człowiek jak Towiański, był zdolny wyrzeć wpływ na Mickiewicza i podbić ducha jego pod panowanie swoje. Zresztą były prócz tego wszystkiego i inne jeszcze przyczyny, dla których łatwo było Towiańskiemu wkraść się w zaufanie poety. Albowiem zdaje mi się, że nie prawdziwszego, jak co powiedział Krasiński o stósunku dwóch tych ludzi pomiędzy sobą: — »Pan Adam — to olbrzym, Pan Jędrzej — to magnetyzer, co obudził olbrzyma. To zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę śpiącą w łonie mężczyzny zapalają« ¹⁾. — Rzeczywiście! Właściwym twórcą tego, co dziś Towianizmem zowiemy, był to sam raczej Mickiewicz. Doktryną

miękali. Wielu już zapomniało. Kiedy Z. (Zan) Stefan przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił. Ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do tej wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o ks. Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i he-
tmani«... (P. A.)

¹⁾ Listy Z. Krasińskiego do St. Małachowskiego. — List z Rzymu 15 kwietnia 1843 (str. 27).

Towiańskiego — to tylko odbłyśk i udogmatyzowanie tego wszystkiego, co w różnych chwilach w kształcie wichrowych pomysłów jak przelotne iskry przechodziło przez głowę porwanemu prądem natchnienia poecie.

Kiedy się naprzykład czyta »Część trzecią Dziadów«, utyka się co kart kilka na miejscach, które mimowolnie przypominają Towianizm. Tasama tu dziwna niechęć przeciwko wiedzy, zdobytej rzetelną pracą, na korzyść jakichś mistycznych i gotowych skądś pewników; tasama wiara przesadna w siły wewnętrzne pojedynczego człowieka: tasama mesyaniczna ufność w wyjątkową wszechwładzę ludzi, z urodzenia przeznaczonych do władztwa nad resztą społeczeństwa: tasame zachcenia despotycznego zwierzchnictwa w świecie duchowym; tosamo wreszcie przeczuwanie człowieka, który nas przyjdzie zbawić — słowem mesyanizm. Nie brak na miejscach pobnych i w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego.

Owoż przekonaniem jest mojem, że zagłębianie się w znaczeniu takich urywkowych napomknień w dziełach Mickiewicza, niepoślednią czasu swego odgrywać musiało rolę w genezie pomysłów Towiańskiego. Natchnienia Adama jeżeli nie rzuciły pierwszego zarodu w myśli tego marzyciela, to przyczyniły się w każdym razie do znakomitego posunięcia go na drodze, po której szedł. Cały system jego marzeń — było to tedy tylko rozwinięcie i dodać można: spaczony, rozmazany rozwinięcie niektórych wieszczów i mistycznie rzuconych słów Mickiewicza. Pomimo jednak niezręczności w ich powiązaniu, było oczywiście pewne pokrewieństwo wyobrażeń pomiędzy nimi, które wzajemne porozumienie się ułatwiało.

A najwięcej je ułatwiło nakoniec rozmyślnie obliczone podejsście dobrej wiary poety, jakiego się

Towiański zaraz na samym wstępie dopuścił. Użył bowiem wszelkich sztuczek, ażeby go już w pierwszej chwili przekonać, że człowiekiem Bożym jest: że to ów przewidywany dawno przezeń zbawca społeczeństwa przyszedł dom jego nawiedzić.

Przedewszystkiem więc powitał go po staropolsku imieniem Bożem, tak jak to było przepowiedziano w Dziadach:

»Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumanych tłumie,
Szukaj męża, co więcej niżli oni umie:
Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię Boże.
Słuchaj, co powie«....

Potem, w dalszej rozmowie, przeszedł na własną przeszłość poety i wyłożył mu, co w własnych jego dziełach mogło być dla niego niezrozumiałem. Wyrażenie w Dziadach:

»On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę«

zastósował do siebie, boć i on w młodości przez czas jakiś był pozbawiony wzroku. »A imię jego czterdzieści i cztery« wytłómaczył w taki sposób, że znaczy to hufiec złożony się mający z czterdziestu czterech mężów wybranych, który stanie na czele nowej budowy Kościoła i społeczeństwa¹⁾. Wiarę Mickiewi-

¹⁾ Rzeczywiście zaraz potem uformował się zastęp najwyżej w hierarchii Towianizmu położonych zwolenników tej sekty w liczbie czterdziestu czterech. Kiedy w roku 1842 rząd francuski wydał Towiańskiego z Paryża, najzaufańsi uczniowie jego podali do ministra rodzaj protestacji czy też ubolewania swego nad tem rozporządzeniem rządowym, dając świadectwo nieskazitelnym Towiańskiego postępkom przez cały czas bytności jego we Francji. Akt ten, datowany z dnia 7 sierpnia 1842 roku, podpisany jest przez 43 mężczyzn i 2

cza w Napoleonizm zużytkował w taki sposób, że mu oznajmił, iż wcieleniem nowem ducha Napoleona jest on sam właśnie (Towiański); że zatem posłannictwo jego na tem zależy, ażeby dzieło przez cesarza poczęte prowadzić dalej i ostatecznie wykonać. Nakoniec oświadczył, że nie tylko dana mu jest moc żonę jego uzdrowić, ale i wyjawić mu najskrytsze zajścia z jego życia upłynionego. Jakoż opowiedział Mickiewiczowi takie zdarzenia z jego przeszłości, o których (jak się później sam poeta wyraził do Franciszka Szemioty) nie mógł wiedzieć nikt, chyba tylko Bóg jeden.

Co do tej okoliczności, wyjaśniło się później, po śmierci już poety, że się oto tak rzeczy miały. Mickiewicz razu jednego, w młodości jeszcze, rozgadał się był o tych niewiadomych nikomu zajściach swojego życia w zaufaniu przed Odyńcem. Było to wtedy, kiedy wspólnie podróż odbywali po Niemczech i Włoszech. Następnie Odyńiec, do kraju powróciwszy, komuś trzeciemu, czy też może nawet samemu Towiańskiemu, mieszkającemu wtedy jeszcze na Litwie, opowiadał o tem wszystkiem; tak iż nie trzeba było na to żadnego cudu, ażeby to wiedzieć. Mickiewicz w ciągu czasu zapomniał, że kiedyś przed Odyńcem zwierzył się z swoich tajemnic; wziął przeto wiadomość o nich u Towiań-

kobiety. A zatem, gdyby do tych 43 podpisujących doliczyć jeszcze samego Towiańskiego, który oczywiście musiał należeć także do grona przodujących, jako jego najwyższy zwierzchnik, byłaby żądana liczba 44. Kobiety, jak się samo rozumie, stanowiły osobny poczet i dlatego się tu nie liczą. (P. A.)

Kwestyi tej, dotyczącej się liczby 44, poświęcona jest broszurka dr. Er. Krzyszkowskiego: »Czterdzieści i cztery«. (Czerniowce 1888); artykuły w tej materii, które się w ostatnich latach ukazały, znajdującej zestawione w VII tomie Pamiętnika Towarzystwa liter. im A. Mickiewicza.

skiego za rzecz objawioną jemu sposobem nadprzyrodzonym.

Samo nawet uzdrowienie Mickiewiczowej, lubo to jest jedyne zdarzenie w całej tej Towianizmu historii, mające rzetelne pozory cudowności, daleko więcej okazuje ostatecznie w Towiańskim wprawnego psychologa, niż cudotwórcę. Pojechali obydwaj, on i Mickiewicz, do chorej; pomimo oporu lekarzy odebrali ją z zakładu i zabrali ze sobą. Przybywszy do Paryża, kazał jej Towiański w swoim charakterze proroka, jakim był już wtedy znany i przez nią, klęknąć na ziemi, klęczącą zgromił surowo za jakieś grzechy, a potem kazał jej powstać i iść do spowiedzi. Poszła i — powróciła zupełnie uzdrowiona.

Przyczyny obłąkania były snąć tylko psychiczne. Targnąwszy silnie za wyobraźnię, przywrócił jej jednym skinieniem szczęśliwie zastosowaniem tę równowagę umysłu, której jej zwyczajne leki nie zdołały przywrócić.

Takieto więc były okoliczności, skutkiem których obalamucony został zdrowy sens wielkiego naszego poety do tego stopnia, że w Towiańskiego uwierzył. Znając je, dziwić się już nie można, że mógł pisać w kilka miesięcy potem do Skrzynckiego:

»Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tem. Nie wspomnę o drobnych, w młodości rzuconych w świat pieśniach (Romantyczność — Oda do Młodości); późniejsze dzieła, a mianowicie Księgi Pielgrzymstwa i Dziadów część III świadczą, że to, co się dzieje, przeżywałem....

....Widzisz także, że uzdrowienie mojej żony nie było powodem mojej wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowa Andrzeja, który jej nie widział był, ogłosiłem krewnym, że będzie zdrową. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zakłębieniami; bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnem pomieszaniu, w kanikule, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę — wracam dziś z rekolekcji, którą odbyłem u Ks. Jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu P. N. Sakramentu to piszę.... (Z listu z d. 23 marca 1842 r. 1).

Skoro tylko udało się Towiańskiemu mieć Mickiewicza po sobie: dalsze zabiegi nie spotykały już na wszelkie trudności. Osoba Adama dawała dostateczną rękojmię, że co rozgłaszano, nie było ani oszukaństwem ani szaleństwem. A na skłonności już gotowej do poddania się takim wpływom, pomiędzy emigrantami naszymi nie brakowało. Wogóle bowiem wiara jakaś mistyczna we wszystko, co cudowne i tajemnicze, stanowiła jedno z celniejszych znamion społeczeństwa naszego tej generacji, jak się o tem przekonać można, spojrzawszy na literaturę naszą owego czasu. Było to naturalne następstwo położenia narodowego....

Nie będę kreślił obrazu dalszych przebiegów, jakie sprawa ta krok za krokiem przebywała. Poprzestanę na wzmiance, że pierwszymi, których na zwolenników zjednano, byli Sobański i poeta Gó-

recki Antoni. Ten jednakże niezadługo zmiarkował, że rzecz nie jest tak prawdziwemu Kościółowi i jego nauce wierną, jak się to w pierwszej chwili zdawało, i odczepił się od wszelkiej spółki z Towiańskim. W ogóle ludzie silniejszej wiary w duchu ściśle katolickim wyjątkowo chyba przyłączali się do grona, które się zawięzywało. Z tej też przyczyny i Zaleski, choć zagadnięty owym prześlicznym wierszykiem Mickiewicza: »Słowiczku mój« — odpowiedział wprowadzie dumką niby potakującą i ułożoną na tęsamą nutę, ale jednak nie dał im się zwerbować na zwolennika. Inni poeci, śmielszej myśli, niecierpliwi w wyczekiwaniu lepszej przyszłości, jak na przykład Goszczyński, dali się złudzić stanowczym zapowiadaniami bliskich zdarzeń cudownych. Z wojskowych przyłączył się najwcześniej i najgorliwiej do Towiańskiego pułkownik Rożycki. Reszta adeptów rekrutowała się najwięcej pomiędzy Litwinami, ci bowiem i skłonnością swoją do mistycyzmu i stosunkami osobistymi najwięcej byli zbliżeni do Mickiewicza. W przeciągu roku, od chwili pierwszego pojawienia się Towiańskiego w Paryżu aż do czasu, gdzie go z Francji policja paryska wydalila, uformowała się przeto gromadka dość liczna Towiańszczyków, jak ich już odtąd nazywano.



Teraz zwróćmy uwagę naszą na Słowackiego i obaczmy, jaki był jego stosunek do tego wszystkiego, co się wtedy działo wśród emigracji.

Samotne i nieraz przykrości pełne życie jego w Paryżu, usposobienie z natury melancholijne, tęsknota do kraju, wrodzony pociąg do wszystkiego co ekscentryczne — wszystko to mogło z góry wznieszać żywą obawę, żeby się ta zaraza nie cze-

1) Korespondencya A. Mickiewicza. Paryż 1880. I. 248—9.

piła i jego ducha. Szczęśliwym trafem było wszelako coś, co go na czas jakiś zabezpieczało od tego niebezpieczeństwa. Tą prezerwatywą były niesnaski

Mickiewiczem! Sama ta niechęć wystarczała, żeby nie dać Juliuszowi widzieć w złudnem świetle roboty, w której tamten był ostatecznie głównym czynnikiem. To też przez przeciąg czasu dość długi nie widać w listach jego ani śladu, żeby był miał przywiązywać jakiekolwiek znaczenie do tych cudów i prorostw, tyle wtedy sprawiających wrzawy między Towiańszczykami. Przeciwnie, usposobienie jego było wówczas więcej towarzyskie i światowe, niż kiedykolwiek.

....»Ja, co dawniej lubiłem samotne wieczory (donośli w liście do matki z d. 16 maja r. 1842), teraz już sam wysiedzieć nie mogę; nuda mnie ogarnia — nie wystarcza mi sobie wieczorami, jak dawniej, kiedy w świeczce mojej paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe«....

....»Posłałem Ci moje wizerunki — twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiedz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancją, jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się, żeby mię zwykłe memu zajęciu się zaniedbanie nie owładało. Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, który mi oszczędza niepotrzebnych wydatków. Najczęściej chodzę czarno, z małymi wyjątkami w szarawarkach lub kamizelce, nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą.... Zawsze tak staram się być ubrany, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie; a nigdy tak, aby widziano, żem się wystroił umyślnie. Taka jest moja polityka co do ubioru. — Nie jestem wcale tłustszy niż byłem; ale jestem zupełnie weselszy. Jakby po walce z ludźmi odbytej, używam pewnej spokojności i to mi się w uśmiechu maluje; przez długi czas z zaciśniętymi zębami i z ponurem czołem gotowa-

łem się do życia: teraz żyję.... Muszę Ci także wyznać, że może tracę więcej, niżby należało. Ale cóż robić?« itd. ¹⁾).

W tymże samym prawie czasie musiał Słowacki pisać coś o Towiańskim do Krasińskiego. Listu tego wprawdzie nie mamy, ale z odpowiedzi Krasińskiego, znalezionej między papierami Juliusza, można sobie utworzyć wyobrażenie, o co mniej więcej mógł być Zygmunt zapytywany. Odpowiedź rzeczona zasługuje na przytoczenie. Była pisana dnia 27 października 1841 roku z Monachium.

»Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie — w cudotwórców prawie nigdy; nie znam zaś próżności próżniejszej nad tę, która siebie uważa za konduktorę płynu cudów. Nie pochodziż to nieco z tej urzędo-namiętności, tyle zawsze burmistrzującej w naszych sercach? — W Piśmie — księga proroków następuje po księdze królewskiej; w dziejach bieżących to samo się objawiło: w sferze nibyto widomej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt — nazwa miasto rzeczy — blichtr miasto istoty — słowem królewskość; w sferze niewidomej, w kościele, poezyi — awansowano na proroków. Jest to także stopień — *dignitas*. I znowu tu, jak tam, tytuł wprost rzecz samą skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści — wyniknęła komiczność! — Co za wiek, Julu! — co za świat! — co za kolej zgubna, porywająca wszystkich do otchłani — nie Dantejskiej, ale stokroć głębszej, bo stokroć dalszej od zmartwychwstań nieba; chcę mówić — do otchłani śmieśszności! — Za dni moich widziałem dzieci — ponure — dzikie — jeszcze ssące pierś mamki, a już cytujące wiersze byrońskie i piszące usteczkami pełnemi mleka: »To pioletu!« — Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, woła-

¹⁾ L. II. 156—7.

jące Boga na usprawiedliwienie się przed niemi, jak Hiob niegdyś — jak Faust później — i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapęnlających serca ludzi imieniem swoim — a potem idących na starość do św. Pelagii i głupstwa, brednie, próżnostki same drukujących! — orłów, co w słońce patrzyli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczk. — Widziałem za dni moich, acz nie długich — zbłąźnienie wszystkiego — i zaczyna mi smętno być w duchu. Tem się jedynie pocieszam, że zda mi się, doszedł ukrytej sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnej niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki: tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy: kiedy duma wbrew przeciwnie jest wieczną żądzą chwały, lecz zapomocą olbrzymiego trudu. — Kto dumny, ten i pokorny zarazem — a duma, połączona z pokorą, stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory — to próżność, pokora bez dumy — to podłość. — Na pozór tylko sprzeczne to władze duszy — a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może!«

....»Teraz mój drogi Julu, o Tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości, unikać wszelkiej — nie zapadaj w niemoc, bo niemoc nie jest pokorą — ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić — bo takie przekonanie nie jest dumą. — Bądź dumny a pokorny! — Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym — lub przed wszechświata pięknoscia, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje«

....»Ty wiesz, że Cię kochał zawsze — Ty wiesz, że Cię kocham — może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę¹⁾.

Pomimo takich ostróg, zejść jednak musiała już w ciągu miesiąca lipca następnego roku (1842) w Słowackim stanowcza zmiana....

Nie umiem opowiedzieć, jakie w szczególności zdarzenie dało do tego powód¹⁾, że się zbliżył do niego Towiański, czy też on do Towiańskiego. Dość że od owego czasu począwszy, usposobienie naszego poety, co tylko jeszcze tyle światowe, zmieniło się zupełnie, a sądy jego o tem wszystkim, co się działo około Mickiewicza, ustąpiły miejsca zgoła innym wyobrażeniom. Pierwszym objawem tego zwrotu w pojęciach był list pisany do matki dnia 2 sierpnia (1842), zawierający ustępy, do których nie podobnego dawniej nigdy nie pisał.

....»Co do mnie, wiele nadziei zwiędłych Boża miłość i łaska ożywiła we mnie, już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mnie krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy — zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nademną. Wszystko to podobnem jest do snu i do marzenia, i wyłómaczonem być nie może«

....»Świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg zupełnie zniknął z oczu moich, bo cóż z niego można wydobyć? Jest to próżny teatr dla igrających myśli — dla słów ulotnych: a mnie trzeba dziś być wewnątrznie człowiekiem — ile można, doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić²⁾....

¹⁾ Dnia 12 lipca 1842 Ludwik Nabelak przedstawił Towiańskiemu Słowackiego, który przystąpił do zorganizowanego już koła Towiańczyków; 30 lipca t. r. ukazał się w „Dzienniku narodowym“ (nr. 70) ów znamienny wiersz Juliusza: Tak mi Boże dopomóż.

²⁾ L. II. 158—9. — Jak wiadomo, Towiańscy żyli w nadziei, że chwila ich powrotu do kraju już niedaleka. Dlatego i Słowacki tylko jeszcze ową zimę miał przepędzić w Paryżu. Zmienił więc

W następnych listach, co miesiąca już teraz pisywanych do matki i do Januszeuwskich (wuj Juliusza wrócił z wygnania właśnie pod koniec roku 1842), coraz więcej znajdowało się już takich zwierzeń mistycznych. Przerażały one matkę poety. Wieści o zawiązaniu sekty Towiańszczyków doszły były tymczasem aż na Wołyni i niemało w całym kraju obudzały zdumienia. Pani Bécu nie pojmowała tego stanu, jaki wiał z tajemniczych wyrazów, kreslonych ręką jej syna. Kiedy to wszystko, co jej teraz pisał o sobie, porównywała z doniesieniami, które zaledwie trzy lub cztery miesiące pierwej otrzymywała jeszcze z rąk jego, a w których aż do dziwnej jak na poetę drobiazgowości posuwała się czasem Słowacki w opisywaniu naprzykład swego ubioru, swojej predylekcyi do bucików lakierowanych, do »żółto-błado-białych« rękawiczek, których jedynie jak powiada używał i t. d., to ta sprzeczność między jej synem ówczesnym a obecnym taka była uderzająca i nagła, że matka w głowę zachodziła rozmyślając, coby to wszystko znaczyło. Zapytywała go z boleścią, z niedowierzaniem, z nieśmiałością, czyby i on miał także należeć »do tych jasnowidzących?« Badała go, czy nie zamyśla zostać księdzem? czy zaszło co nadzwyczajnego w jego położeniu zewnętrznem? czy go nie spotkały jakie straty? czy mu nie grozi coś, co go trwoży? czy zdrow? »czy mu czoło nie pała?« dlaczego listy jego takie niezrozumiałe?...

Przypuszczenia takowe drażniły i zasmucały Juliusza. Oto, co jej odpowiadał na takie zapytania:

swoje mieszkanie roczne na tymczasowe i zamieszkał wtedy *rue Pontieu* Nr. 30. (P. A.)

....»Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi na mój dawny list z trwogą i z pewnem niedowierzaniem, myśląc że ja się jasnowidzącym oddałem i w sny ich uwierzyłem. Nigdy nie byłem tak nisko, żeby mię lada kto mógł wziąć za głowę.... ale drgnięciu wewnętrznemu ducha Bożego uwierzyłem, i słowom prostym a Bożym dałem się przekonać. — »Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać się nowej a wielkiej pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają nas wynajdując różne fałszywe i stawiają nam różne przeszkody. Wiele więc może próżnych echi dojdzie do Ciebie. Więc jeżeli mi nie uwierzysz: będziesz się smuciła, myśląc, że ja się zaparłem rozumem mego i zszedłem z drogi, na której mnie witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują; ale ja wiem, że mię Bóg nie opuści; bo ja także nie opuściłem żadnej pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niej, i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcej wewnątrz najczystszej czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie¹⁾ i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje....

»Przebacz więc najmilsza, że tak piszę; ale wiedz, że piszę po spowiedzi i po przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył; bo rozumni wypędzają (nas) z domu świętego, oskarżając o walenie tegoż domu przedtem i teraz, a boją się o siebie i nie wiedzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie prawdziwe w czystości i pokorze.... (Z listu z d. 17/29 listopada 1842 r.).

....»Są położenia, że trzeba z miłości własnej zrobić ofiarę, t. j. nie ukrywać się z nieczem i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osą-

¹⁾ Mówi to o ojcu swoim Euzebiuszu Słowackim. (P. A.)

dzą, nazwą ją złością lub zazdrością. Otóż dokompletowałem siebie czynem, to jest spotkawszy mego przeciwnika (Mickiewicza) na wyższym stanowisku, podniesionego ku prawdzie prawdziwie Bożej, już nie w jezuityzmie — podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem, — jesteśmy — ja i on i jeszcze trzeci¹⁾.... równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie. Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozłoczone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne. Nie miej więc, o droga! żadnej bojaźni o mnie; bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem a nikt mię nienawidzić nie może, bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem, i muszą to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcej moich słów nie słyszeli«.... (Z listu z d. 18 stycznia 1843 r.).

....»Nie tracąc chwili odpisuję, abym Cię wyprowadził z trwogi i uspokoił; bo pojmuję, ile Cię taki straszny domysł zatrwącać musi. Nie, nie zostanę nigdy księdzem! Onito Faryzeusze miłość udający, obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę małą i pełną fałszów, po której tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło«... itd. (D. 18 marca 1843 r.²⁾).

Wstrzymuję się od wypisywania miejsc takich więcej. We wszystkich listach ich pełno. Na-

¹⁾ Mowa tu o Sewerynie Goszczyńskim. O przyjaźni jego ze Słowackim posiadamy nader sumienną rozprawę Zyg. Wasilewskiego: «Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim». 1839—1849. (Biblioteka warszawska 1895 I, 385—408). Jeden list Słowackiego do Goszczyńskiego i Ern. Rutkowskiego, pisany w sprawie protestu, zaniesionego przez nich przeciw wyjazdowi Mickiewicza do Rzymu, wydrukował L. Męyet w artykule: Listy nieznane J. Słow. (Biblioteka warsz. 1896 I, 311—315); inne listy poety do Goszczyńskiego z r. 1844, publikowano w «Tygodniku», dodatku literackim do «Kuryera lwowskiego» (1894, nr. 9).

²⁾ L. II. 167; 171—2; 173.

tomiaś staję się korespondencya Słowackiego od tego czasu nad wszelki opis ubogą w szczegóły o życiu jego potocznem i zewnętrznem. Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Nie go już na nim nie zajmowało. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie około pojęcia Boga, Ojczyzny, przyszłości rodu ludzkiego, słowem około zagadnień doktryny; i nie było nic ważniejszego dla niego, o czemby matce donosił, jak ten ciągły rozbiór tych niewielu mistycznych pojęć, około których się cały Towianizm kręci. Przytem ją jednak ciągle zapewniał, że się czuje bardzo szczęśliwym.

»Nie odmieniło się nic w wewnętrznem życiu moim oprócz smutku, który gdzieś uleciał i wpuścił więcej niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota, mniej zachceń ziemskich, a więcej prawdziwej żądzy dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcej mocy, tak że mnie ludzie zaledwo poznają.... Widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońce i tęczę prawdziwych, i ta mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata«.... (Z listu z d. 18 marca 1843 r.¹⁾).

Czasem matka czyniła mu wyrzuty, że ją samemi tylko zbywa rozumowaniami, a nie rzeczywistego nigdy nie donosi o sobie. W takim razie odpisywał jej, jak na przykład d. 12 sierpnia 1844 r.:

....»Dlaczego Ty droga chcesz odemnie szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy: odpowiedziałbym w takim sposobie, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, niedostaje. Albowiem jeśli szczęściem jest

¹⁾ L. II. 174—5.

zabawa — tej ja nie znam; jeśli pieniądze — tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniej niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd akis i uczucie upokorzenia. Gdybym Ci opisał drogą, życie moje zewnętrzne, Ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu mojem.... możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że Ci dziecko Twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli Ty prawdziwie szczęścia mego żądasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, że jestem pełen jakiejś wewnętrznej radości, która się czasem aż w głosie moim, tonem śpiewu przebija — jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrachu śmiejące się, bo pewne opieki. — Pytasz mnie drogą, czy jadłem wielkie święcone? A ja Cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potem głośno mówią: daliśmy jadła i sładz nasi pożarli je.... Albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem, upoiwszy je z palących kielichów — i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takim jadłem wiązać ludzi, aby więcej nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi. Dla wiadomości Twojej jednak powiem, że i na tamtem święconem byłem, ale smutny aż do śmierci, widząc że przeszłość jadła, aby żyła¹⁾....

W ciągu tego samego czasu korespondował też Słowacki, jako już Towiańskiego zwolennik, i z Kra-

sińskim²⁾. Widocznie było gorącym życzeniem jego, aby dla sprawy nowej doktryny pozyskać tę potęgę duchową. W listach tych znajdują się wydatniejsze, aniżeli w korespondencji do matki, zarysy tego jak on sobie słowa Towiańskiego tłumaczył. Jest to zatem jedno z ważniejszych źródeł do wyrozumienia, o co ostatecznie Towiańczykom chodziło. Źródeł takich bardzo mało pozostało. Im więcej bowiem osoby poza tą sektą będące, były pochopne do rozgłaszania rozmaitych wieści o zajściach, które się wewnątrz Koła jej działy: tem uporczywsza była niechęć w tych ostatnich powierzania drukowi jakichkolwiek wiadomości o wewnętrznych tegoż Koła stosunkach albo wierzeniach. Jak wiadomo, Biesiada, albo raczej dwie Biesiady — jest bowiem jedna z roku 1841 (dla Skrzyneckiego pisana), a druga ogłoszona 1845 r. p. t. »Biesiada z bratem Karolem« (Rozyckim) — stanowią jak dotąd jedyne drukiem rozpowszechnione dokumenta Towianizmu, wydane z samego łona tej szkoły. I z tych atoli dokumentów, choć były ułożone przez samego Towiańskiego, został jeden, t. j. owa Biesiada wcześniejsza, w następnych latach o tyle unieważnionym i niejako odwołanym, że Towiański przeciwnikom swoim oświadczył, iż ją pisał jedynie dla wyż wymienionej osoby, a nie dla wszystkich — i w celu, żeby mu ją ustnym dopiero wykładem własnym uzupełnić, nie zaś żeby każdemu służyło prawo wysnuwania z niej wniosków własnych.

Choćby zatem z tego już tylko powodu, że to nowy a autentyczny materiał do wewnętrznych dziejów tej sekty, poczytuję za stosowne przytoczyć tu kilka wyjątków z rzeczzonej, skądinąd nieco monotonnej korespondencji.

¹⁾ L. 205—6.

²⁾ Ob. rozprawę A. Mazanowskiego: »Wzajemne stosunki Słowackiego z Krasińskim«. (Tyg. illustr. Warszawa, 1899 nr. 344 do 352).

W pierwszym tedy z listów pisanych w tej epoce do Krasińskiego (d. 14 grudnia 1842 r.) — tak się Słowacki odezwał:

.... »Otóż wiedz, że jest człowiek, który rozwiązuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony — wpajając w nie królewskość mocy — łącząc z Bogiem, a to wszystko prostą, ożywczą, Bożą siłą — jednym słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności Bożej.... A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gotowi, przyjmą ją — a ci, na których czas nie przyszedł, odrzucają — a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienia i serec do krwi rozdarte!... Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat naszego Kopernika.... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stanęło: a on już sam w obserwatorium swoim od lunet i teleskopów dowiedziałyby się reszty. Ale gdybyś Ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli Bożej wszystko i wszystko odtworzył na nowo, z prostotą pastuszą i z polamowaną w sobie ludzkością: — wziąłbyś go pewnie za Pana i za przewodnika«....

.... »Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrag Ciebie stoją, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam i przyjść nam z legionem twórczo-duchów w pomoc. Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, i ja choć już wśród was bez życia i ruchu — będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nademną«....

.... »Poganizm cały krzyczy i jeszcze występuje do walki. Palcem posągowym pokazuje wszędy formy swoje — zastania się niemi i terazniejszej chwili tyłowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął; ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litosnym panem, że jego Dyany były mi kochankami, a jego trwałość — prawie

wiecznością.... Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym a nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historia. W Anhellim ją na końcu przeczułem i oprócz Anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszystko się sprawdziło«¹⁾....

Na to zagadnięcie niezwłocznie nastąpiła odpowiedź. Odpowiedzi tej między listami wprawdzie nie znaleziono. Z pierwszych słów atoli drugiego listu, który zaraz potem napisał Słowacki do Krasińskiego, daje się wnosić, że odpis Zygmunta ułożony być musiał jakoś dyplomatycznie, ani nie przecząc, ani nie potakując.

Początek rzeczzonego listu Juliusza jest taki:

»Kochany mój! Twój list apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele — jak różycą różnokolorową, przez którą patrzy słońce — ale rozświetlone, niepewne! Odgadłeś kilka kształtów: i w wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedyś mu o liście Twoim mówił, widziałem że mistrz taksamo tłumaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami!.... Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czy nie oną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie«?....

W dalszym ciągu napotykamy jeszcze jeden ustęp godny zastanowienia:

¹⁾ Listy Słow. Lwów, 1883 II. 241. List ten cały był najprzód ogłoszony w „Warcie“. (Poznań, 1878. Nr. 264 str. 2812).

²⁾ To miejsce służyłoby mogło pod pewnym względem za komentarz do tego ustępu Króla-Ducha, który jest dany w rapsodzie I-szym pieśni I-szej strofie 17. (Pisma pośm. II 179). (P. A.)

....»Każdego z nas inaczej uderzyło Mistrza słowo i z innej struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokornem kole braci układa do harmonii. Co do mnie, najmocniej mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jest jedno. — Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli Bożej na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. — Praca więc powinna się zacząć od nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc uczucia — zlewać je — spiorunować w sercu: a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. — Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczy — niech przemówi do Ciebie twarzą pogodną, wnętrznem uczuciem siły nieśmiertelnej, mocą magnetyczną wyższości prawdziwej: — a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch, z Boga wetchnięty w organizację, ma misję Bożą, to jest przebiecie się przez materię, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty — aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! — Uczucie to skończonej, wypełnionej misji zaczyna nową drogę ducha, wyłanianego już z materii, uwolnionego z organizacji. — Wierzmy więc w niedopełnioną pracę ducha i w łańcuch żywotów, które podług tej skazówki wyduchowania się uważane, są Ewangelią dowiedzione. — Wierzmy w narodowość, to jest w solidarne misje duchów powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością; a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktownem uczuciem tej odpowiedzialności; a poświęcenie się za nią nie jest szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym, tak jak to materialne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny. — Wierzmy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się duchem odpowiedzialni za ducha. — A tak utworzywszy sobie świat wewnętrzny i zrozumiałwszy go, stworzył się nam szereg cnót

nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesjonatach nie były słyszane....

»Wszystko to jest proste i nie do rozumu Twojego, ale do serca Twojego pisane. Lecz powiedzże, czy sercom nie trzeba było takiej wiary? takiej religii? — Czy ta myśl, że duch — już skończywszy misję i rozwiązany z organizacji — jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze pozostałe w pracy, nie tworzy Ci najnudniejszej kolumny świętych pańskich, którzy muszą podszeptywać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby wypełnienie misji narodowych przyspieszyły?... Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonią między duchowymi pracami a boleściami ciał, które są chłostą niby Bożą i przymusem i nauką duchów. Jednej plagi, jednej choroby niema przysłanej na próżno. Narody wydają się jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. Historia, ta męka ciał, staje się nauką duchów; wszystko się wyjaśnia: Bóg się pokazuje z każdej mgły, z każdej chmury. Taka więc jest ta metempsychoza, o którą nas księża katolicy oskarżają«.

(List ten, długi bardzo, datowany jest z dnia 17 stycznia 1843 r.¹⁾).

Teraz dopiero nastąpił odpis (z Rzymu dnia 26 stycznia 1843), o którego treści można dać bliższą wiadomość, jest to bowiem jeden z owych listów dziesięciu. Co w nim szczególnie uderza, to jakaś dziwna wyrozumiałość Krasińskiego na obłąkanie całego tego grona w Paryżu, chociaż je był rokiem pierwszej z takim oburzeniem potępił.

Oto kilka ustępów z rzeczowej odpowiedzi:

¹⁾ List ten cały został potem oddrukowany w „Warcie” (Poznań, 1879 nr. 265 str. 2819), a następnie w Listach Słow. Lwów, 1883 II 243—8.

....»Czemuż się tak żegnasz na wieki z pięknoscią pogańską? Czemu myślisz, że nieśmiertelna umrzeć potrafi? — W arcydziele Pana nie ginie, wszystko coraz żywiej żywie, wznosi się i wzmacnia! Nowa, pełniejsza od wszystkich poprzednich poczyną się epoka. Nazwieszli ją królestwem Bożem, czy przyjściem Ducha św., czy jeszcze inaczej: — to pewna, że ona być musi epoką nieznana dotąd — życia czyli czynu! Czyn albowiem, rzeczywistość, życie — to cel, ku któremu ostatecznie wszelkie poprzednie przygotowanie się garnie. Natura stapała ku człowiekowi — historia stapa ku ludzkości. Dwie sfery przygotowawcze przebiegliśmy dotąd; każda z nich wzięła na się rozwinięcie jednej z jednostronnych części składających całość czyli życie. — Piękność czyli prawdę kształtu pojęło pogaństwo; prawdę czyli piękność myśli, chrześcijańska era upłyniona od dni Chrystusowych. — A czemuż czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności?« itd. 1).

....»Więc owszem, ja ci mówię, że gdy tak prawdziwie pojmujesz czyn, tak głęboko wzdychasz doń, to wcale się nie odsuwasz od tego, co nieśmiertelnem z świata pierwszego ludzkości pozostało — od piękności! Przeciwnie, Ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd tylko idealną prawdą była, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko; a czemuż kształt prawdy, jeśli nie piękność? Zatem dążysz ku piękności nie już tylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i mierze wierszowej, ale ku piękności żywej, ku najwyższemu stanowisku piękności«

W dalszym wywodzie wykładu Krasiński swoją własną teorią o ludzkości i składających jej orga-

1) Cały powyższy ustęp prawie żywcem jest wzięty z Cieszkowskiego *Historiozofii* (P. A.).

nizm narodowościach, jako niezbędnych członkach tej harmonijnej całości, w sposób jak w przedmowie do *Przedświtu*. I w końcu ten system swej wyobraźni przysądzając Towiańszczykom, zamyka rzecz w następujących słowach:

....»O to kusicie się bracia moi — to waszem jest usiłowaniem! I błogosławieni jesteście za to, żeście pierwsi pojęli to i postarali się to uczynić! Ale pamiętajcie, że wszechstronność pierwszą cnotą waszą być powinna; że nie odrzucać — niezem nie gardzić, ale wszystko wywyższać — wszystkiemu miejsce dać, a piękniejsze i lepsze — powinniście! — O! zaklinam was: nie zważajcie się jako cząstka świata — ale rozszerzajcie się jako całość świata! — Bądźcie pełniejsi miłości od tych, którzy twierdzą, że ich rzemiosłem jest miłość! Nie intolerancją walczyć intolerancją! Owszem, wszystko pojmijcie, wszystko pochłońcie — bądźcie jako kopuła, co ziemię widnokreźnie opierścienia. — Miasto gołębiczy dawnej, chciałem by dziś taki błękit uznany został za symbol Ducha świętego! Niechże i waszych działań będzie on symbolem!« 1)

A zatem, jak widzimy, Krasiński ostatecznie nie więcej nie znalazł do wytknięcia mistycznej owej doktrynie, jak tylko ten fanatyzm, tę wyłączność bezmiłosną i jednostronną, tę do najwyższego stopnia posuniętą intolerancję, jaka znamionowała i słowa i postęпки Towiańszczyków, od Mickiewicza począwszy aż do najbezmyślniejszego szeregowca tej szkoły, we wszystkich ich zetknięciach z światem zewnętrznym. —

Ta teoretyczna pobłażliwość autora *Przedświtu* dla Towiańszczyzny nie wystarczała jednak by-

1) Listy Z. Krasińskiego. Lwów 1887. III. 41—2, 45—6.

najmniej Słowackiemu, który go pragnął do obozu tego przeciągnąć. Z tej przyczyny korespondencya zobopólna się przedłużyła i nadal, ale w taki sposób, że w wyrazach Słowackiego coraz dotkliwiej przebiegać zaczął »pewien kwas melancholijny« przeciwko człowiekowi, którego dawniej tyle uwielbiał. Na uwagi cierpkie, wstępny bojem sobie czynione, Krasiński odpowiadał życzliwie i z miłością, lecz je odpierał jednakże. Wreszcie się ta rozmowa listowna między nimi urwała.... Potem nastąpił (w tymże roku, w jednym z miesięcy latowych) ślub Krasińskiego z Branicką — a następnie napisany i ogłoszony został »Książd z Marek«.

Nie można samemu tylko przypadkowi tego przypisać, że się w tym poemacie znajdują rzeczy, które boleśnie dotknęły Krasińskiego. Są tam wyrażenia i zajścia, ubliżające rodzinom, z których tenże albo pochodził albo z niemi był połączony. Uraza musiała być tem żywsza, że nie można było niewiedzieć, że tu wyraźnie o to tylko chodziło, żeby dokuczyć. Uszczypliwości są po większej części naciągnięte i w kolorach mocno przesadnych: a to, co się bezpośrednio do Krasińskich odnosi, nazwać należy nawet bezwarunkowo niesprawiedliwym, zwłaszcza że dzieje barskiej konfederacyi bynajmniej do tego nie dawały powodu.

Ta publikacya położyła na zawsze koniec serdecznym stosunkom pomiędzy Słowackim a Krasińskim. Zerwały się one od owego już czasu, a nie dopiero wskutek wiersza »Do Autora trzech Psalmów«, jak to zazwyczaj sobie wyobrażają. W późniejszych latach podali sobie wprawdzie obaj poeci raz jeszcze ręce do zgody; ale była to już tylko.... łatana przyjaźń i chłodna — jak się to w swoim miejscu opowie.

Ażeby zakończyć już ten rozdział sprawie Towianizmu wyłącznie poświęcony, dodaję jeszcze słowo o zachowaniu się Słowackiego względem samejże szkoły, której był uczestnikiem. Bynajmniej nie należy sobie wystawiać, że to był bierny tylko i potulny wykonawca zleceń mistrza swojego, albo powolny potakiwacz słowom lub też uchwałom drugih. Owa sprężysta samodzielność, owa »odśrodkowa siła negacyi«, którą mu przyznał był już Krasiński w owej rozprawie swojej z r. 1841, podsycona wrodzoną a teraz okolicznościami spotęgowaną drażliwością umysłu, dawała się i w tej życia jego epoce czuć wszystkim z jego strony, przyłada sposobności. Mianowicie zgoda z Mickiewiczem żadną miarą nie była bezwarunkową ni długotrwałą.

W pierwszej chwili uwielbienie jego dla Towiańskiego nie miało granic. Pod jednym wierszem, który jako numer V. znalazł miejsce w wydaniu Pism jego pośmiertnych (Góry się ozłociły — szafiry morz czernieją¹⁾), napisał był takie wyrazy bezpośrednio do niego skierowane:

»Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem swoim i zapowiedzeniem sprawy Bożej ducha mego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejiowi Towiańskiemu,
niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia Sprawy Bożej, ofiaruję i poświęcam,
— narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcej jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił«.

¹⁾ P. II. 68—70.

Ale już krótko po przymusowym wyjeździe Mistrza z Paryża, znalazł się Słowacki w konieczności wystąpienia z powszechnego i jedyne jeszcze naówczas koła Towiańszczyków i założenia frakcyi własnej, osobnej. Powód zdarzenia tego nie jest mi wprawdzie dobrze wiadomy; ale nie wątpię, że do tegoż zajścia odnosi się następujący urywek z listu, którego początek znalazłem na ulotnej kartce pomiędzy luźnymi papierami poety:

»Piszę do Ciebie, Bracie Andrzej, abym Ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem tej tajemnicy obciążywszy samego siebie, abym nie mógł być w żaden sposób przez Ducha Twego oskarżony przed Bogiem, jako odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorzienia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o Tobie świadczących przyjąłem; w dobrej wierze połączyłem się z uczuciem ich — w czystość Twoję zawierzyłem, wiernym byłem — w postępkach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojej pomocnym Tobie — w usługaniu w Sprawie pierwszym — w cielesnym koła porządku ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadcza, że tak było. Wystąpienie moje z Koła ciche, a Tobie bynajmniej nie uwłaczające, wywołało z Ciebie sąd pismu powierzony, w którym ducha mego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu — (dalszego ciągu niema).

Podobnych śladów częstych nieporozumień między Słowackim a resztą Koła, mógłbym przytoczyć i więcej. Są nawet protestacye formalne z jego strony przeciwko jakimś krokom czy też zamiarom Mickiewicza i jego zwolenników, których już dzisiaj dokładnie się dorożumieć nie można z powodu tajemniczości, w jakiej się wszystko tam odbywało

pomiędzy nimi. Oto jeden z ciekawszych dokumentów tego rodzaju.

»My niżej podpisani, którzyśmy stanęli przy sztandarze sprawy Bożej, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siły ku zbawieniu Ojczyzny naszej...

»Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli Koło nasze ku tym idealnym absolutnym celom, na których wszelka różnica, czasem i charakterem między narodami położona ginie...

»Nie oskarżając bynajmniej przewodników Koła o złą wolę, ale z sumienia naszego czyniąc krok według nas potrzebny i konieczny...

»Zostawiamy odpowiedzialnymi przed Bogiem i przed narodem oweto nasze przewodniki za dalsze ich postępowanie. Sami zaś nie odbierając sztandarowi prawdy i miłości, serc i sił naszych, powierzamy obronę...

Dalszy ciąg tej protestacyi jest wydarty w książce w której się mieści, zawierającej w sobie różne notaty Słowackiego. Ale zaraz na trzeciej stronie dalej w tymże raptularzu jest concept listu, który choć jest bez daty, oczywiście odnosić się musiał do tejże okoliczności:

»Do Koła całego tak zwanych Towiańszczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza.

»Bracie Adamie!

»Przypominam Ci, że przyjęty za brata w kole Waszem przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał: w dniu 1 października 1834 roku (liczba oczywiście zmyślona, zamiast 1844, albo może 1843) listem do koła braterskiego pisanym nie wyrzekłem się bynajmniej braterstwa, ale położyłem *Veto* z ducha pol

skiego — przeciwko dążności rosyjskiej, która mszą i nabożeństwo publiczne za ducha nienaszej wiary i nie naszej idei podyktowała.

»Przypominam, że jako pierwiej, tak i teraz *Veto* moje nie zdjęte z Koła trwa na wieczność, a temsamem czyni nieprawnymi i bezskutecznymi wszelkie kroki, które Koło w tymże duchu łączącym nas z Rosją przedsięwzię.

»I żądam, aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed Cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w Kole dla wiadomości.

»Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha Ojczyzny mojej

»W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyą, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat

Juliusz Słowacki.

Do którego by się czasu to wszystko odnosiło, trudno bardzo dzisiaj odgadnąć. Wnoszę jednak z różnych okoliczności ubocznych, że dziać się to musiało 1844 albo co jeszcze prawdopodobniejsza, w r. 1845¹⁾.

¹⁾ Charakterystyce Słowackiego w epoce Towianizmu poświęcone są następujące prace: I. P. Chmielowskiego *Ostatnie lata życia Słowackiego*. (Ateneum 1877. III. przedruk. w *Studiach i szkicach*, Kraków 1888); opiera się autor w tem swem studyum na listach poety, a oprócz tego omawia pokrewne z towianizmem dokryny.

II. Dr. H. Biegeleisen: *Z ostatnich lat J. Słowackiego* (Tygodnik powszechny, Warszawa 1883 Nr. 36—41). Podaje w tej pracy autor niektóre drobne i niedrukowane poczęty Juliusza. Tęż pióra jest artykuł z podpisem H. B. p. t. J. Słowacki w *Kole Towiańczyków*, drukowany w *Nowej Reformie* (Kraków 1882).

Dopisek do drugiego wydania.

Ponieważ postanowiłem sobie uzupełnić to dzieło wszystkim, co tylko wskutek jego pierwszej publikacyi z jakiegokolwiek strony do rąk moich nadesłane zostało: zatem i do niniejszego rozdziału dołączyć winienem wzmiankę o pewnym liście, przez nieznajomą mi osobę w roku 1868 mi przysłanym, treści następującej:

»Szanowny Panie!

Przeczytawszy dzieło »Juliusz Słowacki«, w którym Pan potępiasz Sprawę, którą z woli Bożej czyni Andrzej Towiański: jako sługa tej Sprawy od lat 20-tu, kreślę do Pana słów kilka w boleści nad obrazą Bożą i nad bliżnim, który ją popełnił.

Osądziłeś Pan Rzecz Bożą, której nie znasz i poznać nie chcesz — dla podparcia sądu Twojego, podałeś rozniesione przez nieprzyjaciół fałszywe pogłoski i potwarze jako fakta rzeczywiste — przypisałeś nawet Sprawie Bożej najprzeciwiejsze duchowi i zasadom Jej chrześcijańskim ostatnie utwory ś. p. Słowackiego, w chwili zgonu przez niego samego zganione (?), chociaż wiedziałeś, że powstały one (czy wszystkie?) dopiero po odstępstwie Jego od Sprawy tej.... Tem wszystkim dałeś Pan nową podnieť bezbożności, prześladowającej to, co Bóg w Miłosierdziu Swojem zesłał dla ratunku znękaney Ojczyzny naszej.

III. M. Zdziechowski: Mickiewicz i Słowacki pod wpływem Towiańskiego (Messyjański i Słowianofile str. 117—186); jest to najtrafniejsza i najjaśniejsza charakterystyka mistycznej filozofii Słowackiego.

Oprócz tego w ogólnych charakterystykach poety — a mianowicie C. Jellenty: *Jul. Słowacki dzisiaj* (Warszawa 1900), i Wład. Jabłonowskiego: *Dusza poety* (Warszawa 1900) — uwzględniony jest dość obszernie Towianizm. — Ob. także przypiski przy omawianiu »Genezis z ducha«.

Pragnąc podnieść Słowackiego(?) nie wiesz Pan, jakie rany zadajesz Duchowi Jego, wielbiąc(?) zdradę Boga i Ojczyzny w zaparciu się Jego Sprawy, którą on (kto?) uznał za ratunek Boży dla Ojczyzny, używając imienia i sławy Jego literackiej dla obalenia tej Sprawy!...

Oklaski dawane pisarzowi mogą zaćmiewać przed Tobą Panie prawdę i krzywdę, jaką tej prawdzie uczyniłeś, mogą nie dopuścić do duszy Twojej życzliwej przestrogi bolejącego nad Tobą Rodaka; ale ja spełniam powinność moję, przypominając Tobie Panie, że tryumf fałszu jest krótkotrwały; że prawda prędzej czy później, z wolą czy bez woli Twojej, okaże się Tobie, jaką jest, i że wtenczas ciężka odpowiedzialność spadnie na Ciebie za obrazę Bożą i za krzywdy Ojczyźnie i Rodakom wyrządzone.... Obyś mógł Panie uniknąć tej strasznej chwili, zastanawiając się w sumieniu Twojem przed Bogiem, co czynisz!...

Życzliwy Rodak

Józef Cz.....

Kraków, ulica Lubicz Nr. 14.

dnia 17. Marca 1868 r.*

(Nadmieniam, że autor listu, nieznajomy mi osobiście ani pośrednio, położył pod nim całe swoje nazwisko i że to ja daję tylko początkową z niego tutaj literę, z łatwych do wyrozumienia powodów).

Pan Cz. zarzuca mi zatem, że sprawy, którą sądzę, nie znam i poznać nie chcę. Jakkolwiek wyrzekłem zdanie moje o Towianizmie na podstawie dopiero wszystkiego, co o tem pisano tak w emigracyi jak w kraju: mogę jednak rzeczywiście być tylko niedostatecznie powiadomionym o rzeczy i »nie znać jej«. Ale na czem opiera się zarzut, że jej

»poznać nie chciałem?! A gdzież? i jak można poznać Wasze roboty, najgłębszą tajemnicą zakryte przed narodowym ogółem, przystępne tylko wtajemniczonym, to jest takim, którzy z zamkniętymi oczami w te cuda z góry już uwierzyli i do Koła jako jego zwolennicy przystali? — »Zostań Towiańszczykiem, a będziesz znał naszą Sprawę« na to tylko skarga pana Cz. chyba wychodzi! Jeżeli mnie chciano upomnieć, przestrzec, nawrócić, to jedynym sposobem na to było powiedzieć: Oto te a te rzeczy, te a te fakta, twierdzenia i t. d. są w Twojem opowiadaniu nieprawdziwe, albowiem miały się one tak a tak.... Autor listu wolał pójść inną drogą — drogą wszystkich swoich współwierców a i samego Mistrza swego, t. j. przeczyć wszystkiemu, co tylko o nich kto gdziekolwiek powiedział, ale przeczyć tylko w czambuł: a nie tylko nie a nie dodatniego nie wyrzec o tem od siebie, ale nawet nie wyjawic, które to mianowicie fakta o nich wiadome miałyby być »fałszywemi pogłoskami i potwarzami«. Ten manewr jednak już jest zużyty i nie czyni wrażenia.

Zupełnie mylnem też jest twierdzenie, żeby się z dzieł Słowackiego, w jego już towiańszczykowskiej epoce powstałych, nie godziło utwarzać sobie wyobrażenia o tej doktrynie, ponieważ »one powstały dopiero po odstępstwie Jego od Sprawy tej, i były w chwili zgonu przez niego samego zganione«. Książdz Marek i Srebrny Sen Salomei powstały przecież w każdym razie przed jego jeszcze zerwaniem z Panem Andrzejem i Mickiewiczem. Są to zatem owoce jego jeszcze solidarności z doktryną, dokumenta tej doktryny, a swoją drogą właśnie najbałamutniejsze, utwory jakie kiedy wypłynęły z pióra Juliusza. »Zganionym« przez poetę samego — został chyba tylko jedyny Król-

Duch, a to przez ów wyraz powiedziany w samej chwili już zgonu. Ale i to nie może być rozumianem w tym sensie, jak to tutaj autor listu wyklada — o czem się nieuprzedzony czytelnik sam niżej w swoim miejscu przekona. Słowacki, już umierając, nie stósował do tego ostatniego dzieła swego słów które wyrzekł, w tym sensie żeby miał być odwoływać albo potępiać dążność i ideę owego dzieła; ale raczej nazwał on te wszystkie, obecne i dawne literackie, doczesne wysiłki swoje głupstwem znikomem, jak niem można snadnie nazwać i każdą inną pracę rąk ludzkich, jeżeli się ją postawi wobec majestatu wieczności, mającej pochłoniąć w sobie konającego człowieka.

XVII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materyi. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Książ z Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natężnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha.

Przystąpienie Słowackiego do koła Towiańszczyków wywarło wpływ przeważny na charakterze jego jako poety. Cały zawód jego autorski otrzymał odąd inny kierunek. Tem zdarzeniem, życie jego na emigracyi wydaje się jakby przecięte na dwie połowy. Między pracami jego z przed roku 1842 a potem, mało jest związku organicznego. Są to dwa osobne działy czynności literackiej, daleko bardziej odgrozione od siebie, aniżeli owe okresy wcześniejszej części życia, które przedzieliło w r. 1831 dobrowolne usunięcie się na wygnanie.

Pierwsze następstwo tej tak stanowczej zmiany wyobrażeń, a raczej tego zupełnego przewrotu wszelkich pojęć dawniejszych, okazało się w tem, że Słowacki prace swoje dotychczasowe od tej chwili bardzo mało już cenił. Co już było wydane, tego oczywiście nie było można cofnąć z obiegu. Ale co jeszcze leżało w tece, to też już w niej i na zawsze

miało pozostać!¹).... Ta jest przyczyna, dlaczego wszystkie owe w poprzedzających rozdziałach jako fragmenty wymienione utwory Słowackiego, nie tylko nie zostały do druku i do rąk publiczności oddane, ale co gorsza, puszczone w poniewierkę, rzucone między niepotrzebne papiery, do tego stopnia na powolne wystawione były niszczenie, że największa ich część doszła rąk naszych zaledwie tylko w urywkach.

Zupełnie mylne byłoby przypuszczenie, że zatraćta tylu wybornych rzeczy zaszcza dopiero po śmierci autora wskutek niedbalstwa spadkobierców, albo też, jak to niektórzy myślą, z powodu że Słowacki w ostatnich chwilach życia miał żądać, ażeby część jakaś jego literackiej pozostałości była wrzucona w ogień.

»Przeszłego życia mego nie żałuję — pisał do matki dnia 18 marca 1843 roku — ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym, ale dzięki Bogu, że przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej; a to co zostało nie będzie stracone«.... »Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzej raczył spełnić swoją łaskę dla świata i przybliżyć czas odkwitu; każda godzina bowiem teraz jest ważną, a lenistwo ducha grzechem jest« ²)....

¹) Ciekawe uwagi do charakterystyki poety i utworów jego z tych czasów wysnuć można z pamiętnika, którego część ogłosił dr. Biegeleisen. (Przewodnik naukowy i literacki. Lwów, 1884 str. 106 do 115; 218—230).

²) L. II 175, 176.

A zatem przypuszczał wprawdzie Juliusz, że między dawniejszemi jego dziełami niektóre może są woni prawdziwej i przydatnej oddychającym, lecz od tej pory zadanie swoje pojmował już inaczej. Chodziło o to, aby to co w nim zostało z ducha i nie było jeszcze straconem, jak najprędzej się dokonało: każda bowiem godzina ważna! Nowe zatem przedsięwzięcia zwróciły na się całą jego usilność. A dawniejsze prace poszły na odstawkę — w zapomnienie....

Jedyny z utworów dokonanych już dawniej, który został ogłoszony po przystąpieniu autora do Towiańszczyzny, był to:

Juliusza Słowackiego: **Książę niezłomny**

(z Calderona de la Barca)

tragedya w 5 aktach. Paryż, 1844, 12^o,
stron 172, 4 nl.¹)

Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu fantastycznych dramatów, osnutych na tle legend z przedhistorycznej narodowej przeszłości, zamiar ten poszedł obecnie w zapomnienie.

Dalsza praca nad Beniowskim postępowała wprawdzie swoim torem i po roku 1842, ale postępowała dorywczo i że tak powiem, targana coraz

¹) Fr. Próchnicki wydał tenże dramat w roku 1891, z dokładnymi komentarzami; kilka uwag mieści przedmowa do tłumaczenia dramatów Calderona, przez E. Porębowicza (Warszawa 1888).

Ob. nadto recenzję teatralną A. Asnyka z powodu przedstawienia »Księcia niezłomnego« na scenie krakowskiej. (Przegląd polski, 1874 II 295—307) i studjum przez L. R. p. t. »Rozbiór historyczno-krytyczny tragedyi Calderona de la Barca p. t. »Książę niezłomny«, napisany i obszernymi wyjątkami z tłumaczenia Juliusza Słowackiego zaopatrzone przez.... (»Warta«, Poznań, 1877 nr. 154—163). Porównaj ustęp z tomu II niniejszego dzieła str. 279—81.

innym duchem, jaki wrzał wtedy w piersi poety. To jest przyczyna, dlaczego ten poemat przedstawia w drugiej, niedawno ogłoszonej części swojej, postać tak chaotyczną, chociaż ustępy z osobna brane są nieraz niepospolitej siły i piękności. Wreszcie w r. 1843, a najpóźniej 1844, została praca ta zupełnie zarzucona. Natomiast poszczególne pomysły, które podług pierwotnego planu miały wniknąć w skład tej rozległej kreacji, a może też nawet i były już w niej przeprowadzone, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Jeden z nich dotyczył chwili samego zgonu owej proroczej postaci, która tak wydatnie występuje w Beniowskim; drugi polegał na ubocznym epizodzie przygód rodziny Gruszczyńskich. Tak powstały dwa dramaty oddzielne: »Książd Marek« — i »Sen Srebrny Salomei«. Odpowiednie pieśni Beniowskiego uległy wskutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu; tak iż tylko dochowane mimo autora woli urywki, odszukane na ulotnych i luźnych kartkach, dostarczają świadectwa, że sceny te już i kiedyś dawniej zaprzętały fantazję Słowackiego — w odmienny sposób.

Książd Marek był pisany w ciągu roku 1843, w miesiącach latowych, najpóźniej w lipcu, — jak to wynika niewątpliwie z zestawienia okoliczności opowiedzianych w rozdziale poprzedzającym, ze wzmiankami niektórymi o tem w listach Słowackiego do matki. Wyjście z druku tego dramatu przyszło do skutku w listopadzie onegoż roku. Imię autora było wyrażone na samem czele tytułu:

Juliusza Słowackiego **Książd Marek**

Poema dramatyczne w 3 aktach.

Paryż, 1843. 12^o str. 158, 4 nl.

W pierwszych dwóch tygodniach tegoż miesiąca listopada (1843) zaimprovizowany został drugi ów dramat, który wyszedł z pod prasy dopiero w styczniu 1844, pod tytułem:

Juliusza Słowackiego **Sen Srebrny Salomei.**

Romans dramatyczny w 5 aktach.

Paryż, 1844. 12^o, str. 210, 4 nl.

W kilka miesięcy po wydaniu tego drugiego utworu znalazł Słowacki sposobność posłania matce przez znajomą osobę obydwóch tych ostatnich dzieł swoich razem; a wyprawiał je tem skwapliwiej, że się spodziewał, iż je matka z radością powita i z dumą będzie odczytywała, jako dzieła, które (zdaniem jego) podyktowało natchnienie, do wysokości jakiego nigdy on się w dawniejszem swoim życiu jeszcze wznieść nie potrafił. Tymczasem przyjęcie książek tych przez panią Becu było zupełnie inne! Wprawdzie nieznane mi są względy, pod którymi głównie dramaty te sprawiły niemiłe wrażenie na światłej matce ich autora; listu jej bowiem pisanego o tem (jako i żadnych wogóle listów matki do syna) nie czytałem. Że uwagi jednakoż udzielone Słowackiemu w rzeczonej chwili o Księżdzu Marku i Śnie Salomei musiały być niekorzystne i bynajmniej niezachęcające autora do dalszych kroków na takiej drodze: o tem przekonanywa jego odpis, dany wtedy w odpowiedzi na owe uwagi matki. Był to list niezmiernie długi, a jeszcze więcej cierpki i prawiebym powiedział gromiący! Gorycz jego dochodziła do tego stopnia, że napisawszy go, sam Juliusz spostrzegł się wcześniej, że się w rozdrażnieniu za daleko posunął. Czując zatem niewłaściwość tonu, jakiego sobie tym razem względem matki pozwolił, nie oddał listu tego na pocztę, ale napisał inny, krótszy i spokojniej uło-

żony; tamten zaś list pozostał u niego między papierami, z których go dopiero po śmierci poety, porządkując wszystkie jego rękopisma wydobyto i jako ciekawy dokument dołączono do całego zbioru korespondencji¹⁾.

Ażeby wyrozumieć ówczesne, nad wszelki wyraz ekscentryczne usposobienie poety, uważam za stosowne przytoczyć z rzeczzonego listu kilka dłuższych wyjątków.

.... »Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów krwistej organizacji, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwιά, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energią. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk; a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest denerwującą muzykę Chopina. — Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało utrzymuje codziennie zwycięstwo, radź jej jedną lub drugą kuracyą. Lecz lękaj się obu dla ludzi wywiedłtych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzuca, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą«.

»I Ty droga moja — czuła — dobra — litośna — miłująca — siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całej — wypłakawszy się napróżno, więc grzesznie — wypłakawszy się dlatego, bo Cię semitonami i dyssonancjami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? — Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości — a dla człowieka prostego, z sercem — jest listem zupełnie bez serca pisany!... Ja także, droga moja, bardziej teraz niż Ty otwartym być muszę, bo tu o duszę Twoją nieśmiertelną chodzi«.

»Otóż powiem Ci, coś napisała. — Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moją zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak, jak dawniej pisałem. — Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu, a dziś podupałem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie; jeżeli więc prawdziwie (a Ty wiesz, że bez winy własnej) podupałem: to powiedz mi, czy to do Ciebie należało, mi pokazywać, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mnie w swoim eleganckim szopenowym salonie? — Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobroduszenie a głęboko uragać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy że ta plotka, gorsza stokroć niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegła po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona w niejednym niby szacunek mojej osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezji moich. Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem — nie artykułami gazetowymi, ale samem wnętrzem pism moich. Ta plotka już jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąt niebios: — a Ty mi ją, z całą świeżością, nową oddałaś w liście!... Cóż następuje? Oto rada, abym się nie śpieszył z drukowaniem, a ochłoniawszy z gorączki odczytał utwór mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. — Pomyśl droga, jak ta rada jest złą i fałszywą! Więc Ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: — ach! teraz Adam pięknie z zazdrości — albo Szekspir wróciwszy z grobu omdleje: to w takim razie powinienbym być kontent z siebie?... Widziałem raz dziecinę, której na nowy rok bardzo ładne cacko matka kupiła; a ta, uniesiona radością — wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia była to jej przyjaciółeczka, dziecię uboższych rodziców, które tak pięknem cackiem pochwalić się

¹⁾ Czas napisania tego listu odnieść należy do lutego 1845 r.

nie mogło.... Teraz pomyśl Ty, że natchnienie jest darem aniołów — i zrozum, jakim Ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moją z podarunku«....

»Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego Ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a Ty sobie moją postać przypominasz.... Powiedźże mi droga, jakże ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami? — Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja że one wszędzie o sobie gadają! — Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe Ci nie miał niczego.... Boga na świadka biorę, że ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze, że on nie z głębi Twojej wyszedł, ale z tej nieszczęsnej atmosfery smętnej błakających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczyli. Nerwami już, nie sercem czujecie! Lubicie, co wam nerwy rozczuła — a wstręt macie do zdrowych pokarmów. — Widziałasze Ty, żeby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiem, przez Chopina muzykę sprawionem, stał się lepszym — piękniejszym — litośniejszym, wyrósł na bohatera? — Jedną mi osobę zacytuj, a wyznam, że nie miał racji potępienia«....

....»Jednak i ja nie jestem bez winy — bo winą moją jest użycie imienia świętego¹⁾; a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedy pisałem.... Lecz i tu pomyśl Ty droga: gdybym ja napisał na przykład *Indyanę* stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną — dwa razy splamioną — biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał Twojem imieniem — ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansową-kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów

¹⁾ Widać matka Juliusza bynajmniej mu nie dziękowała za to, że takiej właśnie osobie, jak bohaterka w *Śnie Srebrnym Salomei*, odważył się dać jej imię chrzestne. (P. A.)

i błyskotnością kolorów posłał tobie...? Rzekłabyś, że cud cudów!! Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, które je zmienia w anielskie?«....

»Droga moja, pomyśl nad tem, nim potępisz którekolwiek z moich wyrażań, nim je nazwiesz niewłaściwymi i nie po polsku!... A te nie po polsku — co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię? Zamiast powiedzieć krótko: kocham Cię — drukując to samo muszę wyrazić się w bezkolicznym trybie, na przykład *posiadasz serce Twego syna?* — To okragło i pięknie! — Tak gadają i piszą umarłe narody! Piszą językiem, którego potem w mowie potocznej użyć nie mogą. Taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata — patrz jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb: wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute. Lecz wierz droga, że Włoch *tensam* listu napisać nie umie! Znajduje się w podobnym razie, jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny — przeklinają elegancie salony; a ja staram się inaczej, o wyprawienie za drzwi tego jegomościa — to jest, daję wam w poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl jak potrawę — ciepłą na stół podaje«....

»Słowem, widzisz droga moja, że w tym liście Twoim ani razu nie byłeś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi zamysłonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się we wnętrzu uśmiecham.... Inaczej było z pierwszym listem! Był on prosto wypowiedzeniem uczucia Twojego serdecznego i był świętym dla mnie.... Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś a to marzenie było prawdziwie piękne! tak piękne, że nie uczułem niemoce własną, jak architekt ogromnym planem budowy podanej mu do wykonania zatrwożony.... Widzisz więc droga moja, że nie wtenczas, kiedy Cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, to smuć

się; ale wtenczas, kiedy Cię widzę ze światem gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze! Bo za Tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy Tobie. Ale dla Ciebie wrócić — ani ojczyzna, ani sprawa Boża mi nie pozwoli....

...»Biada duchowi Twemu, jeśli Cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódl się i odczytaj go znowu — spokojnie i święcie. Odczytaj mówię, te wyrzuty Twoje i rady — i pomyśl, czyliby one mogły być dane być przez Chrystusa? Z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja Ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapalem ani »Sz w a j c a r y i« ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym.... Więcej Ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego z rodziną już czytać umiejącą — za sto lat — w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie — szczęśliwy! — ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawzę go sobie, że czyta Balladynę. Ten utwór bawi go jak baśń — a razem uczy jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze Lillę — to samo. Ma zepa trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz zajrzał w Godzinę Myśli, albo Lambra — i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego! Otóż dla tego chłopka jest Sally — Ksiądz Marek — i Książę Niezłomny, ten Książę, który mi kości wewnętrzne połamiał — gdzie są pioruny poczyi, a z którym Ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste uczucie uderza — nie melancholią, ale boleść obudza — nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi. — Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poczyą dla żywych ludzi.... Kto pierwszy z taką poczyą przyjdzie, ja mu ze wszyst-

kich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżej i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego niema, nie równaj mnie z nikim — ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką¹⁾).

Matka poety załączyła była do listu, na który Juliusz obecnie odpisywał, nie wiem w jakiej właściwie myśli, dwa wizerunki Najświętszej Panny: jeden z nich był kopią jakiejś artystycznie, wytwornym pędzlem wykonanej Madonny i był przeznaczony dla Juliusza; drugi wyobrażał z całą prostotą obraz Matki Boskiej berdyczowskiej i był tu dołączony jako podarunek dla — Kirkora (w Balladynie). Do tychto więc dwóch obrazków sięgało się, co mówi autor w poniżej przywiedzionym ustępie:

»Z listu Twego wypadł naprzód obrazek N. Panny — ale nie ten Twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojej tragedyi posłany. O jakże mi widok tej prostej Królowej w koronie.... z berłem w ręku i z małym Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudem i smutnem — w płaszczu który mi się wydał błękitnym, liliami złotymi uhaftowanym.... jak mi ten widok był rozczulającym i rodziwym!... A napis: »B e r d y c z o w s k a« — tasama, która nademną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służył Bogu...²⁾ o jak to wszystko mi łzy wydarło! Natychmiast w jednej chwili te wszystkie wspomnienia — królewskość Jej — w tym sztychu nawet jakaś święta niemoc prostoty — uderzyła na mnie cudowną potęgą.... A potem w liście Twoim druga.... pięknie ubrana, z dzieckiem runianem,

¹⁾ L. II 221—226.

²⁾ To się odnosi do rzeczywistego wypadku, który się zdarzył kiedyś w dzieciństwie Słowackiego, kiedy on razem z matką odbywał jakąś podróż z Krzemieńca do Żytomierza i Berdyczowa. (P. A).

w której nie było świętego, tylko myśl Twoja i chęć Twoja i dotknięcie rąk Twoich».

»Wieszże Ty, kto to jest Najświętsza Panna? Oto przez cztery tysiące lat cała natura — wszystkie ludy przeczuwały, że raz przez kobietę rozmiłowaną w Bogu złamane będzie prawo natury najpierwsze... Poeci przeczuć to zamieniali w kształt i ciągle o tem gadali; bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Stąd tyle Ninf greckich lub dziewic, które z Bogiem są zamężne. Wielkość tego przeczucia zatrzaża — powszechność jego zadziwia! — Otóż duch Najświętszej Panny spełnił cud — i ludzkość cała, jakby otrzymawszy to czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach¹⁾. Jakiżto więc duch był wielki i zdolny cudownej Bożej miłości, kiedy zaspokoił serca bijące przeczuciem od lat tylu, w tylu ludach! A ta Matka, ściśniona miłością Bożą, z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne — ona jedna, która wiedziała, że miłością Bożą ducha Boskiego wywołała z niebios — i ten duch siedzi na rękach u niej — dzieciątko małe, a już cierpiące nad światem«!....

»Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłem do lasu oliwnego, siedłem przy studni i czekałem, azali mi się jaka postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącymi nie zjawi.... Otóż nie podług Twego obrazka oczekiwałem czegoś podobnego do niej — ale podług tej Berdyczowskiej, tylko w tęczyowych kolorach — z niebieską przeźroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczem — ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia. A ja chciałbym, ażeby uczucie Twoje było srebrne, jak gołębicą. Kirkor swój obrazek może nosić na piersiach podczas batalii — i po batalii

leżeć z nim, cały krwawy, tworzą do Boga. A ktoby zobaczył, zapłakałby mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyny przyniesiona... Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi — ale nie odpowiada memu smutkowi i często bolesnej twarzy«¹⁾.

W tym sporze między matką a synem my czytelnicy dziś podobno będziemy musieli stanąć stanowczo po stronie pierwszej; a możemy to uczynić z tem większą pewnością siebie, że i sam autor, już we dwa lata później, z żalem i wstrętem wspominał — wprawdzie nie o obu utworach, których wtedy tak gorąco przed matką bronił, ale o Księdzu Marku. Przytoczę w jednym z dalszych rozdziałów dosłownie, co w tej mierze w r. 1846 Słowacki do Krasńskiego wyrzekł o owem dziele i o stanie duszy, który to dzieło spłodził. Tutaj zaś tylko dodaję, że jeżeli tej gorzkiej krytyki nie rozciągnął wtedy autor nasz i do Snu Salomei, to tylko przeto, iż nie było przy owej sposobności żadnej do tego przyczyny, żeby mówić także i o owym drugim utworze. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął i o Sen Salomei: toby był przyznał pewnie i tutaj poeta »wątpliwość dzieła i nędzę zewnętrzną w wykonaniu«.

Rzeczywiście bowiem miała słuszność matka poety, kiedy twierdziła, że obydwa te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniej pod piórem Słowackiego powstało. Sam już styl i zewnętrzna ich forma okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń, najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnej formie opowiada-

¹⁾ Porównać z tem miejsce w Królu-Duchu w tomie Pism pośmiertnych II-gim, na stronie 233 i 234. (P. A.)

¹⁾ I. II. 226—7.

nia. A jakie też nieraz dziwne jest ono opowiadanie! Wogóle dykcyja tu przypomina rozbijałość poezyi wschodniej. Jest onajakaś nieunoszona i nieujęta jak powódź, a leje się dyalogiem wezbrany nad wszelkie tamy prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztery sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiej figury, perorującej je d n y m tchem — bez żadnej przerwy ze strony ludzi, do których prawi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrzegać w żadnym z dawniejszych utworów autora Mazepy.

Może niejeden z czytelników zechce tę dziwną rozwlekłość tłumaczyć uwagą, że w owej porze Słowacki szczególnie zajmował się Kalderonem. Zasiadł do Księdza Marka wkrótce po dokonaniu przekładu *El principe constante*. Wyobraźnia jego nastrojona więc była, że tak rzekę, na ton tego hiszpańskiego poety. — Nie chciałbym żadną miarą przeczyć temu, iż niejedna odrębność formy czyto Księdza Marka czy Snu Srebrnego składaną być rzeczywiście może na karb tegoto wpływu. Aż do pewnego stopnia mogła niezawodnie ta bujność wyobraźni i wysłowienia, ta przewaga opowiadawczych i lirycznych żywiołów nad ścisłą akcją, równie być następstwem przejęcia się tradycjami sceny hiszpańskiej, jak ów wiersz krótki ośmioletkowy, którym obydwie te dramaty są ułożone, albo jak wreszcie ów podział Snu Salomei na »Zmiany« w taki sposób, że każda w akcie »pierwsza« zmiana odpowiada scenie drugiej według skądinąd używanej praktyki, a »druga« zmiana znaczy tyle, co trzecia scena itd. Mimo to wszystko nie sądzę jednak, żeby wszystko, co nas razi w tych Słowackiego pracach, dało się tłumaczyć samym tylko Kalderonizmem. Poeta nasz w owych latach nie mógł być

naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest też niewątpliwie u niego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcej, aniżeli u Kalderona; a raczej — w tej ostateczności i przesadzie, u Kalderona nie ma ich wcale!

Byłżeby Kalderon lub sam autor Lilli Wenedy dawniej darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze był pokazał taki oto np. ustęp?

»Wtem, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip węzowiska,
Od kurhanów na kurhany —
Wiodąc światła złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęcze,
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnej pychy
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalie;
Jasną, — bo w niej anielica,
Ubrana jak na batalie
Z piekłem, w słoneczności lica
I w niewinności ubiory,
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnej podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała« ¹⁾.

¹⁾ Z aktu IV-go sceny pierwszej Snu Salomei (str. 267 i 268 wydania lwowskiego). Nie jest to bynajmniej miejsce szczególnie upatrzone, lecz wzięte na chybi-trafi. (P. A.).

To wszystko jest jedno zdanie! jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stepy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohatera natura, rycerz nie gawędzeniem wstawiony, ale dzielnością. Słowem: Sawa to mówi! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzęcia sta wierszy takiej samej dalszej gawędy, ujętej w zdania mniej więcej tegoż kalibru!

Żeby takie rzeczy pojąć — u Słowackiego! — nie można się zaprawdę zaspakajać odwoływaniem do tych lub owych okoliczności literackich, jak np. do studyów nad Kalderonem. Był to raczej skutek przewrotu, jakiemu podległo całe stanowisko poety od pierwszej chwili, kiedy do koła Towiańszczyków przystąpił. Był to owoc — że tak powiem: jego nowej wiary.

Od tej pory wyrobił on w sobie bowiem to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego własnym rozumem, ale się staje za sprawą należnego doń ducha. Duch ten — wedle niego — to istota najzupełniej odrębna, będąca w ciągłym prądzie działania w wytkniętym ściśle kierunku. Ciało i cała osobistość człowieka, ze wszystkimi nawet władzami umysłowymi — to tylko doczesny pobyt onego ducha, jakby naczynie które on zapełnia, ażeby je po zużyciu odrzucić i zamieniać po kolei na coraz inne.

Ponieważ duch mieszkający w człowieku, nie może w ciągu jednego życia dopełnić całej misji, dlatego po zgonie albo się rodzi na powrót w nowym jakim celu i ciągnie dalej pracę poprzednich żywotów, albo też jako duch niewcielony i niewidzialny okrąża głowy ludzi mających w sobie pokrewne duchy i wpływa swoją potęgą na nich, ażeby im do ostatecznego spełnienia danego posłannictwa dopomóc. Im

więcej tedy człowiek się poddaje tajemniczemu pchnięciu czyto tego ducha, który w nim i przez niego działa, czy też owych duchów, które go okrążają: tem pewniejszym być może, że to co działa, jest jego obowiązkiem istotnym. Przeciwnie, im więcej polega na sobie samym i na własnym swoim sędzie, im więcej ufa swojej, w trudzie i znoju pozyskanej wiedzy i bierze rzeczy, jak to mówią, na rozum: tem więcej właśnie przez to stawia oporu owym wyższym nieśmiertelnym natchnieniom, a tem samem tem więcej błądzi i grzeszy....

....»Wystaw więc sobie — są słowa poety naszego wyrzeczone w liście do matki z d. 28 lipca 1843 r. — że duch każdy ma swoją misję na ziemi; że duch każdy zawiązuje stosunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną misję miały i o dokończeniu jej dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z nimi, a one wtenczas nam dają natchnienia, i według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serca, a potem nieraz do uszu i oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno, jest z nami — i to jest obcowanie świętych, którego księży nie mogli nam wytłumaczyć, to jest właściwość naszej wiary. O! uczuj to droga i wypracuj, a obaczysz, w jakiej my wielkiej Rzeczypospolitej żyjemy; obaczysz dlaczego jam po morzach wędrował i po pustyniach błądził, a nigdy mi się nic złego nie stało. Bo widziały duchy, że ja w swoim czasie może będę potrzebny¹⁾...

Przyjawszy tedy powyższe założenie za dogmat, miał poeta nasz to przekonanie, że kiedy chodzi o dobitne a skuteczne przelanie w ludzi tego co im potrzebne jest wiedzieć, czy to zapomocą mowy czy pisma: starać się trzeba o jak najzupeł-

¹⁾ L. R. 181.

niejsze poddanie całego swego jestestwa tej bezpośredniej mocy ducha, co działa przez nas, a o jak najdalsze od współdziałania usunięcie tych wszystkich władz naszych własnych, któreby kontrolować może chciały to co się czyni z ducha. Będąc tedy autorem, im się bardziej pisze na oślep, jednym tchem, duszkiem: — tem lepiej!

Z tej to przyczyny znajdujemy często takie oto wyrażenia w jego korespondencji:

»Droga moja! trudność mam wielką w pisaniu tem; albowiem nie jest to pisanie i uwiadamywanie Ciebie, ale przelewanie ducha, który mnie ożywia, w Twego ducha«... (D. 18 marca 1843 r.).

....»Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcej ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzać, żywić Ciebie, rozmiłowywać w Bogu, który tak jest sprawiedliwy i miłośny. On mię wodził po kwiatnych drogach i przywiódł do celu, nie katując mnie cieleśnie, ale łagodnie prowadząc. On staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktownie przypomina z dawnych żywotów.... pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co idą za mną... Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszę. Ale cóż robić! Ty dobra, Ty miła jesteś wielu dobrym duchom z tych, co już poszli ze świata; będziesz więc miała wielu tłumaczy i tych, którzy prawdę potwierdzą«. (D. 28 lipca 1843 r.¹⁾.

Zastósujmy to, co tu w liście czytamy, do tamtoczesnych dzieł poetycznych Juliusza: a będziemy mieli wytłomaczoną całą zagadkę. Pisał on wszystko w tej porze, że tak powiem, jednym pędem, nie zastanawiając się wcale nad tem, co pisał i jak pisał. Nawal pomysłów i obrazów, cisnących mu się w gorączkowo usposobionej wyobraźni pod pióro, uważał za przysłany sobie z woli wyższej i nie przebierając robił użytek ze wszystkiego. A napisawszy — nie śmiał już nic wykreślić ani odmienić, ponieważ poczytywał to sobie za podyktowane niejako z góry. Nie był Słowacki tedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym; ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie w dłoniach czegoś drugiego, coby trudno było sprowadzić do jakiejś nazwy.

W najdosłowniejszem zatem znaczeniu uważać można obydwa te dramaty jego ostatnie za prawdziwe improwizacye. Były to improwizacye i ze względu na dykcję, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne — i ze względu nawet na pomysł. Boć i nad tą wewnętrzną stroną kreacyi nie rozmyślał on już odtąd zbyt wiele. Przyszła mu jakaś idea na myśl — uczuł w sobie, jak się zwykł był wyrażać, jakby mocne pchnięcie od Ducha do pracy: porywał tedy za pióro w pierwszym natchnieniu i tak — bez artystycznego obmyślenia inwencji — rosły postaci i zdarzenia pod tem piórem jego rozbiegłem, aż dzieło stanęło całe. Rozumie się, że nie kto inny, tylko poeta je stworzył; ale sprawę on z nich sobie ani zdawał ani chciał zdawać. Nie sądził bowiem, żeby i to jeszcze należało do niego.

....»Teraz Ci powiem, droga moja (pisał d. 30 listopada 1844 r.), że ja sobie żadnego z moich utworów terazniejszych wytłumaczyć nie mogę, nie wiem

¹⁾ L. II. 175; 182—3.

bowiem, skąd przychodzą, i dokąd idą; ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy ze światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą. Widzisz Ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał: odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłymi a przyszłymi zwycięstwami być powinna; w kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo. . . W innym rodzaju, ale nie mniej dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy. Oto w istocie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie — nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. A dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawymi literami napisaną. Mniejszych mnóstwo mógłbym Ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdy jechałem do Nazaretu, nazywał się Kirkor — tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi (w Balladynie) że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby zbawcę itd. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie? . . . Rzeczy te małe, uważane dowodzą, że spełniamy jakąś misję; że nas trzeba było, abyśmy byli, a nie będzie, jak nie będzie potrzeba¹⁾ . . .

Po tem wszystkiem, com powiedział, rozumiem, że nie będę się potrzebował tłumaczyć przed czytelnikiem, dlaczego nie uważam za stosowne podejmować właściwego rozbioru Księdza Marka i Snu Salomei. Są to rzeczy, któreby rozbioru szczegółowego wcale nie wytrzymały. W Księdzu Marku znaj

dują się niewątpliwie tu i owdzie (a szczególnie w akcie I) ustępy genialnie napisane i takiej siły, że małooby który utwor dawniejszy — nie tylko Słowackiego, ale któregokolwiek z najznakomitszych poetów naszych, potrafił ukazać w składzie swoim coś podobnego! Ale całość kompozycji i ogólne autora założenie żadną miarą myślącego człowieka zaspokoić nie może. Czytałem przed kilku laty jakiś nibyto rozbiór tego dramatu, napisany przez jakiegoś bezimiennego, który o nim sądził inaczej¹⁾. Argumenta owej krytyki niestety nie zdołały mi otworzyć oczu na osobliwe piękności, jakie w nim autor szanowny ten upatrywał! Zdaje mi się, że trzeba szczególnego bałwochwalstwa dla talentu Juliusza, ażeby posunąć się aż do wyrzeczenia słów, że »głęboko pomyślany i mistrzowsko rozprawadzony jest ten dramat«. Byłbym niemało wdzięczny autorowi, gdyby krótko a węzłowato raczył określić ów pomysł, który mu się w Księdzu Marku wydawał tyle głębokim; i gdyby nie w luźnych słowach, ale w sposób właściwy chciał wskazać objawy upatrywanego w nim mistrzowskiego przeprowadzenia. Możebyśmy przy tej sposobności usłyszeli jakie nowe idee estetyczne, któreby nam przyniosły nowe kryteria piękności w sztuce. . . . Że w Księdzu Marku trafiają się tu i owdzie potężne szczegóły, to sam z góry przyznałem. Te jednakże nigdy się z sobą nie kleją i nie tworzą w połączeniu takiego ogólnego obrazu, któryby czytelnika zachwycał i podnosił. . . . Książdz Marek ma skądinąd tę jeszcze niepospolitą zaletę, że czuć w nim pęd bezpośredni natchnienia i surową wiarę

¹⁾ Obacz pismo krakowskie periodyczne Turowskiego *Niewiastę* (r. 1862 Nr. 13 i następne).

¹⁾ L. II. 214—5.

pisarza w to wszystko, co wypowiada. Widać też i obecność utajoną na dnie serca poety, pewnej żywotnej myśli, o której na jaw z wielkim trudem wydobyć mu chodzi. Myśl ta wszelako zaledwie się snąć dopiero rodzi w twórczości jego ducha. On jej sam nawet jeszcze twarz w twarz nie ogląda! A i my ją w dziele jego zaledwie odgadujemy. Nie przyszło bowiem do tego, ażeby idea zamieszkała w całej osnowie dzieła i była przeprowadzoną jak prąd elektryczny przez wszystkie jego włókna i tkanie.

Wogóle trzebaby być choć do połowy Towiańszczykiem, ażeby mieć zdolność pochwycenia całej intencji autora. Wszystko tu bowiem polega na przypuszczeniach, na które, jeśli się nie jest w tym wirze pojęć, wcale przystać nie można. Każdy krok w postępie dramatu polega na interwencji władz nadzmysłowych. Od cudownego wystrzału z działa, kiedy książd Marek Krasinśkiego do pozostania w Barze na początku sztuki namawia, aż do śmierci bohatera w samym jej końcu, wszystkie prawiesceny są to cuda! a co gorsza, cuda nieuzasadnione ze stanowiska poprzednich działań. Takie powiązanie zdarzeń, taka logika faktów — to już sfera, w której człowiekowi być zaczyna duszno i obco i tak nieswojo, jak na ementarzu o północnej godzinie¹⁾.

— »Sen Srebrny Salomei« nierównie więcej ma ujęcia i wykończenia, aniżeli utwor

¹⁾ Dokładny rozbiór dramatu podał K. Libelt w swych »Pisnach krytycznych« (Poznań 1851 II. 189—213). Ob. następnie: St. Tarnowski (Przegląd polski 1867 II. 392—6) i P. Chmielewski (Kobiety Mick. Słow. i Kras. (Kraków 1894 str. 206 i n.). W objaśnieniach dramatu w wydaniu dzieł Słowackiego (VI. 432—441) przytacza dr. H. Biegeleisen »Pieśń konfederacką« z r. 1770 przypominającą duchem i formą »Pieśń konfederatów« na początku I-go aktu »Księdza Marka«.

poprzedni. Mimo to jednak i tutaj ostateczny zamiar autora nie jest tak jasny, żeby się sam przez się odsłaniał.) Na pierwsze spojrzenie zdaje się to być tylko prosta udramatzowana powiastka o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobnem dopiero wskutek różnych nieszczęść i trwóg krajowych, jakie przeszły ludziom ówczesnym ponad głowami. Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta romansem dramatycznym — a więc niejako powiastką, romansem. Z tem wszystkiem przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencye głębsze, które ze sprawą tych dwóch małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa narodowego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną że tak powiem na pierwszym planie, a temi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te idee, te wieszczce przekonania poety, te sądy o społecznych narodu naszego winach, fatalnościach a w najdalszej perspektywie wreszcie nadziejach były więcej sformułowane i artystycznie wcielone; gdyby na koniec nie było ze strony i samej formy tyle powodów do protestacyi: byłoby to jedno z najznacniejszych arcydzieł naszych. Byłby to pomnikowy wyraz wieszczcej teodycei ducha polskiego! Ale właśnie tej pewnej ręki, tej świadomej myśli artysty i filozofa nie widać w Śnie Salomei! Są tu tylko zarody i błyski genialnego pomysłu: ale do rozprawienia tego pomysłu i postawienia go na jaw wszem wobec i każdemu z osobna — na nieszczęście nie przyszło! Migają się tedy tylko od czasu do czasu przed oczyma naszymi złudne skazówki, w myśl których idąc, zdaje nam się, że potrafimy podążyć w ślady za pędem wyobraźni poety. Ale każda taka skazówka przez krótką tylko chwilę wiedzie do celu, a niebawem potem

zawodzi. Albo ją bowiem zgoła tracimy z oczu, albo też doprowadza nas ona do takich punktów widzenia, że patrząc z nich na to co się dalej otwiera, nie radziibyśmy szli dłużej tąsamą drogą; czujemy bowiem, że błądzimy po jakimś labiryncie, z którego niema wyjścia....

Dlatego też jeżeliby się miało określić etyczną ideę *Snu Salomei*, trzeba by treść dramatu do połowy prawie zapomnieć. Tylko bowiem z oddalonego spojrzenia na całość tej zawilej i przeładowanej kreacji można odważyć się do czynienia wniosków o głównej intencji autora. Niejednoby też dopiero trzeba nadłożyć, a niejedno jako niepotrzebne i zawadzające usunąć, jeżeliby miał stanąć przed nami czysty i cały pomysł poety ¹⁾.

— Po ogłoszeniu *»Księdza Marka«* i *»Snu Salomei«* Słowacki nie ustawał w ciągłej pracy to nad tym, to nad owym przedmiotem. Nowe wyobrażenia, które wstrząsały całym jego jestestwem, nasuwały mu coraz dalsze widoki i zażęgały go do coraz innych przedsięwzięć. Chodziło o poetyckie na jaw wydanie tego wszystkiego. Rzecz było trudna nad wszelki opis. Najoderwanisze pojęcia, najmglistsze filozofematy, najniklejsze błyski w genialnej lecz chorobliwej fantazyi, miały się przywdziewać w ciało i przetwarzać w kształty plastyczne. Najczęściej kończyło się też na zamiarach, na planach, na samem tylko wreszcie zaczęciu dzieła. Już to niestosowność

¹⁾ Kilka uwag o *»Śnie srebrnym Salomei«* znaleźć można w znacznej ocenie niniejszej książki przez St. Tarnowskiego (*Przegląd polski* 1867 II. 393—6) i w dziele P. Chmielowskiego: *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego* (Kraków 1894 str. 206 i n.). F. Hörsick (*Życie Słow.* III. 344) wypowiada mniemanie, że dramat pisany był z myślą o pani Bobrowej, tak jak *»Książdz Marek«*.

w samym wyborze przedmiotu, już przechodząca poza wszelkie granice sztuki przedmiotu tegoż rozległość, już наконец i samo to nieustające nasuwanie się coraz nowych projektów, wytrącało pocie pióro z ręki nad rzeczami co tylko rozpoczętemi...

W następstwie tych wszystkich wyjątkowych okoliczności pozostało z tej epoki życia Słowackiego wiele pism różnych, noszących wyraźnie znamię jego usposobienia w tych latach. Jest między nimi znaczna ilość wierszy ulotnych i lirycznych, po większej części teozoficznej treści. Niektóre z nich świadczą wymownie o dawnej sile tego genialnego poety, niektóre znowu giną zupełnie w mglistościach mistycyzmu. Z tej też przyczyny zaledwie połowa tego, co się z lirycznych poezyi dało wyszukać w papierach po śmierci autora, mogło znaleźć pomieszczenie w pozgonnym zbiorze dzieł jego.

Nie brak także i na dłuższych utworach, najczęściej dramatycznego zakresu, które przypadają na one lata. Wszystkie pisma tej kategorii doszły nas tylko w niewykończonych ustępach i urywkach, które zapewne nigdy nie tworzyły całości. Urywki te jednakże dochodzą niekiedy obszerności kilku set, a czasem i kilku tysięcy wierszy ¹⁾.

¹⁾ Drobnie utwory Słowackiego, nieponieszczone w wydaniu dokonanem przez autora niniejszej książki, publikowali w rozmaitych pismach H. Biegeleisen i J. H. Rychter; ten ostatni zebrał je razem i wydał p. t. *J. Słowacki. Poezye, utwory dramatyczne i proza*: (Kraków 1889). W zbioru tym obok drobniaków, mieszczą się następujące fragmenty dramatów: *Agezylausz*, *Zawisza Czarny*. Z dziejów wielkiego Nowogrodu i *Scena w Malborgu*. Tekst w tej edycyi nie jest zbyt poprawny. Poważna ocena tego wydania wyszła z pod pióra P. Chmielowskiego p. t. *Nowe fragmenty J. Słowackiego*. (Ateneum 1890 I. 101—8); o dramacie *Agezylausz* pisał St. Tarnowski (*Niwa* Warszawa T. XXVIII. str. 863—4).

Jest między nimi np. znaczna część jakiegoś dramatu osnutego na tle starodawnych dziejów Nowogrodu. Chodziło, zdaje się, o okazanie despotyzmu Mongołów nad spodłonymi książętą Rusi. Rzecz ta jest bez dokończenia, obejmuje wierszy 628. Jest pisaną pod wpływem tradycyi Kalderonowych, owym dyalogiem długim i przeobfitym, któryśmy już wytknęli przy innej sposobności. Nie zdawało mi się, żeby dzieło to zasługiwało na ogłoszenie; w tym stanie bowiem, w jakim ono pozostało, mało by kogo osnową swoją zajęło. Nad wszystkiem góruje tu mistyka i niezrozumiałość.

Do pism tegoż rodzaju i czasu odnoszę fragment liryczno-dramatyczny, który zamieściłem w pierwszym tomie mego wydania pod napisem **Poeta i Natęchnienie**¹⁾. Ze stanowiska ówczesnej doktryny autora, «natęchnienie» nie znaczy podniesionego stanu duszy człowieka, ale istotę odrębną, która go okraża i jest osobnym duchem. Dał mu tu autor nazwę Atessy. Utworowi niniejszemu nie można odmówić pewnego wdzięku i artyzmu w oddaniu; chociaż podobać się bardzo mogą tylko poszczególne ustępy, a całość jest niezrozumiała. Niezrozumiałości tej nie to przyczyną, że fragment nie tworzy większej całości, ale że nam tak zupełnie brakuje klucza do otworzenia sobie i wglądnięcia w ten cały świat mistycznych wyobrażeń i wierzeń, wśród jakich w owym czasie brnął wyobraźnią i wiarą swoją Słowacki. Cała treść utworu, o którym tu mówimy, ściąga się do przeszłych żywotów, jakie autor w najodleglejszych epokach przypisywał sobie jako przebyte przez

Dość dokładne zestawienie bibliograficzne utworów poety, drukowanych w rozmaitych czasopismach — najwięcej w «Warcie» — podał H. Biegeleisen. (Dzieła Słow. V. 382—405).

¹⁾ Pisma pośm. I. 253—271.

siebie. Trzebaby przeto te wszystkie marzenia jego ówczesne znać szczegółowo, rozumieć urywkowe alluzye do nich odnośne, których taka obfitość w tym poemacie. A to jest rzeczą tem bardziej niepodobną, że tego rodzaju marzenia ciągle się w duchu Juliusza przeistaczały, jak się to wykaże dowodnie w rozbiórze Króla-Ducha.

Pozostały też fragmenty z nader rozległego jakiegoś przedsięwzięcia, którego przedmiotem miał być **Zawisza Czarny**, ten rycerz bez trwogi i fałszu, słynny w ciągu panowania Władysława Jagiełły. Jest to utwor dramatyczny z rodzaju rzeczy nieprzeznaczonych dla sceny. Zawizek sztuki stanowi zwycięstwo Jagiełły nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Zachowanie się obłudne cesarza Zygmunta względem króla polskiego, zdaje się, że miało posłużyć za tło dla dalszej osnowy. Wplata się też do tego i romans jakiś. Ale pierwszorzędną potęgą z ducha i sprężyną wszystkich zdarzeń, które się tylko tam dzieją, jest w tym poemacie Zawisza, osobistość tajemnicza, głęboka, nieodgadniona, słowem mesyaniczna — coś na kształt księdza Marka w zakresie konfederacyi barskiej, lub Wernyhory pośród scen rzezi humaniskiej. Stan rękopisu mieszczącego w sobie ten utwór, daje wnioskować, z jaką trudnością połączony był dla autora, pracującego dawniej z taką łatwością, ten trud wcielania w dramatyczne kształty poezyi, mętnych i niechwytnych pojęć nowej doktryny. Niektóre części są przemazane po pierwszym rzucie i przerebione inaczej, i to nie tylko po raz drugi, ale niekiedy i trzeci. Wreszcie całe założenie rzeczy snad się musiało autorowi uprzykrzyć. Porzucił co był napisał, i już potem nigdy nie tknął na nowo tego przedmiotu. Pozostało tedy kilka tylko już to dłuższych już krótszych ustępów, nie stanowiących ani

całości ani ciągu. Gdyby je złożyć, wypełniłyby one razem kilka arkuszy druku. O planie zamierzonej całości nie można sobie z tego utworzyć żadnego wyobrażenia. Co jest wykonane, okazuje myśl głęboką, ale pracującą pod brzemieniem czegoś chorobliwego. Dlatego też widziałem się zmuszonym wyłączyć poemat niniejszy z liczby rzeczy przeznaczonych do ogłoszenia.

Do tegoż czasu odnieść należy jeszcze jeden utwor takież formy i podobnej osnowy. Mówię o poemacie fantastycznym, pełnym najśmielszej cudowności, który nie wiem jakby mógł być najstosowniej nazwany. Jednym z tytułów, jakie się nasuwają, mógłby być **Samuel Zborowski**¹⁾. Jest to rzecz nie wykończona, wielkich rozmiarów — obejmuje około 3 tysięcy wierszy; pomimo tego daleko tu jeszcze od ostatniego z tychże wierszy do końca. Autor zamierzał tu w poetyckiej szacie ukazać fundamentalne pewniki swojej wiary filozoficzno-społecznej, jako je później wyłożył w traktacie prozą pisanym, a zatytułowanym »Geneza z Ducha«. Wyprowadził zatem na scenę w »Samuelu Zborowskim« i ludzi żyjących i duchy umarłych i fantastyczne postaci, wzięte jużto z różnych mitologii pogańskich, już ze starego Testamentu. Chodziło mu nasamprzód o ukazanie tego wątku twórczego (którym wedle niego jest duch), snującego się genetycznie a nieprzerwanie przez wszystkie stopnie i warstwy rzeczy stworzonych, od najnieudolniejszego jestestwa do coraz wyższych w łańcuchu stworzeń organizacyi zwierzęcych, aż nareszcie do objawienia

się wyraźnej już duchowości — w człowieku. A dalej zależało poecie także na stawieniu przykładu, jako i odtąd jeszcze, duch nieśmiertelny, już działający w człowieku, nie zaprzestaje tego ruchu coraz wyżej go niosącego, lecz zamieszkuje w kolei czasu coraz inne ciała ludzkie, szukając sobie form coraz dogodniejszych i doskonalszych. Przed oczyma tedy naszymi odbywają się w poemacie tym ciągle prze-rodzenia i metempsychozy, skutkiem których nieraz jedno i to samo ciało służy coraz innym duchom za szatę, i odwrotnie jeden i tensam duch przybiera sobie po kolei coraz inne ciała za naczynie i narzędzie istnienia. Czytelnik wyrozumie, że już wskutek samego założenia, wskutek samego mówię przedmiotu, poematowi temu zbywać zupełnie musi na jednolitej i jednolitej osnowie. Składa on się z kilku działów, bardzo luźnie spojonych z sobą. Dwa między nimi są szczególnie odrębne. Pierwszym z takowych jest wywód, dany tylko w kształcie opowiadania, a nie dyalogu, opowiadania mówię włożonego w usta istoty, która sobie wszystko to przypomina, czem kiedykolwiek była. Wywód ten obejmuje wszystkie przemiany i koleje stworzenia przed przyjściem na świat człowieka, a zatem niejako kosmogonię czyli genezę przyrody martwej i zwierzęcej przed wyłonieniem z materyi rodu ludzkiego. Główną rolę odgrywa w tych ustępach »Lucyfer«, który bynajmniej nie występuje tu jako duch zły, lecz tylko jako duch przeczenia i ruchu, a więc — że tak powiem — jako pierwiastek w zakresie natury »rewolucyjny i wiecznie wszechczynający«. Widząc w nim poeta powód wszelkiego postępu, czynnik nieznużonego prądu coraz wyżej w stworzeniu, uważa go za przedwiekowy zaród ducha, który z nim zamieszkał w człowieku, stawał się po kolei wszystkim, co tylko w świecie stworzonym istnieje,

¹⁾ Dramat ten wydrukowano w »Echu muzycznym i teatralnym«. (Warszawa 1884. Nr. 50—54).

więc wiewem atmosfery, wodą, kamieniem, płazem itd. itd. Duch ten więc w taki sposób przenikał się i przewił w tysiącu postaciach i jestestwach przez całe przyrodzenie. — Drugim epizodem, równie stanowiącym pewną całość odrębną, jest w tym utworze spór duchów ludzi, którzy i za życia wyznawali wprost sprzeczne sobie idee i wyznają je z równą wyłącznością i po za grobem, wytaczając ostatecznie ten proces odwieczny zasad przed najwyższą instancję — przed sąd Boży.... Wprowadzony jest na scenę duch Samuela Zborowskiego i zapożywa przed trybunał samego Boga Jana Zamojskiego, oskarżając go o niesprawiedliwy i występnie wydany wyrok śmierci, którego na nim kazał dopełnić. Zamojski — jak tylko może — usprawiedliwia swoje postępowanie. Powody jego zdają się być wielkiej wagi. Ale w charakterze »Adwokata« Zborowskiego występuje zrazu znowuż ów Lucyfer, a w dalszym toku wytwarza się z Lucyfera samże poeta nasz, gorliwie przemawiający w obronie swego klienta. I Samuel.... wygrywa proces! Dlaczego zaś ten właśnie moment dziejów polskich obrał sobie autor na okazanie światodziejowego swego problemu, z tego się nie tłumaczy.

Przeczyć temu oczywiście nie można, żeby nie miała i w tej kreacji uderzać w tem lub w owem miejscu potężna zdolność poety; całość jednakże smutne sprawia wrażenie! Bezład — zamęt — brak zupełny tak artystycznego układu, jako i jasnych pojęć — wszystko to zdradza, z jak mętnego stanu duszy dzieło niniejsze wynikło. Wiersz i dykcyja jest z rodzaju Księdza Marka i Salomei. Jak owe wywody kosmologiczne uchodzić muszą w oczach prawdziwego znawcy w tym zakresie umiejętności, za bałamutną tylko zmyślną głowę fantazmagoryę: tak też i wyobrażenia o dziejach naszych i o porządku

polityczno-społecznym, rozwinięte w ustępie o Zborowskim — nie wytrzymałyby ani na chwilę historycznej krytyki. Słowacki upatruje w Samuelu typ czegoś bardzo wzniosłego; widzi w nim narzędzie opatrnościowych zamiarów i twierdzi, że go Zamojski na śmierć skazał nie tylko niesprawiedliwie, ale i ku niepowetowanej szkodzie dla całego powodzenia narodu. Przez tento bowiem wypadek miał się bieg życia politycznego Polaków najfatalniej skrzywić i cofnąć na kilka wieków.... Co to jednak za wzniosłość i wielkość była w Zborowskim? i na jakich podstawach opiera się pewność poety, kiedy się tak stanowczo z zdaniem podobnem odzywa? — na to w poemacie odpowiedzi nie znaleźć.

Oczywiście w żaden sposób nie można było drukować rzeczy tej razem z innemi Słowackiego dziełami, które objęto w wydaniu lwowskiem.

To są prace z owej epoki w zakresie poezyi. — Więcej jeszcze pozostało pism treści niby rozumującej i teozoficznej, prozą, pochodzących z tegoż czasu. Pomimo wielkiej takowych ilości, i to są same prawie tylko rzeczy pozaczynane, urywkowe, ledwie czasem wyjątkowo wydatniejszą całość tworzące.

Słowacki w owych latach, jak to widać ze wszystkiego, bardzo wiele musiał rozmyślać. Formułował i budował on sobie z wielkiem wysileniem jakiś powszechny system wiary i wiedzy. Chciał w nim ująć różne swoje pomysły w jednym wywodzie. Brak porządnego naukowego przygotowania, ubóstwo pozytywnej wiedzy, mała wprawa w ścisłym myśleniu, niewielka znajomość życia, serca ludzkiego i tego toku, jakim idą sprawy na świecie — oto przyczyny, które sprawiły, że te usiłowania jego zupełnie mu się nie wiodły. Pomysły jego były czasem, choć bardzo rzadko, błyskami genialnej intuicji. Zazwyczaj

były to jednak tylko luźne marzenia, dziwolągi filozoficzne, utopie społeczne W każdym razie atoli przyznać należy, że pracował on w owej porze umysłem ciężko i wiele. Czytał dzieła w różnych przedmiotach, zaciekał się w poszukiwaniach nad ostatecznymi kwestyami życia, biorąc w pomoc wszelkie nauki, zaglądając nieraz i do dzieł filozoficznych, nawet niemieckich, o ile one zapomocą tłumaczeń były dla niego przystępne.

Wskutek takiego naprężenia umysłu nad przedmiotami więcej naukowej i praktycznej natury, pozostało w papierach jego notat i najrozmaitszych studyów prozą pisanych z owego czasu tyle, że wnosić można, iż utwory poetyckie, o których co tylko dałem powyżej wiadomość, stanowić musiały wyjątkowe chyba tylko zajęcia poczynawszy od roku 1842. Są to aforyzmy, sentencye, filozofematy, rozmyślania — w zakresie religii, znawstwa przyrody, mitologii, historyi społecznych teorii: wreszcie modlitwy, kazania (miane zapewne w gronie współwyznawców), odezwy dogmatyczne do niektórych osób w materii przyswojonego sobie systemu, a czasem i dłuższe prace. Te ostatnie pisane były zazwyczaj w formie dialogu, na wzór Platonijskich dyalogów, albo też w kształcie ewangelii i apokalipsy.

Z tych pism wszystkich użytku zrobić nie było można dla świeżo dokonanego dzieła pośmiertnych wydania, ponieważ są to rzeczy, jak się już powiedziało, bez początku i końca i niedoprowadzone też do tego choćby tylko względnego stopnia jasności, iżby dobrze rozumieć można było, co chciał przez nie Słowacki ostatecznie powiedzieć. Pełno tam zawsze bowiem przypowieści, porównań, obrazów poetycznych, słowem najśmielszych rozpędów i zboczeń, które nibyto mają tem lepiej kwestyę rozjaśnić, ale jej bynajmniej nie rozjaśniają. Zabierają tylko miej-

sce, rzecz na tem nie nie zyskuje, a to, o co chodziło, tymczasem ulatuje z przed oczu

Jedna pomiędzy temi pracami, nieco później zapewne wykonana, znalazła się w papierach w takim kształcie, że ją uważać można i za syntezę niejako wszystkich owych przygotowań zrazu daremnych i za wysłowienie ostateczne całej wiary i wiedzy poety, na której sformułowaniu i przekazaniu potomności tak bardzo mu zależało. Napis tego utworu: »Genesis z Ducha, Modlitwa«¹⁾. Jestto rzecz dłuższych rozmiarów, wypowiedziana uroczystością, w formie wyznania wiary, zwróconego ku samemu Stwórcy wszech rzeczy, a zatem rzeczywiście w formie modlitwy.

Oto początek tego mistycznego traktatu:

»Na skałach Oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego: a jam się nagle uczułem w przeszłości Nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońce i gwiazd girlandach.

»Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie — a jam²⁾ był w Słowie.

¹⁾ Ciekawej treści jest artykuł I. Matuszewskiego p. t. »Mistyczne pisma Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu«. (Swoi i obcy. Warszawa 1898. str. 233—270); zestawienie »Genesis z ducha« z doktrynami spirytyzmu i okultyzmu wykazuje rzeczywiście pewne analogie.

²⁾ »Jam« nie ja; bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze. (Pryp. Słowackiego).

»A my, duchy słowa, zażądaliśmy kształtów!), i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, iżeśmy sami z siebie z woli naszej i z miłości naszej wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

»Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyłeś od duchów, które obrały objawienie się w ciemności; i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z której Ty Panie odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla której wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

»Tu gdzie za plecami moimi palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie przysnione oczom Homera; tu gdzie odstrzeżone słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągły głos pracującego na formę Chaosu: tu gdzie duchy tasmą, co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota — nad temi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając: pozwól mi Boże, że jako dzieciątko wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojej przeszłości»....

Po takim początku, obejmuje dalsza osnowa Genezy z Ducha niejako przypomnienie pierwszych początków odwiecznej istności świata, przypomnienie zaczerpnięte z wnętrza własnego ducha, który w tem wszystkim uczestniczył. Jest to więc w kształcie dziejowej opowieści, w kształcie platońskiej anamnezy, obraz kolejnego przeobrażania się i dosko-

nalenia planety naszej, z tem wszystkim co na niej żyje i żyło. — Nie brak w tem dziele rzeczy, które bardzo pięknie i poetycznie pod względem formy rozpowiada poeta: jednakże nie można w niem niewiedzieć też wielu marzeń i dziwnie przekręconych pewników naukowych. A główna myśl, którą odsłania jakby objawienie nowe, sobie dopiero odsłonięne, nie jest i nie była już wtedy właściwie niczem nowem w nauce. Mówię tu o tem dziś już powszechnie uznanem założeniu, że wszystkie rzeczy i żyjątka w stworzeniu — od kamienia począwszy aż do organizmu człowieka — stanowią łańcuch nieprzerwany i jednolity. Wszystkie ogniwa tego łańcucha są to jakby stopnie coraz wyższego wyrazu tej siły twórczej, która to wszystko wydobywa z niebytu, z łona materii. Cała »Filozofia Natury« Hegla (niemniej zresztą w szczegółach bałamutna, jak i Geneza Słowackiego) jest już na tejsze właśnie idei oparta.

»Genezę z Ducha« uważał Słowacki za najcenniejsze dzieło swoje, za plód pracy najwięcej zasługujący na ogłoszenie, że wszystkiego co tylko kiedykolwiek napisał. Twierdzenie niniejsze opieram na następującej okoliczności. Do manuskryptu, bardzo czysto przepisane własną ręką poety, znajduje dodaną kartkę z następującym napisem: »Genesis z Ducha, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał, zawiera bowiem Alfę i Omegę świata«. Słowa te zanotowane tu zostały przez przyjaciela i nieodstępного towarzysza poety w jego ostatnich chwilach, o którym w dalszych rozdziałach będzie wzmianka osobna.

Dodał potem Słowacki do Genezy, w osobnym urywku, jeszcze i wykład ze swego stanowiska tych pierwszych chwil istnienia rodu ludzkiego na ziemi,

1) Ew. o Bogu mówi: W Nim był żywot a żywot był ona światłością-ludzką, ale nie osobistościami ludzkiemi. Bo Ja jeżeli równocześnie z Bogiem było, to człowiek Boga równnikiem (Przyp. Słow.).

których przypomnienia złożone są częścią w mitologii, częścią w księgach starego Testamentu. Bujne i to było pole dla marzącego umysłu! Od chwili jaśniejszej wiedzy dziejowej, na progu wieków jakkolwiek oświeconych pochodnią historii — rzecz się urywa....

Wszystkich tego rodzaju pism Słowackiego nie objąłem w wydaniu, które ażeby mogło być doprowadzone do skutku, koniecznie musiało być ściągnięte do jak najkrótszych rozmiarów i mieści w sobie to tylko, co jeżeliby było przepadło, stanowiłoby prawdziwą stratę dla ojczystej literatury. Zresztą uważałem jakby za wykroczenie przeciw cieniom mego poety, ogłaszać rzeczy, które ani jemu sławy ani czytelnikowi pożytku nie zdawały się obiecywać. — (Genesis z Ducha może być ciekawym materiałem do poszukiwań w zakresie Towiańszczyzny; ale do poszukiwań takich mało kto zapewne znajdzie w sobie ochotę. Ogół czytających szemrałby na wydawcę, gdyby się kosztem znacznie podwyższonej ceny było w taki sposób powiększyło ilość tomów pośmiertnego wydania ¹⁾).

¹⁾ Wskutek kilkakrotnych żądań, wypowiedzianych w pismach peryodycznych, została później i ta Genesis z Ducha ogłoszona w Strzesze z roku 1871. Dano ją i w osobnej odbitce (Lwów 1871). Najnowsze wydanie wyszło we Lwowie w r. 1884; oprócz »Genesis« mieści się w niem: »List do J. N. Rembowskiemu«, »Wykład nauki« i »Dziennik z r. 1847—9«. Wydawca, dr. H. Biegeleisen opatrzył je obszernym wstępem i objaśnieniami. Autografy tych utworów Słowackiego posiada biblioteka Ossolińskich. (Inw. rękopisów nr. 1792).

XVIII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król-Duch — wykład pierwszych rapsodów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza »Do autora trzech Psalmów« — okoliczności chwili owej towarzyszące — stosunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane.

Wszystkie prace w rozdziale poprzednim wymienione, prócz jednej chyba Genezy z Ducha, zdają się samą swoją powierzchownością świadczyć o tem, że powstały pod wpływem, jak się Słowacki sam przy pewnej sposobności wyraził, »pierwszego szalu rozbudzonych ducha wnętrzości«. Nie było mi wprawdzie podobno, szczegółowo oznaczyć czasu, kiedy każda z nich mogła być napisaną; ale tyle będzie pewnem, że przypadają one wszystkie na pierwsze lata owej mistycznej doby w jego życiu. Idee jego były wtedy jeszcze w nieustającym ruchu przekształceń. Sam on jeszcze nie pojmował się w tym nowym swoim względem wszystkiego, co wcielone i niewcielone, stosunku. Przechodziły mu przez głowę zagadnienia olbrzymie, myśli błyskawiczne, które nie tylko dlatego nie dawały się z powodzeniem zużytkować artystycznie, że sobie z nich sam poeta

nie umiał jasnej zdać sprawy, ale że i zbyt rozległe to były pomysły. Każda sztuka, a zatem i poezja, wymaga pewnego ograniczenia, skoncentrowania, ujęcia tego, co by się rado w nieskończoność rozpląnąć, w pewnym ścisłym zakresie. Ekscentryczność przedmiotu najniebezpieczniejszym bywa szkopułem dla wszystkich przedsięwzięć poetyckich.

Po upływie pewnego czasu Słowacki choć trwał i nadal przy powziętym kierunku i bynajmniej nie opuszczał sztandaru nowej doktryny, jednakże przetrwał do pewnego już stopnia nowe swoje wyobrażenia i zaczął, że tak powiem, czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu ukazywać artystę, artystę pierwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jeszcze i potem, ale już nie w tej gęstości, żeby wartość ich jako dzieł poetyckich miała cierpieć na tem do tkliwie. Owszem — zdaje się niekiedy, że ten lekki wiew ekstatycznej zadumy, ten tajemniczy odblask bezdennej wiary i fantastyczności w autorze, przydaje im prawie głębi i wdzięku. Można się wtedy nie godzić na ostateczne następstwa, do jakichby uboczne intencje poety, zaledwie dostrzeżone w dziełach jego tej daty, prowadzić mogły. Ale też i nie można utworom tym zaprzeczyć — z ich stanowiska — niepospolitej nieraz głębokości w pomyśle, a nie-zrównanej z niczem siły w wysłowieniu i rzucie...

Do liczby rzeczy tego właśnie rodzaju nie wahałbym się zaliczyć mianowicie „**Rozmowy z Matką Mokryną**“. Nie wchodzę w to, czy wszystkie rysy tego obrazu są rzeczywiście wzięte że tak powiem z natury; wiadomo mi, że osoby niektóre, dobrze jak powiadają z całą tą sprawą obeznane, wytykają poematowi temu pod tym właśnie względem miej-

scami przesadę: — biorąc wszelako utwor ten jako dzieło sztuki, której zadanie nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości niewolniczem nawet w ubocznych najdrobniejszych szczegółach, lecz na ujęciu ducha zdarzeń, o które chodzi, zdaje mi się, że go można śmiało zaliczyć do arcydzieł w tym rodzaju poezji. Z dawniejszych prac Słowackiego najwięcej zbliża się do niego poemat o Ojcu Zadźmionych, jako podobny obraz strasznej boleści i grozy. Objawy Towianizmu są w Rozmowie tak nieznanne, artystyczny jej układ tak prosty, a moc słowa taka potężna, że zaledwie uwierzyłby można, że to jest dzieło właśnie lat owych, a nie kiedyś dawniej stworzone. Że tak jednak jest, tego dowodzi najprzód sam czas wypadku, który dał powód do podjęcia tego przedmiotu, a potem i ta okoliczność, że w rękopisie własnoręcznym poety, w którym się mieści pierwszy rzut tego dzieła, znajdują się w niektórych miejscach, pomiędzy jednym ustępem a drugim, różne — nienależące do osnowy poematu odezwania do Boga, ułożone w najprostszych wyrazach prozą, jakie pisać na będących pod ręką papierach swoich, było w owych dopiero latach zwyczajem i niejako potrzebą duszy naszego poety. Są to różne definicje dogmatów jego doktryny, aforystycznie wyrzeczone w formie modlitwy zwróconej do Boga samego, jako bezpośredni wylew serca wzbierającego wdzięcznością, że mu jest danem mieć świadomość rzetelnej prawdy. Miejsca takie, jak już wspomniałem, wprawdzie nie zostają w żadnym związku z poematem, o którym tu mówimy; ale dają podstawę do najpewniejszych wniosków o czasie, kiedy ten poemat powstał, i o usposobieniu ducha, którego był owocem).

1) Pamiętniki Mieczysławskiej wydano w Poznaniu w r. 1880; nader ciekawe uwagi mieści o niej książka ks. P. Smolikowskiego: *Historja*

Drugim dziełem tejże doby, ale wykonanem w zupełnie innym rodzaju, jest **Król-Duch**. Część początkowa poematu tego, nazwana »Rapsodem pierwszym« została ogłoszona za życia jeszcze poety, w roku 1847 (rzeczywiście w końcu 1846) w Paryżu, bezimiennie, bez karty tytułowej w formacie wielkiej ósemki, stron 24. — Były to tylko trzy pierwsze pieśni, stanowiące poniekąd odrębną całość. Wrażenia one na publiczności żadnego nie wywarły. Mało przez kogo przeczytane do końca, potępione jako dziwactwo, przeszły przez ogół prawie niepostrzeżone. Trudno bo też było z tego ułamku wyrozumieć istotną myśl poety i urobić sobie choćby jakiegokolwiek wyobrażenie o całkowitem założeniu utworu. Był to ustęp wprawdzie głęboko pomyślany, w pojedynczych działach z wielkiem dokonany mięstrzostwem i słowa i wogóle artyzmu: lecz skądinąd tak oderwany i trudny wtedy jeszcze do zrozumienia, że nie mógł nie zdawać się zagadką wszystkim niewtajemniczonym w mistyczną autora doktrynę.

Tento zupełny brak udziału ze strony czytelników wstrzymał też zapewne Słowackiego od drukowania dalszych rapsodyi. I tak skończyło się na tem, że do niedawna publiczność nasza nie знаła nic więcej z tej całej kreacyi, jak tylko ów jeden rapsod; i że do dzisiaj poemat ten cały prawie powszechnie uchodzi za rzecz, która się usuwa z pod wszelkiego rozbioru....

Słowackiego ciągle marzeniem, od pierwszej chwili przyjęcia doktryny Towianizmu, była myśl

Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego (Kraków 1892/6 t. I—IV).
Ob. nadto »Sprostowanie« w »Przeglądzie poznańskim« z r. 1861.
(T. XXXI. str. 366—8).

przyobleczenia nowych idei w szaty poezyi. Widzieliśmy w powyższem, jak wszystkie prace jego od roku 1842 poczynawszy, polegały na tej jedynej dążności. Nie chodziło mu już odtąd o tworzenie ideałów fantazyi w zwyczajnym sensie; nie chodziło o artystyczne dokonywanie dowolnych założeń poetycznych. Chciał on podnieść znaczenie i zasługę poezyi daleko wyżej. Miał to być jeden ze sposobów wieszczego objawienia światu istnej bezpośredniej prawdy, t. j. tajnych dogmatów i tych wszystkich rzeczy zakrytych, których wypowiedzenie w innej formie przewyższałoby może w ludziach zwyczajnych zdolność pojęcia takowych.

Poprzednie próby uczynienia zadość temu ideałowi — nie wiodły się autorowi naszemu. Były to wszystko prace o tyle chybione, że osnowa, że tło i ramy zamierzonego dzieła nie były zdolne przyjąć w się i pomieścić całej autora intencji. Były to wszystko jakby naczynia jakieś kruche i szczupłe, niezdolne objąć w sobie wszystkiego, co w nich zawarte być miało. Dlatego też owe zbyt ciasne kształty pacyły się poecie pod ręką; wychodziły z pracowni jego albo jako monstra (Ks. Marek i Srebrny Sen), albo z niej nie wychodziły wcale, lecz przed dokonaniem pracy nad nimi, odkładane bywały na bok i leżą dziś przed nami jak torsa potwornej rzeźby, która szczegółami obudza podziw, a pomysłem całkowitym odstręcza....

Wreszcie trafił Słowacki na przedmiot, który stosunkowo najwięcej obiecywał założeniu jego dorównać. Założenie jego polegało tym razem na onym wiary jego artykule naczelnym, że społeczeństwo ludzkie, obrębem pewnej narodowości objęte, jest prowadzone naprzód i coraz dalej mocą duchów wybranych, duchów nad zwykły zakrój większych, silniejszych.... Każdy naród ma zatem swego niby

aniola (może kilku aniołów — punkt ten bowiem nie jest u Słowackiego wypowiedziany jasno), który przez niego działa i który go prze ku coraz większemu zbliżeniu się do celu, jaki jest narodowi temu wytknięty. Działanie jednakowoż owego ducha, przesuwając się przez cały ciąg dziejów narodowych, nie może być mierzone trwaniem jednego człowieczego żywota. Pokolenia ludzkie zmieniają się i nastają po sobie jak liść na drzewach, opadający jesienią, a odrastający na wiosnę. Człowiek naczelny w narodzie, człowiek mający w sobie owego ducha-aniola podlega oczywiście tymsamym prawom natury, co cały rodzaj ludzki. Misja wiekowa ducha, który w nim żyje i przezeń działa, nie może się więc dopełnić w ciągu znikomego jego życia. Dlatego duch ten potrzebuje więc kilku żywotów, mając działać bezprzestannie; i przeto w kolei czasów odradza się to w tem ciele, to znowu w innem. Na pozór coraz inna osobistość dziejowa — jest on w gruncie rzeczy jednak zawsze tymsamym duchem kierownikiem swego społeczeństwa, tymsamym duchem nad duchami, tymsamym.... »Królem-Duchem«.

To tedy założenie swoje zamierzył Słowacki uwidomić na przykładzie dziejów ojczystych, wytkomaczonych i ukazanych w tem świetle, poczynawszy od pierwszej chwili żywota Polski, aż do dni ostatnich. Czyli innemi słowy: poeta nasz wprowadza tę przodującą dziejom naszym osobistość mistyczną jako bohatera epopei; i z powodów, które niżej odsłoniemy wyraźniej, z powodów nader ważnych, gdyż dotyczących samej osoby własnej, osoby Słowackiego: kładzie całą opowieść trudów w tym szeregu wieków przebytych, całą opowieść tej nieśmiertelnej krucjaty — w własne usta Króla-Ducha, zaczynając poemat od owej strofy zapowiadającej ogólną treść tego cyklu rapsodów.

»Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy węzową napełnione zdradą
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
I wielkie duchów świętych wojny święte* 1).

W pierwszym rapsodzie (wydanym w roku 1847) odsłonił autor pierwszy doczesny żywot króla-ducha na tle pierwszych społeczności naszej związków. Dalsze rapsody przedstawiają go w późniejszych jego żywotach, w coraz innych osobach, a zawsze w takich, że życie narodowe, w każdej epoce, od nich jedynie odbierało główny pęd i ruch i kierunek ku przeznaczeniu swojemu.

Przypatrzmyż się teraz nieco bliżej, jak ten pomysł jest wykonany w szczegółach.

W rapsodzie I. mamy opowieść pierwszego wcielenia się króla-ducha w postać narodową polską. Nie jest to bynajmniej pierwsze zrodzenie się jego, jako ducha wogóle. Jako odrębna wiekuista istota, istniał on już i przedtem. Lecz tych że tak powiem, przedślowiańskich dziejów jego istnienia gdzieindziej, poeta nie odsłania. Ukazuje go nam od razu w postaci Armeńczyka jakiegoś, który jako zmarły już ciało złożony był na stosie, ażeby być spalonym, a potem się odradza na nowo w indywidualności wenedyjskiej, słowiańskiej....

Armeńczykowi owemu było imię Her. I nazwę tę i cały pomysł przejął Słowacki od Platona. Platon

1) Pisma pośm. II. 165. A więc się poeta widocznie identyfikuje z bohaterem swoim. (P. A.)

na samym końcu najgłębszego ze wszystkich utworów swoich, na końcu dyalogu zatytułowanego »Rzecz po spoli ta«, zamieścił piękną i pełną znaczenia symbolicznego powieść o jakimś Herze, synu Armeniusowym z Pamfilii, który w walce za ojczyznę poległ i współ z innymi zabitymi leżał przez dziesięć dni na pobojuwisku. Dziesiątego dnia przyszli ludzie, ażeby ciała zabitych pogrześć. Psuły się one już wszystkie, tylko Hera ciało znalezione zostało w czerstwej świeżości. Podniesiono wszystkich poległych z ziemi i z cześć wielką zawieziono do miasta. Dwunastego dnia złożono ciała na stosach, albowiem miały być spalone. Kiedy już przykładano ogień do stosu, na którym Her leżał, stało się iż umarły otworzył oczy i powstał. I zszedłszy ze stosu na ziemię, oznajmił ziomkom, że duch jego wyszedł był z ciała i był na drugim świecie, gdzie ludzi zmarłych sądzą i karzą lub nagradzają — wedle zasługi. Ale kiedy stanął z kolei i on przed owymi sędziami: powiedziano mu, że jemu tylko należy przysłuchiwać się i przypatrywać wszystkiemu, co się tu dzieje. Albowiem ma on jeszcze wrócić ponownie do życia i być do ludzi na ziemi mieszkających zwiastunem z świata drugiego. Opowiadał tedy ów zmarłychwstały z stosu swojego, jako się odbywają sądy dusz zmarłych, jakie im wymierzane bywają kary, jaka ich czeka przyszłość dalsza i jak wreszcie, po upływie oznaczonego czasu, stawają one powtórnie przed potęgami tamtego świata, t. j. przed Ananką i trzema córami onej, których wspólna nazwa jest Mojry, i które rządzą życiem ludzkim. Tam tedy stają duchy owe w szeregu; a służebnice onych trojga pań zamogilnych kładą po przed nimi mnogość wielką wzorców i wizerunków żywota, tak żywota zwierząt różnych, jako i żywotów ludzkich. Następnie wstępuje czarodziej jakiś na podwyższenie

i głosi: »Słuchajcie słowa dziewicy, córy Ananki, Lachezy! Dusze znikome, oto się poczyną nowy okres śmiertelnego waszego życia. Nie was los wybierać będzie, lecz wy same obierzecie los sobie. Przed kim pierwszy znak padnie, ten niech najprzód wybierze sobie żywot i dolę, od której się potem już nie potrafi oddzielić! Oto cnota jest tu do wzięcia! mniej albo więcej mieć jej będziecie, w miarę ile ją cenicie albo ile jej nie cenicie. Wina będzie po stronie tego, kto wybiera — bóstwo nie winne niczemu« To mówiąc, rzuca mąż ów znaki, jakby losy z liczbami, poprzed cały zgromadzonych dusz szereg. A każda dusza znak swój podnosi wedle tego jak przy niej upadł, i po kolei znakiem owym wskazanej, przystępuje do wyboru sobie żywota z pomiędzy wszystkich owych typów, które w wielkiej mnogości zostały rozłożone przed niemi. Wybór takowy zawisł zupełnie od woli każdego, który wybiera. Pomimo tej swobody wyboru, widok to i smutny i śmieszny i zarazem dziwny, jak dusze owe wybierają sobie żywoty pod wpływem najczęściej wrażeń, jakie z sobą przyniosły z poza tamtej strony grobu, z poprzedniego życia swojego. I tak, dusza Orfeusza, z nienawiści ku całemu rodowi kobiet, wybrała wizerunek życia łabędzia, ażeby się już nie urodzić z kobiety. Dusza łabędzia przeciwnie wybrała sobie żywot ludzki. Dusza Tamyrusa (poety) przeniosła nad wszystkie inne — żywot słowika. Ajaks silny, a jednak pokrzywdzony przez ludzi, zapragnął teraz postaci lwa. Agamemnon, równie zniechęcony do ludzi, sięgnął ręką po życie orła. Odysej, po długich trudach walk i wędrówek wyleczony z żądzы sławy i pomny bólów, jakich z jej powodu doznawał, pochwycił z radością wzorzec żywota w spokojnym zakresie prywatnego człowieka: a Atalanta, która już w poprzednim życiu z tego słynęła, że jej w biegu

prześcignąć żaden współzawodnik nie zdołał, wybrała sobie żywot mężczyzny, atlety....

Kiedy zaś już każda dusza dokonała wyboru swego, udają się wszystkie razem na dolinę Lety, a idą w skwarze wielkim i w spiecu, albowiem na dolinie tej nie ujrzyć ani drzew żadnych ani żadnego z płodów, które ziemia wydaje. I zasiadają pod wieczór nad tą cudowną rzeką, kojącą troski. Tu dusza każda wypić koniecznie musi pewną miarę wody; a niektóre, ile rozważą i umiarkowaniem mniej się powodujące, wychylają jej i więcej, wskutek czego też potem zapominają wszystko (i tak się potem odradzają, jak gdyby nigdy przedtem nie żyły na świecie). Wypiwszy wodę ową, zasypiają. Nadchodzi noc, godzina północna bije. Wtedy nagle poczyną się grzmoty wielkie i trzęsienie ziemi. A dusze w górę się rozpierzechują na wszystkie strony jak spadające gwiazdy, i każda kwapi się, kędy jej przeznaczono urodzić się....

Owoż to wszystko widział na drugim świecie i opowiedział ziomkom swoim ze stosu ów Her z Pamfilii. O sobie samym zaś nie umiał powiedzieć, którędy i jakim sposobem wrócił do ciała. Tyle mu tylko było wiadomo, że jemu pić wody z Lety nie dano i że kiedy nagle z rana oczy znowu utworzył, ujrzał się położonym na stosie.

Taki jest w najgłówniejszych zarysach ów męt Platona, bardzo szczegółowo u niego rozpowiedziany, który więc posłużył za punkt wyjścia dla »Króla-Ducha«. Jak widzimy, bardzo mało przejął z tego mętu Słowacki. Bo też zamiar jego był inny. Filozofowi grekiemu zależało na dokładnem opowiedzeniu tego, co Her widział na drugim świecie; a naszemu autorowi chodziło przeciwnie o dalsze losy samegoż Hera. Stąd to zaledwie się w nie-

których szczegółach i to ubocznych spotykają oni ze sobą. Rozmijają się zaś mianowicie w tym punkcie, że podług mytu greckiego Her na stosie wrócił do życia, ażeby je wieść w dawnych warunkach; Słowackiego zaś Her ciało swoje pozostawia na stosie i kończy tam już tamtoczesny swój zawód ziemski. Ciało jego podlega płomieniom — dusza z niego ulatuje w nadziemską krainę duchów....

Dalsze koleje tej duszy są w poemacie takie:

Po wyjściu z ciała¹⁾, ujrzał się Her w owej krainie Platona, »kędy to dusze jasne jak brylanty, swe dobrowolne czyniły wybory«. Jednakże on, »z harmonią obeznany młodą własnego ciała« t. j. świadom tego, że ta forma nieskazitelna i wiecznie młoda, jaką miał wtedy czystym duchem będąc, najlepiej odpowiada jego naturze, »nie chciał odmiany:« ani odmiany ciała, ani doli, ani żywota, i nie pragnąc niczego więcej, jak żeby duchem już i nadal pozostać, nie uczynił żadnego wyboru. Siadł tedy razem z drugimi duszami nad brzegiem Lety, lecz i wody do ust nie wziął. Same tylko rany swoje nią zmywał, ażeby straciły.... pamięć boleści. Wtedyto ukazano mu — gdzieś w wielkiej oddali — »we mgłach letejskiej zapomnienia rzeki« — tajemniczy wid jakiś, zjawienie dziwnej, z niezem nieporównanej piękności, która »jako świt daleki« uroczym przed oczyma jego wschodziła (strofa IX i następne). »Ani gwiazdzice co się w morzach palą« — mówi w myśl bajecznych podań ludo-

¹⁾ Strofa V pieśni pierwszej. W trzecim wierszu tej strofy powinno być: »Ani za ciałem płacząca daremnie« zamiast »Ale za ciałem« (P. A.)

wych poeta — »ani tych gwiazdzie jasność tajemnicza« nie wywiera tyle trwogi na jestestwach żyjących w morza otchłani, ile jego przeraziło na razie to zagadkowe zjawienie. Była to niewieścia postać jakaś, piękności tak idealnej, że się stworzoną być zdała jakby z blasków słonecznych, z barw tęczy, z dźwięków niebiańskich....

»Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza,
Pod nią.... jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły« ¹⁾.

Dość było duchowi Hera raz jeden spojrzeć na uroczą piękność tego widu idealnego, ażeby w sobie poczuć tajemny węzeł, jaki go miał wiekuście z nim łączyć, ażeby wiedzieć, że ta postać promienna — to odtąd już.... »jego Umiłowana na wieki«.

Jeżeli który ustęp w całym poemacie obecnym sprawia czytelnikowi niepokonane trudności, to pewnie miejsce właśnie powyższe. Co też poeta mógł rozumieć przez tę aparację tak mistycznie tu wprowadzoną?

W pierwszej chwili nasunie się tu niejednemu myśl, że będzie to zapewne druga podobna duchowa indywidualność opatrnościowa, jak sam bohater poematu, ale indywidualność niewieścia: równie jak tanten mająca przed sobą do spełnienia jakieś posłannictwo w wszechświecie; równie jak on przeznaczona przebyć cały szereg żywotów, które — z wyroku tajnych przeznaczeń — zapewne spłatać się będą losami swymi z zawodem męskiego k r ó l a

ducha w przyszłości. Przypuszczenie to (czytając poemat dalej) zdaje się nabierać prawdopodobieństwa z tej mianowicie przyczyny, że córka Lecha Wanda, w tak obiecujący sposób wprowadzona w osnowę już pierwszej pieśni, a po krótkim zboczeniu w pieśni drugiej, tak przeważnie odzyskująca znowu znaczenie w dalszej części rapsodu, mogłaby z wielkim pozo-rem słuszności być uważaną za takie właśnie do-czesne wcielenie owego drugiego ducha, który jako niewiasta ma towarzyszyć na całej przeznaczeni drodze głównemu bohaterowi powieści....

Przy bliższem rozpatrzeniu przypuszczenie powyższe przecież okazuje się złudnem. Klucz ten mimo wszystkich swoich pozorów, nie otwiera żadnej z zagadek w dalszych rapsodach. Tłómaczenie takie wikałoby nas tylko w ciągłych sprzecznościach i prowadziło na bezdroża, żadnej nie pozostawiające możliwości spotkania się z prawdziwym pomysłem autora.

Słowacki pisząc to dzieło, niewątpliwie poważniejsze podejmował zamiary, jak opiewać metempsychozę dwojga duchów, które na różnych końcach świata i w różnych epokach historii spotykać się mają na to tylko ze sobą, aby przy innych nibyto ważniejszych misjach swoich, odgrywać ostatecznie.... flirt ze sobą na coraz inne sposoby.

Zauważmy, że punkt wyjścia i początek »Króla-Ducha« dokonany został pod wpływem platońskich wyobrażeń. Jedną z zasadniczych podstaw całej doktryny Platona jest przypuszczenie, że my ludzie przynosimy ze sobą na ten świat gotową już i tylko przypomnienia czasem potrzebującą świadomość bezcielesnych pojęć i ideałów (*»ideae innatae«*). Platon wyobrażał sobie, że człowiek przed narodzeniem swoim ogląda twarz w twarz owe wiekuiste pier-

¹⁾ Pisma pośm. II. 168.

wokształty wszystkich rzeczy stworzonych, a nawet i ideały żadnej zmysłowości niezdolne, jak np. cnotę, męstwo itp. w ich czystej postaci czyli w ich prawdzie bezwzględnej. To właśnie też jest, co sprawia, że chociaż po narodzeniu naszym nie widzimy na ziemi nigdy już ani nadzmysłowych tych wyobrażeń i ideałów, ale tylko same rzeczy znikome, doczesne, które będąc tamtych tylko kopiami i odciskami lichymi, są zawsze ułomne i nieudolne: — to jednak posiadamy w pamięci i wyobraźni naszej jakąś świadomość tej najwyższej piękności; zachowaliśmy w sobie bowiem jakieś poczucie tych prawd wiekuistych, których ojczyzną są same tylko sfery nadziemskie.

Otóż jednym z takich to ideałów — wyższych nad wszelkie wcielenie, jedną z takich piękności — nie-doścignionych przez żadną z określonych piękności, jednym z takich »widów« — widnych tylko dla oka ducha, nie ciała, jest właśnie i owa napowietrzna, świetlana postać, która się »we mgłach letejskiej zapomnienia rzeki« objawiła czystemu duchowi Hera jakby świtanie jakie dalekie. Jako duch wyszły z ciała, znajdujący się właśnie w tej ideałów ojczyźnie, był Her zdolny »poznać z oblicza« ów ideał niebiański, i ogląda go w całej jego piękności. Ponieważ jednak ideał wszelki z natury swojej nigdy w świecie rzeczywistym być odnalezionym nie może; ponieważ przy największem nawet zbliżeniu się do niego, daje się czuć zawsze w życiu doczesnem brak obecności jego prawdziwej, przeto też bohaterowi naszemu śpiewają jakieś głosy nieznane:

»Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz
Jak sny, przez dobre duchy malowane;

Żywot — tysiącem żywotów zapłacisz,

A zawsze jedną tę serdeczną ranę

Przyciśniesz w piersi rękami obiema,

Tę jedną smętną ranę — że Jej nie ma!¹⁾

Ukazany mu przeto został w mglistej oddali cel przyszłego jego zawodu, widny w całej swojej apoteozie i chwale: ale zarazem i to mu zapowiedziano, że ta piękność, ta doskonałość, ta boskość tego celu wszystkich jego zapędów istnieje tylko w wyobraźni i w pragnieniu, słowem w ideale: w żywotach zaś rzeczywistych, choćby ich przeżyć i tysiąc, czuć się będzie zawsze tylko to jedno — »że jej nie ma«, że celu się jeszcze nie osiągnęło, że »tysiące przeszkód kładzie się w drodze, które ciągle pokonywać potrzeba, aby się zbliżyć do niego: słowem że go się tylko pragnie.... zawsze nadaremnie:

»Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie —

Serce ci damy, ale spustoszeje!

Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie

Uragał w Bogu mającym nadzieję« itd.²⁾

Te zapowiedzi, te przestrogi nie zrażają jednakże króla-ducha od tego, żeby się puścić w ślady za tym uroczym obrazem przed oczyma jego zjawionym. — »Choćby aż w piekło wiodła, pójdę za nią!« powiada, i puszcza się w drogę, »choć strzały numidzkimi ranny«, choć nie mający jeszcze pewności, co to jest, co go tak ku sobie ciągnie: czy śmierć, czy żywota dziwo, czy Irys? i t. d. (strofa XII).

¹⁾ Pisma pośm. II. 168.

²⁾ Pisma piśm. II. 168.

Przystąpmy teraz do dalszego pytania i powiedzmy: jaki to i czego ideał ukazany został w tej bezwzględnej piękności swojej Herowi? Kto jest Ta, którą mu wtedy w dalekim ukazano świecie, ażeby odtąd była jego Umiłowaną na wieki?

Rozumiał przeto Ojczyznę, jeżeli wyraz ten weźmiemy w jak najszerszem i najwznioślejszem znaczeniu. Nie rozumiał jednak przez to ani samej tylko ziemi rodzinnej, ani państwa w jego doczesno-utylnym znaczeniu, ani potęgi politycznej, ani żadnego z osobna z tych tysiącznych włókien, które się składają na ten wzniosły w języku polskim wyraz: Ojczyzna.

Albo określmy to jeszcze inaczej. Oto wstaje w oddali przed oczyma Hera ideał Polski, to jest symboliczny obraz tego, co naród nasz jako zadanie państwa pojmuje i co sobie wyobraża przez ideał narodu. Staje przed oczyma jego Polska, jaką być ma wedle tego, co sobie o niej marzą i co przez całą dawność jej przeszłości o ojczyźnie sobie marzyli jej najlepsi i duchem najwznioślejsi synowie: a zatem cel ostateczny, do którego dzieje nasze dążą; słowem okaz — w najdalszą przyszłość rzucony — takiej ojczyzny-matki, takiej ojczyzny-idei, jaka jest wszystkich marzeń naszych przedmiotem.

To zatem chciał wyrazić poeta, kiedy powiada:

»Ukazał się wid — Piękność — córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejsey widzieli prorocy.

»Słońce leżąca trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;

Szła nad lasami i leciała dołem

Nad chaty — jako komeciana miotła.

Tęcze ją ciąglem oskrzydlały kołem;

W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła

I na powietrze rzucała niedbale

Perły jaśminy i maki — korale. (Strofa XVII¹⁾).

Że tu nie podkładamy słowom poety, żadnej myśli obcej, do którejby się nie przyznał, gdyby jeszcze był między nami: o tem dowodnie mogą się czytelnicy przekonać, jeżeli odczytają wiersz do K. Ujejskiego rokiem tylko później przez Juliusza pisany²⁾. Znajdujemy w wierszu rzeczonym prawie te same obrazy, a znaczenie ich tam już nie może być wątpliwem.

Pomiędzy aforyzmami prozą, które sobie zwykł był w owychże latach Słowacki zapisywać do różnych kartek i zeszytów będących właśnie pod ręką, znalazłem w jednym miejscu ustęp, który warto tu przytoczyć na dowód, że mój wykład strofy powyższej w Królu-Duchu wychodzi zupełnie z punktu widzenia autora. Powiada on tam, co następuje:

»Podobnie jak przed światem stworzonym było Słowo czyli duch, mający się formami objawić wi-
dzialnemi: podobnie poczęcie każdego na-
rodu poprzedzało stworzenie idei, dla
której następnie ludzie, w formę pewną
tej idei właściwą skryształizowani, pracowali. Z takiego idei powstawała pewna forma agre-
gacyjna, i ta stanowiła narodowość. Idee takie,
wiencom ognistym podobne, którymi się for-
tece obleżone w nocy oświecają, z całą piękno-

¹⁾ Pisma pośmiertne II 169.

²⁾ Pisma pośmiertne I 71.

ścią ogni ulatujących nad narodami prze-
latywały i świeciły. — Wyobrażone nareszcie
mniej więcej, usiłowaniem czynnem rasy, dla której
były stworzone, przechodziły w kształt; ducha pię-
kności i prawdy oddawały formie; same zaś na nie-
biosach gasły i wyższym rewelacyjnym ideom miej-
sca ustępowały....

Przemilczeć wprawdzie tego nie mogę, że na-
sunąć się tu niejednemu może pytanie, czy raczej
nie objawia się przed oczyma Hera obraz mistyczny
Bogarodzicy? Gdyż nie tylko skąd inąd jest przyjętem,
w takiej właśnie postaci ten najwyższy z ideałów
chrześcijaństwa malować: ale i sam nawet Słowacki
nieraz w tymżesany go przedstawiał obrazie
(Obacz np. dokończenie wiersza, zamieszczonego
w tomie I Pism pośmiertnych, bezpośrednio przed
wspomnionemi co tylko strofami »do Autora Skarg
Jeremiego«). Z tem wszystkiem przypuszczenie takie,
w tem miejscu, byłoby niewłaściwem. Jakże bowiem
miałoby się stosować do Bogarodzicy wyrażenie:

»Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejsey widzieli prorocy«. (Strofa XVI¹⁾).

W takim razie nie byłby tu też autor położył
»jaką«, ale koniecznie »którą«. A cały wiersz po-
przedni byłby wtedy zupełnie niezrozumiały; boć
matka Zbawiciela jest panią całego chrześcijańskiego
świata, a nie jednego tylko ludu.

Jest zatem wprawdzie niezaprzeczonem, że
Słowackiemu te dwa ideały, t. j. ideał całego chrze-
ścijaństwa, i ideał nasz narodowy, przed oczyma
spływały, i że chcąc mówić o ostatnim, pożyty

form od pierwszego; ale to też już jest wszystko,
co w tym kierunku przyznać możemy. Posunąć się
choć krok jeden po za to przyznanie dalej — byłoby
to tracić na zawsze z oczu ten punkt widzenia,
z którego jedynie odsłania się ukryta myśl poematu.

W dalszych strofach kładzie poeta w usta bo-
haterowi swemu opowiadanie, że kiedy więc ujrzał
oczyma ducha swego ową piękność idei, której w ży-
cie przeprowadzenie i wyrobienie dziejowe miało
stanowić odtąd wiekuiste jego zadanie: natychmiast
poczuł w sobie popęd do odzycia na nowo w wa-
runkach stworzonego istnienia, czyli — co na to-
samo wychodzi, uczuł w sobie potrzebę opuszczenia
tych błogich krain letejskiej beztreściwości i elizej-
skich odpoczynków po trudach, w którychto krai-
nach zrazu tak gorąco pragnął pozostać już na
zawsze jako duch czysty.

»I całe mego ducha wniebowzięcie

Upadło....« (Strofa XVI).

»Więc czego woda letejska nie mogła,

To ona swoim zrobiła zjawieniem,

Że moja dusza na nowo się wzmogła

Loty — i nowym buchnęła płomieniem.

A jako pierwszy raz ciało przemogła

I uczyniła swoim wiernym cieniem,

Opowiem.

Ja Her, powalony grzmotem,

Nagle gdzieś w puszczy pod wieśniaczym płotem¹⁾

Budzę się«. (Strofa XIX²⁾).

¹⁾ W wydaniu lipskim przecinkowanie błędne tej strofy spra-
wia, że wcale miejsca tego rozumieć nie można. Po »opowiem«
powinien być punkt i zakończenie okresu. Po wyrazie »płotem«
nie powinno być żadnej interpunkcji: i tak też to jest w pierwszym
wydaniu, to jest paryskim z r. 1847. (P. A.)

²⁾ Pisma pośm. II. 169, 170.

W strofie tej i następnej opowiada bohater poematu, że kiedy więc dusza jego »przemogła znowu ciało i uczyniła je swoim wiernym cieniem«, t. j. kiedy się znowu zrodziła w ciele: ujrzał się gdzieś — w lichej chacie, »pod płótem wieśniaczym, w dzikiej puszczy«, dziećciem biednej kobiety. Kobieta ta wzniecała w nim już w latach jego najrańszych instynkt zemsty.

....»Straszna nademną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.
Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita!
Ja jedna żywa, a ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i popioły,
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem,
Synu popiołów, nazwany Popielem!¹⁾

Ażebym rozumieć tę strofę, trzeba sobie przypomnieć cały pomysł, przeprowadzony w Lilli Wenedzie. Z tym dramatem wiąże się cały ten rapsod »Króla-Ducha« jak najściślej i jest niejako jego epilogiem. Czytelnicy przypominają sobie, że Słowacki wyszedł w Lilli Wenedzie ze założenia, że przyjsie Lecha i orszaku jego do Polski odbyło się jako gwałt i rzeź i bój doraźny na śmierć i życie z dawniejszą tej krainy ludnością. Lechici zwyciężyli, zajęli siedziby nowe, ale nie prędeż, aż je zamienili w cmentarz plemienia Wenedów, którzy tu przed ich przyjsiem mieszkali.

Otóż z tego punktu widzenia tłómacząc strofę, o której wykład tu chodzi, jest rzeczą oczywistą, iż ową »Ojczyznę zabita«, o której matka synowi swojemu mówi, nie może być co innego, jak

plemię Wenedów. Samą zaś kobietą ową, czarodziejskie runy nad dziećciem wygłaszającą, jest oczywiście tasama postać, która się tam w dramacie nazywa Róża Weneda.

Cały pomysł obecnego rapsodu Króla-Ducha okazuje się zatem już gotowy w Lilli Wenedzie. Co się tyczy cudownego z popiołów zrodzenia Popieła, wypisuję z dramatu tego dwa miejsca, które to bliżej tłómaczą.

Na końcu Prologu »Lilli Wenedy«, włożone są w usta Róży między innemi słowa następujące:

»Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią!
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mię zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
A łóżem ślubnem będzie stos rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga!¹⁾

Drugie miejsce, które tu warto przypomnieć, znajdujemy w scenie piątej aktu III.

Ma tam niezadługo przyjsie do stanowczej bitwy między Lechem a Wenedami. Goniec staje przed królem, mówi mu o strasznych przepowiedniach, które się szerzą między jego nieprzyjaciołmi, i wspomniawszy o innych znakach, jakie się okazać mają, powiada:

¹⁾ Pisma pośm. II. 170.

¹⁾ P. III. 162.

»Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno!

GONIEC.

Ta czarownica z góry, zapowiada
Że po tej walce — martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy¹⁾.

To cudowne zrodzenie się mściciela, zapłodnionego przez przodków swoich popioły, nie mogło tu oczywiście być przez poetę rozumianem literalnie. Symboliczne znaczenie tego wszystkiego jest jasne. Ponieważ jednak zdawać się niejednemu może, że ta stała przenośnia o zapłodnieniu Popiela przez popioły rycerzy zbyt mocnymi jest nałożona kolorami, żeby przez Słowackiego tylko figurycznie miała być rozumiana, a nie dosłownie: przeto wybaczy mi czytelnik jeszcze jedną uboczną tutaj uwagę.

Aż do pewnej granicy wolno poecie dobierać sobie do wypowiedzenia subtelniejszych pomysłów, form i obrazów ze sfery, z jakiej mu się tylko podobą. Kieruje nim samo jedno tylko poczucie pewnej, że tak powiem, miary i przyzwoitości poetyckiej, bez względu na to czy odnośna nauka ścisła,

np. medycyna, historia naturalna, fizjologia i t. d. zechce dać swoje na to wszystko potwierdzenie, co się w symbolicznym sensie jemu spodoba w granicach tej lub owej naukowej dziedziny wyrzec. Nie chodzi tu nigdy o zupełną zgodność z najnowszymi badaniami naukowymi rezultatami, ale tylko o prawdopodobieństwo, o pozór możności, że tak to jest. Owoż nasuwa się pytanie, czy Słowacki, w taki sposób wypowiadając ten pomysł, nie posunął się poza granicę owej wiary i stosowności, jakąśmy postawili za konieczny warunek trafności przyoblekania pojęć oderwanych w kształty zewnętrzne. — Nie wątpię, że wielu rozstrzygnąć zechce to pytanie na niekorzyść autora naszego. Przenośnia jego wydawać im się może posuniętą za daleko. Pomówią go o mistycyzm, o wyobrażenia żadnej nie mające wspólności ze stanowiskiem wyobraźni dzisiejszych ludzi.

Ażebym przecież zmniejszyć przynajmniej ten zarzut, zauważyć muszę, że Słowacki i w tym nawet razie jest jeszcze na gruncie pojęć, jeżeli nie całego ogółu, to przynajmniej wyobrażeń ludowych. Nie potrafię w tej chwili rozstrzygnąć, czy w zakresie gadek naszego ludu dałoby się znaleźć coś takiego, coby się okazywało spokrewnionem z tem symbolicznie tu przez niego opowiedzianem pochodzeniem Popiela. Ale pomiędzy ludem czeskim przechowuje się powieść, która z jego pomysłem dziwnie rymuje. Przypomniat ją przed niewiele laty Frycz, w prelekcjach swoich mianych w Pradze.

Lud czeski wierzy, że w czasach ostatecznego niebezpieczeństwa powstaną z martwych z pod góry Blaniku śpiący tam od wieków rycerze, stróżowie ojczyzny. Już dziś co chwila mają się oni w grobach podnosić i zapytywać jeden drugiego, czyli już pora? Są to duchy Taborców pod Lipanami poległych. Lud pojął, że tacy nawet bohaterowie nie mogą się obejść

¹⁾ P. III. 204.

ani bez światła nowych idei, ani bez wodza. To też ażeby nie zatracili w sobie poczucia potrzeb i odrodzenia ojczyzny, wysyła wyobrażenia ludowa świeżo pomarłe znakomitości z poselstwem nowych myśli do skalistych podziemnych mieszkań tych dawnych duchów. Co się zaś tyczy ich wodza, to legenda nie daje im za takiego ani żadnego z królów ani z cesarzów, lecz ponieważ wodzem duchów tych zwyczajny śmiertelnik być nie może, naznacza mu urodzenie cudowne.

Pewien grobarz miał córkę, która mu pomagała w pracy. Samotna często dziewczyna wymyśliła sobie żalobną a pobożną zabawę: sztucznie składała kości naśladując ołtarzyki, na których czaszki zastępowały lampy i kielichy. Mała dziewczyna podrosła już i wypiękniała: zdarzyło się wtedy razu pewnego gdy szła z cmentarza po wodę, że wyrwała się za nią czaszka z kostnicy i powoli toczyć zaczęła. Dziewczyna odważna podjęła czaszkę, ucałowała, a zapytawszy: »czym cię na niewygodnem położyła miejscu?« o uspokojenie prosiła i na samym umieściła ołtarzu. Czaszka jednak od tej pory nie opuszczała stóp dziewczyny, wszędzie się za nią tocząc. Cud ten przestraszył grobarza; kazał czaszkę spalić, a proch połknąć córce. Nim rok minął, powiła ona syna, bohatera. Nowo narodzony spędzał dziecinne lata pod lipą u stóp Błaniku, rozmawiając z duchami śpiących pod górą rycerzy, na których wodza Opatrzność go przeznaczyła...

Otóż widzimy, że autor nasz nie posunął się zbyt daleko po za obręb imaginacyi ludowej, dobierając form zresztą cokolwiek dziwnych na wyrażenie pomysłu, który sam przez się nic innego nie znaczy jak znane owo »*Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!*

Począwszy od strofy XXI daje poeta zarys żywota tego bohatera swojego, zrodzonego z ostatniej z rodu ujarzmionego, w ubogim stanie, bez świadomości tego wszystkiego, co z duchem jego zaszło przed urodzeniem, i co ma stanowić zadanie działań jego w przyszłości — począwszy od lat jego najrańszych. Jest to rzeczywiście wdzięczny przedmiot, głęboko pomyślany, z psychologicznego punktu widzenia prawdziwie zajmujący. Mamy przed sobą naturę, z własnej rdzeni ducha swojego wzniosłą i między najczystszymi duchy wybraną. Gdyby to od niego jedynie zależało, żywot jego ziemski byłby pewnie równie szlachetny, równie idealny, jak był ów pęd duszy Hera nad brzegiem Lety zwrócony ku najwznioślejszemu ze wszystkich ideałów. Ale człowiek przychodząc na świat, staje się od razu zawisłym od całego brzemienia okoliczności ubocznych, tradycyij dziecinnych, stosunków miejscowych, jakie zastaje gotowe w domu, w rodzie swoim, w społeczeństwie na którego łonie się zrodził, nareszcie w wieku i dążnościach swojej epoki — słowem, rad nie rad, musi przyjąć ten spadek nieodzowny przeszłości, te wszystkie zaległe długi i do spłacenia i do ściągnięcia, jakie mu przekazują owe coraz szersze sfery, w obwodzie których żyć mu wypadło. Działają tedy na ducha jego najrozmaitsze potęgi, działają nań czynniki to obce, to pokrewne z jego najwnętrznieszą naturą: i tych dopiero suma cała i waga ostateczna stanowi owę siłę, jaka nas wiedzie przez rozłogi naszego życia temi lub owemi drogami, nieraz wbrew naszym lepszym instynktom. Instynkta nasze są w tej wędrówce niezawodnie najważniejszym czynnikiem. Ale i tamten, że tak powiem, fatalizm okoliczności ma wagę nieobliczoną.

Owoż taksamo ma się rzecz i z bohaterem naszego poematu. Do ducha jego, jakim go widzieliśmy

na początku pieśni, przylegają już w samej chwili zrodzenia jego inne potęgi, potęgi doczesne i miejscowe. I ten dopiero zlew wiekuistej dążności i doczesnych porywów — tworzy całą odrębność jego indywidualizmu jako człowieka, jako Popiela. — »Sam jeden jesteś«, mówi do niego matka,

»ale cię przymioty

Ojców napełnią, a ja dam dwa duchy:

Na prawo stanąć jeden Anioł złoty,

Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;

Gi dwaj — ty trzeci, i mój głos, jak grzmoty

Pędzący w zemstę«.... (Strofa XXI ¹⁾).

To też nie dziw, że pomimo takiej świętej przeszłości w duchu, i mimo postanowienia puścić się w ślady za takim ideałem, jak go mieliśmy ukazanym na wstępie dzieła: król- duch, ów niegdyś Her, o poranku pierwszego żywota swojego powiada, że

Jeszcze nie dorósł, a już karłem duszy

Zemsta mi była, a nauką zdrada!

Często bywało, że ktoś włos mi ruszy

I we śnie do mnie jak anioł zagada....

Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy

I w kształt złotego widma wstaje — pada —

Czasem tumanem na pierś moję runie,

Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie«. (Strofa XXII ²⁾).

Strofa XXIV aż do XXXII stanowią ustęp odrębny, względem rzeczy głównej poboczny: autor

¹⁾ Pisma pośm. II. 170.

²⁾ Pisma pośm. II. 170.

daje w nim zarys stanu ówczesnego społeczeństwa polskiego pod względem intelektualnym i obyczajowym, za panowania Lecha ¹⁾).

Podobnie epizodycznego tylko znaczenia jest następujący zaraz potem ustęp drugi (od strofy XXXIII—XXXVII).

Właściwa akcja poczyną się dopiero od strofy XXXVIII. Pomijając zdarzające się tu i owdzie, w tej części poematu, zawłóści w szczegółach, których podejmowanie wyczerpujące rozszerzyłoby dzieło moje daleko poza rozmiar, jaki mu dać zamierzyłem: o głównej osnowie robię tylko to spostrzeżenie, że zwyczajem swoim odstępuje Słowacki i tutaj od tradycyjnych form, w jakich przekazuje nam przeddziejowe czasy nasze historia, i przeprowadza znane o Popielowych nad Polską rządach podanie w sposób zgoła niezawisły od kronikarskich o tem powieści. Bohater jego rapsodu, jako biedak w wieśniaczej zrodzony chacie, a potem przybłęda jakiś z dalekiego gdzieś świata — poczyną zawód swój od niskiego szczebla: jest zrazu na dworze Lecha tylko pacholkiem. Ale choć na tak podrzędnym stanowisku, cele jego od razu sięgały wysoko.

»Jam oczy groźne miał i ręce czynne

I uwiązany cel do wień wierzchołka«.

(Strofa XXXVIII ²⁾).

Niejedno — niepewne wprawdzie i mętne przypomnienie z wyjątkowej jego przeszłości, niosło myśl

¹⁾ W ciągu ustępu tego poprawić trzeba w strofie XXX (str. 431 wyd. lipskie) pomyłkę drukarską: »Część ducha« — na »część ducha«; bo inaczej bezsens z tego powodu całą myśl robi niezrozumiałą. (P. A.)

²⁾ Pisma pośmiertne II 174.

jego daleko.... w podziemi głębie, w zaświata krańce. Świat obecny cichością swoją i niezmiennym brakiem wszelkiego ruchu dręczył go i zdawał się urągać jego myśli płomiennej. Mściwość klóciła go ciągle z ludźmi i z losem. Mimo to, jakaś ręka niewidzialna usuwała przed nim wszystkie zawady na świecie. Czego tylko zażądał — wszystko się działo. Wiodło mu się szczęśliwie. Wstępował na coraz wyższe stopnie dostojęństw w kraju. Wyszedł na wodza — został prawą ręką i ulubieńcem księcia — siadł najpierwszym »wojewodą złotym« nad Gopłem. Wsławił się ze zwycięstw odniesionych nad nieprzyjacielem postronnym. Zjednał sobie serca całego rycerstwa. Aliści przypadkowe zdarzenie, przewidziane wprawdzie dawno wyrocznią, ale dokonane mimo woli a nawet mimo wiedzy Popiela, aczkolwiek jego ręką — ściągnęło na niego podejrzenie — o bunt i o nienawiść panującego! Z wojewody i pogromcy w stu bitwach, przyszło mu wrócić do pierwotnego nicestwa. Jako zbrodzień, niewinnie posądzony, został wtrącony do kaźni. Lecz i teraz siła jakaś niewidoma, opiekująca się jego losem, nie przestała mu być pomocną. Ręka własnej córki królewskiej (Wandy), otwiera bramy jego więzienia. Ujechał — tajemnie — w świat daleki, grożąc podniesioną prawicą światu odwetem za krzywdę tak niezasłużenie doznaną. A tem namiętniej zemsty tej pragnął, że był sam jeden i jeszcze wtedy bezsilny....

Na pieśń drugą, bez porównania łatwiejszą do rozumienia, przypada waga w całym rapsodzie. Jest to część dzieła wykonana z całem mistrzostwem właściwem Słowackiemu. Dziwna siła wieje tu z każdego pociągu pióra! — Puściwszy się Popiel w strony świata nieznane, bezludne, dzikie — spotyka na jakimś miejscu pustem hufiec Germanów, zwycięsko wracających z wyprawy przeciw rzymskim

legionom. Byli liczni, mówi poeta, jak gwiazdy na niebie, a straszni jak piorun, kiedy niebo odmyka. A jednak skoro ich tylko spostrzegł, wiedział on naprzód, że zostanie mężów tych wodzem: że to będzie dla rąk jego narzędzie, przez które świat wytnie, jeżeli zechce. I stało się, jako przewidywał. Tłumy te zbrojne po krótkiej walce wszystkich przeciwko jednemu, poznały, że »był jak piorun, gdy lasy druzgoce«. Okrzyknęli go Kiejzarem swoim.... Po różnych przewagach i podbojach, których dokonywał to tu, to owdzie na czele plemienia tego, wtargnął on wreszcie w kraj swoich ojców, w dziedziny księcia Lecha. Był ostrzegany przez wszystkie władze elementarne, ażeby granic onych nie tykał: na przestrogi żadne on atoli nie zważał. Wtargnął zatem do Polski i rozpoczął bój, który zapowiadał zagładę wszystkim kraju tego mieszkańcom. Lech nie żył już wtedy: panowała nad narodem dziewica, córka jego — tasama Wanda, która mu otworzyła furty więzienia i dała konia, ażeby przed niebezpieczeństwem uchodził. Po bezskutecznym oporze, po wielu bitwach przegranych — przyszli przedniejsi dostojnicy polscy do obozu nieznanego sobie z osoby i nawet z imienia herszta najeźdców. W imieniu królowej swojej oświadczyli mu gotowość okupienia przymierza z nim ofiarami, jakichby tylko zażądał. Prosił go — mówi poeta

»o pokój, i o ziemi bryłę

Taką, że ledwo dla nich — na moją¹⁾....

Zwycięzca uniesiony pychą, odpawił posły owe szyderezo. Obiecał im mir żądany i łaskę, lecz pod

¹⁾ Pisma pośmiertne II 187.

warunkiem, którego przyjąć nie mogli, gdyż był upokarzający i boleśniejszy, niż ostrze miecza.

»Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać winą! Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą!

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżycą
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwycą:
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie jak gołębia
I wyprosiła usta różanemi
Co chce — niebiosą całe, czy pół ziemi«....

(Strofa XXII i następne¹⁾).

Z takąto odpowiedzią odeszli obydwaj wojewodzi do Wandy. Nie powrócili już więcej.

Następującej zaraz potem nocy pożałował Popiel tych słów zuchwałych i obelżywych. Ażeby cofnąć, co mu duma w usta włożyła: nazajutrz, zaraz za świtu, cały w zbroi żelaznej, podążył sam jeden do zamku Wandy nad Wisłą. Zatrąbił u bram — zostały mu otworzone. — »Idź do królowej«, rzekł smutnemu wojewodzie, który go wpuszczał do zamku, i powiedz »że mi słów moich wczorajszych szkoda«

»Zanadto ostre pokazałem lice!
Niech mi królowa wasza jasna, młoda
Naleje czarę, podniesie przyłbicę:

¹⁾ Pisma pośmiertne II 187.

A może łatwo ten rozkaz wykona
Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona«¹⁾....

W ponurem milczeniu przyjęto te słowa jego. Poprowadzono go na niedaleki brzeg rzeki — ten był cały wypełniony tłumem narodu. Tam ujrzał Wandę, ale już wydobyłą z topieli, martwą, położoną na stosie....

Cały ten epizod, zaledwie tu naznaczony w zarysie, przeprowadzony jest po mistrzowsku. Zespołenie mytu o Rytygierze i Wandzie z podaniem o Popiele, w taki sposób że działa w nich obydwóch jedna i ta sama osoba, odstępuje wprawdzie od dziejowego przekazu; lecz zyskuje na tem prawdopodobieństwo podania o dobrowolnem rzuceniu się Wandy w Wisłę. Zresztą i przez to pomysł ten się zaleca, że daje rzecz z nowej strony, a podobno z poetyczniejszej.

Po tem wszystkim czeladka Wandy przystąpiła do wyboru nowego księcia. Zebrały się roki walne — i pod wpływem tej dziwnej ironii losu, która tak często iść się w świecie, skończyło się na tem, że w purpurę Lechową tego właśnie przyodziano, z którego powodu się Wanda rzuciła w topiel. Dawny pacholek ostatniego księcia siadł więc nareszcie na tronie polskim i rozpoczął owo panowanie okrutne, którego groza żyje dotąd w podaniach narodowych.

Dokończenie pieśni drugiej i prawie cała pieśń trzecia wypełniona jest opisem najsroższych, najwyszukańszych męczarni, jakich się ta demoniczna natura od tej chwili dopuszczała na narodzie sobie podległym. Co tylko zapamiętały dzieje o rzymskich imperatorach albo o późniejszych dręczycielach rodu

¹⁾ Pisma pośmiertne II 188.

ludzkiego z rodzaju Iwana Groźnego, wszystko to zgromadził autor w ramach panowania tego bohatera swojego. Opis tej tyranii pod względem artystycznym jest nie zrównanej siły i barwy. Jedno tylko przy tem wszystkim niedość dobitnie zdaje się być dokonaniem. Oto niełatwo jest dociec, dlaczego się ten duch wybrany i o całą nieskończoność wyższy nad ludzi zwyczajnych plamił takimi okrucieństwami?

Rozpatrzywszy się w całym założeniu tej części poematu i łącząc w jedno wszystkie do tego się ściągające, a rozpierzchnię po różnych miejscach w nim napomknienia: można wprowadzić dać na to zapytanie poniekąd wystarczającą odpowiedź; zawsze wszelako żałować trzeba, że punkt w utworze tak ważny, potrzebuje dopiero komentarza i co gorsza, mógłby być nawet przedmiotem sporu.

Żeby myśl autora odgadnąć, zupełnie na bok tu usunąć należy podnieętą zemsty. Matka wprowadzić wpajała mu w ducha myśl zemsty, kiedy był jeszcze dzieciąciem. Mimo tego jednak nie z tego powodu pastwił się Popiel teraz nad tym narodem, że tenże obarczony był winą zagłady plemienia, z którego on pochodził. Opowiadanie poety, w całej tej części dzieła, niczem a niczem nie potrąca o to uczucie; i nie się też tu zgoła takim ogniwem nie łączy ze wszystkim, co poprzedziło. Co większa — znajdujemy tu jeden punkt, który stanowczo nawet obala podobne przypuszczenie. Wszakże wśród różnych okrucieństw swoich posuwa się Popiel wreszcie i do tej zbrodni, że własną matkę z lasów zwleczoną siepaczom swoim każe rzucić w płomień — z całą zresztą świadomością, że ta ostatnia z rodu Wenedów niezem przeciwko niemu nie zawiła! (Strofa LV i następna).

Powody działania jego nie wynikały przeto z nienawiści ras przeciwko sobie zwróconych, ani też z za-

dných powodów osobistych. Wynikały one raczej z najogólniejszych, że tak powiem światodziejowych względów: z potrzeb wieku, w którym Popiel żył, i z natury całej epoki, jaka wtedy trwała nad światem.

Były to czasy zastałe, zwolna ciekące, w głuchej zanurzone pomroce, na którą nie spadały jeszcze ani pierwsze nawet błyski przedświtów dziejów, cywilizacji, religijnych objawień — słowem wszystkiego, co przyjsć dopiero miało w przyszłości. Na pozór — był to stan błogi.

»Do gwiazdzie morskich tajemniczej jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni
A miał z jabłoni swej napój i cienie«....

(Strofa XXIV I-szej pieśni¹⁾).

Lecz dla energii ducha, który na to tylko w tem społeczeństwie się zrodził, ażeby je popełnić na-przód, był to rodzaj bytu nieznosny.

»Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą kłamię«.

(Strofa XXXIII).

»I nie! — Uragił mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi«.

(Strofa XXXIV I-szej pieśni²⁾).

Kiedy się bohater poematu wyniósł już na przywódce owego hufca Germanów, z którym przebiegał

¹⁾ Pisma pośmiertne II 171,

²⁾ Pisma pośmiertne II 173.

i nękał ludy ościenne: zależało to od jego już tylko woli, zamącać i przerywać tę głęboką ciszę epoki. Ale od owej chwili zaczął mu się dawać czuć inny znów niedostatek.

»Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach
Człowiek-duch — pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda.
Lecz zaszczerpienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata,
Trwożą jak pianie kurów u Piłata.

»Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją,
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciń.
Przed rannym strachem niebios a ciemnieją,
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny —
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzeć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójcy — czy słuha?...
(Strofa XVI i XVII w II-giej pieśni¹⁾).

Podnosi tu autor, jako więc znamiona przedziejowego bytu narodów: ową ciemność i próżnię i nudę duchową, która umysły przygniata, jak strach jakiś całe napelniający powietrze, i tylko być może przyrównaną do długiej a strasznej nocy, o której wiadomo że się kiedyś skończy, ale co po niej przyjdzie, niewiedzieć! Sumienia lękają się owej godziny brzasku, niezadługo już nadejść mającej. Znaki, które tę godzinę zwiastują, przerażają jak

piorun i trwożą jak »pianie kurów u Piłata«, które przypomniały Piotrowi, że się Boga swego zaparł. Tak w naturze jak w świecie moralnym, im bliższy jest czas poczęcia się brzasku poranku, tem noc zdaje się być ciemniejszą, tem więcej rodzi się zbrodni z jej łona — »ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją«; — tem większa nakoniec gotowość w społeczeństwie, postąpić sobie jak Piotr i zaprzeć się ducha Bożego.

Owoż tento stan nieznośny, ten stan trapiący całe społeczeństwo, ten brak zupełny wszelkiego moralnego punktu oparcia.... to jest to, w czem upatruję bodziec do czynów, jakie autor w poemacie daje bohaterowi swemu popełniać. Ojczyzna nasza religijnych objawień w owym czasie jeszcze nie miała. Były jakieś obrzędy, kapłaństwa, jakieś dorywcze, mętne przypomnienia wyobrażeń przyniesionych z kolebki jeszcze narodów, z nad brzegów Gangesu.

»Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, nakształt złotego upiora
W lasach powstanie....«

(Strofa XXIX w pieśni Iszej¹⁾).

Lecz te mdłe błyski zapomnianej dawno religii nie mogły wystarczać potrzebom. Było tedy — jeżeli nie w narodzie, to przynajmniej w jego panującym — pragnienie, ażeby się ta noc straszna i długa skończyła wreszcie. I stądto powziął Popiel postanowienie — zmusić niebo do objawienia praw swoich, jeżeli je ma, i jeżeli bóstwo w niem jest....

²⁾ Pisma pośmiertne II 185—6.

¹⁾ Pisma pośm. II. 172.

»Postanowiłem niebiosą zatrwożyć,
 Uderzyć w niebo, tak jak w tarczę z miedzi,
 Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
 I kolumnami praw, na których siedzi
 Anioł żywota, zatrząś tak z posady,
 Aż się pokaże Bóg w niebiosach — błądy«.
 (Strofa XLII w pieśni II-ej¹).

Doświadczyć tedy i przekonać chce się ten nieokiełznany żadnem jeszcze moralnem wędzidłem mocarz zwierzęcego dziejów okresu — czy czuwa wyższa jaka sprawiedliwość i opieka Bóża nad światem, czy też przeciwnie jest to pole bez właściciela, po którym wolno sile mocniejszego pławić się we krwi bezkarnie. Jeżeli z niebios patrzy oko jakie na ziemię: to go Bóg obliczem swoim w zapędzie zbrodni powstrzyma. A jeżeli go ani obliczem swoim nie przerazi, ani nawet nie ostrzeże żadnym znakiem na niebie:

»To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
 Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
 A tem straszniejszy — że go własne siły,
 Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły«.
 (Strofa XLV²).

Przez długi czas umacniało go wszystko już w przypuszczeniu, że co się tu dzieje na świecie, nikogo nie obchodzi tam w górze. Wysłał gromadami całemi najniewinniejszych na stosy; cały swój dowcip zużywał na wymyślaniu najwyrafinowańszych katuszy. A niebiosą? — niebiosą ciągle na to wszystko spozierały w milczeniu.

....»Niebios błękitnych framugi
 Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
 Patrzyły na to ciche obojętne....«
 (Strofa XLVII¹).

Myślał, że przynajmniej nocy jego powinnyby być pełne niepokoju i trwogi; rozumiał, że dnie — »jak nocy bez gwiazd«, będą dla niego czarne i klócone jękiem tych ofiar po całym kraju z rozkazu jego ginących. Ale i tego nie było. Nocy jego były ciche — spokojne; dnie mu płynęły, jak dawniej.

»I nie! — Ten straszny duch, któremu wojnę
 Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
 A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
 Gotów do końca waleczyć — z Bożą wzgardą«.
 (Strofa XLIX²).

Jednakże miała ta nierychliwość rządów Bożych trwać przecież aż do pewnej tylko granicy. Dopóki Popiel pastwił się tylko nad ciałami; dopóki duchom (jak się poeta w str. LIV wyraża), kruszył tylko »łódź i wiosło«: dopóty znosiły nieba tę tyranią jego cierpliwie. Lecz właśnie przeto posunął on się i dalej jeszcze. Widząc nadaremność usiłowań nad zbadaniem tajemnic, dla odchylenia których puścił się taką drogą; podrażniony odkryciem, że niema w niebie nikogo, coby dbał o sprawy ludzkie, a jeśli jest, to chyba jemu urąga, kiedy nie odpowiada jego wyzwaniu: z rosnącą namiętnością — z szaleństwem, jaki tylko poddać może oburzenie i mściwość, zaczął broić teraz już przeciw naturze i przeciw duchowi. Chodziło mu już tylko

¹) Pisma pośm. II. 192.

²) Tamże II. 193.

¹) Pisma pośm. II. 193.

²) Tamże II. 194.

jakby o ukazanie w całym blasku, owej nicości i nędzy podobnego ustroju świata! Kiedy więc w tym kierunku doszedł aż do owego kresu, że oddał na mękę i śmierć matkę własną; kiedy potem wysłał siepaczków przeciwko Switynowi, »którego, jak sam powiada, kochał i szanował jak ojca« (str. LXVI); kiedy na koniec dopuścił się morderstwa i na natchnionym z ducha harfiarzu, na nieuleknionym, choć cichym i wiernym, i upodobanym Bogu Zorryanie: — wtedy dopiero ukazały się na niebie wreszcie owe znaki ogniste, na które czekał.... Właśnie w chwili, kiedy i z dumą tryumfatora i zarazem z rozpaczą sieroty — w poczuciu i władzy żadną nieścieśnionej granicą i całej nędzy swojej moralnej — zawołał do towarzyszków:

»Nie niema na niebie!

Ja sam, jak Pan Bóg, będę sądził siebie!

Tę noc na ucztę! Jutro dzień pokuty

Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców!»

(Strofa XXV i XXVI w pieśni III¹⁾)

w owejto dopiero chwili obwieściły mu znaki na niebie, że niebo zlekło się o świat i kładzie koniec jego bezprawiom.

Owoż takieto, zdaje mi się, były powody, dla których poeta, pomimo tego że tak idealnie stawiał wizerunek bohatera swojego przed wnijściem tegoż w żywot cielesny, dał mu potem przeżyć ten żywot w taki sposób zbrodniczy. Z tego też tylko punktu widzenia daje się wyrozumieć, co w jednym miejscu mówi król-duch o sobie:

»Lecz co dziwniejsza — że tak próchniejący,

Taki upadły i taki zużyty,

Czasem się czułem jak anioł gorący,

Gotów ukochać świat i nieść w błękity...«

(Strofa LVIII w pieśni II¹⁾).

Na tensam wykład całego pomysłu naprowadzają wreszcie i wiersze w jednej z ostatnich strof całego tego rapsodu, w których Popiel powiada:

»Taki był koniec mojego żywota

Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,

Którzy nie doszli, w czym była istota

Czynów? w czym wyższość od rzymskich Herodów?

Nademną była myśl słoneczna — złota!

Do niej moc ciemnych, okrwawionych wschodów

Wiodła mię prosto...« itd.²⁾

Szedł więc przez życie zbrodniami, ale szedł w górę — do ideału i wiodł społeczność swoją w przyszłość. Że najniższe szczeble w tej drabinie wiodącej w górę były »okrwawione i ciemne«: to nie było winą człowieka. Było to wynikiem wieku. Zresztą naród i skądinąd jeszcze potrzebował tej szkoły. Od tegoto dopiero bowiem też czasu zaczęli synowie tej ziemi umieć i żyć i umierać. »Trwoga śmierci«, »miłość życia« — nawet za cenę, jakiej to życie nie warto — wymazane zostały od owego czasu począwszy, ze słownika narodowego! Są to u nas tylko wyrazy zapożyczone z obcych języków!...

¹⁾ Pisma pośm. II. 196.

²⁾ Tamże. II. 209.

»Idźcie! Już więcej nie jesteście sługi
 Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi!
 Kupiłem naród krwią — i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi».

(Strofa XXXIII)

»Ale przeziennie ta ojezyna wzrosła....

I pchnięciem mego skrwawionego wiosła

Dotychczas idzie

Fala ją druga nieraz z drogi zniosła

I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała

Bezwonne, martwe; lecz com ją wycisnął

Pod krwią, tem zawsze zwyciężył, gdy błysnął!»

(Strofa XL¹).

Powyższy »pierwszy« rapsod był pisany, jak z różnych względów daje się wnosić, w roku 1846. Kiedy wychodził z druku, były już ukończone i dwa dalsze rapsody, czego dowodzą różne skazówki spotykane w odnośnych manuskryptach poety. Ponieważ do ogłoszenia rzeczonych dwóch rapsodów bezpośrednio po ich ukończeniu nie przychodziło, a autor od pracy dalszej nad poematem tym nie odrywał się: w prostym tedy następstwie tego bywało nieraz, że niezadowolony później ze sposobu, jak to lub owo w pierwszym rzucie wykonał, w dalszych latach zmieniał często plan poematu całego. A to pociągało za sobą konieczność przerabiania coraz inaczej części dawniej już ukończonych.

Nad jednym z dalszych rapsodów (nad tym, który w edycji mojej otrzymał nazwę trzeciego)

znaleźliśmy w autografie położoną owę odezwę do Polski, którąśmy z zmianą jednego wyrazu zamieścili na czele całego dalszego ciągu Króla-Ducha, t. j. znaleźliśmy takie słowa:

»Polsko! Ofiaruję ci rapsod drugi Króla-Ducha. Pierwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — ten się wlecze jak wół, pracowitym krokiem«... itd.

Okoliczność ta upoważnia do wniosku: najprzód, że była ta odezwa pisana w chwili, gdzie autor zabierał się już do ogłoszenia i tej przynajmniej części dzieła swojego, czego później przecież zaniechał; następnie, że było myślą jego naówczas, pozostawić w tece na zawsze i nigdy nie publikować owej pieśni, która w wydaniu naszym dana jest jako rapsod drugi. »Drugim rapsodem« miało się nazywać opracowanie owej legendy o Piaście, które stanowi obecnie trzeci rapsod. Tego samego dowodzi i urywek »Planu Króla-Ducha« dany na końcu lwowskiego tomu II-go, a niezawodnie napisany w tymże czasie; w tym planie bowiem także już niema żadnej wzmianki o tamtej (dziś »drugiej« części) poematu.

Z powodu, że mimo tego wszystkiego nawet i w owym znowu czasie nie przyszło do oddania rzeczonej (dziś »trzeciej«) części dzieła do druku, stało się że i ten tekst rapsodu o Piaście i Ziemowicie podlegał w dalszych latach nowemu znowu przetwarzaniu. I takie koleje przechodziły prawie wszystkie ustępy szczególnego tego w rodzaju swoim utworu. Prawie zawsze autor, jak ze wszystkiego wynika, odkrywał w nich jakieś niedostateczności czyto pod względem wykonania, czy samego nawet pomysłu; i dlatego nieraz całe partye, a jeszcze częściej pomniejsze ustępy, wstawiał i przestawiał coraz inaczej.

¹) Pisma pośm. II, 208 i 209.

Wskutek tego autograf Króla-Ducha, w tym stanie, jak go znaleziono po zgonie Słowackiego, przedstawiał prawdziwy stos najróżniejszych papierów. Postać tego, co one w sobie mieszczą, jest chaotyczna nad wszelkie wyobrażenie. Są w nich i pierwsze rzuty i wszystkie kolejne przerobienia — bez skazówki, co autor ostatecznie za odrzucone, a co za poprawione uważał. Nie przypuszczając oczywiście poeta, żeby nie miało być dano jemu samemu kiedyś uporządkować ten bezlik dopisów, odmian, poprawek i coraz innych redakcyj, nie widział potrzeby dawać w rękopisie swoim skazówek, po którychby i ktoś drugi potrafił się oryentować w tym labiryncie. Dlatego na jednej i tej samej nieraz karcie są strofy tuż po sobie następujące, lub też pisane obok na marginesie, które mimo to nie mają ze sobą żadnego związku, ale się odnoszą do najrozmaitszych pieśni. W braku zewnętrznych znamion, któreby o tem ostrzegały, że to rzeczy różnorodne i niespójne ze sobą, sam sens tylko wewnętrzny daje niekiedy odgadnąć, dokąd z nich każda należy.

Wspominam o tem wszystkim z dwóch przyczyn. Raz dlatego, że mi się zdaje, iż warto wiedzieć o tem, z jaką sumiennością i jak mozolnie prowadził Słowacki pracę, przez którą spodziewał się zostawić narodowi trwałą pamięć po sobie. Powtóre mówię o tem z tego jeszcze powodu. ponieważ chciałbym wytłómaczyć czytelnikowi »Dalszego ciągu« Króla-Ducha, dlaczego w wielu miejscach znajduje on tam tak nieszczelne i niezręczne połączenie ustępów, a nieraz i luki całe pomiędzy nimi pozostawione otworem. Nader często było tu prawdziwem niepodobieństwem uczynić zupełnie zadość wszystkim obowiązkom wydawcy. A i to niedostateczne z zadania wywiązanie się, jakie się osiągnąć dało, kosztowało i czasu i trudu nierównie wię-

cej, niżby niejedynemu przypuszczał. Chodziło bowiem o zestawienie przed sobą wszystkich, po całym papierów stosie rozproszonych, a coraz innych redakcyj każdego poszczególnego ustępu; dalej o wybór tej właśnie wersyi, która się z jakiegobądź powodu najwięcej ze wszystkich zalecała: a nakoniec o spojenie ze sobą tych wszystkich wybranych cząstek w jeden nierozzerwany wątek, bez fałszowania myśli poety i nie pozwalając sobie odmienić ani wyrazu! Gdzie zatem już przez samego autora pozostawione były, że tak powiem, szczyrby i wyrwy — do zapełnienia ich dopiero później, w chwili ostatecznego wiązania wszystkich szczegółów w całość: tam oczywiście i teraz okazują się próżnie albo przykre przeskoki z jednej materyi w drugą.

W ciągu tego zajęcia przypominały mi się nieraz domysły filologów o sposobie, jakim do skutku przyjść musiała ostateczna postać Iliady i Odysei. Ale zadanie Onomakrita było wdzięczniejsze. Mógł on z rozlicznych rapsodyj składać ukończone całości: a nasze dzieło pozostanie na zawsze tylko fragmentem....

Teraz niech mi wolno będzie dołączyć kilka jeszcze uwag z osobna o każdym z rapsodów, stanowiących ogłoszony niedawno temu dopiero ciąg dalszy poematu.

Rapsod drugi Króla-Ducha obejmuje pieśń tylko jedną. Ma za przedmiot: przedstawić koleje jakie bohater poematu przechodził, wyzuwszy się z ciała Popiela, i podlegając na drugim świecie różnym pokutom i próbom, zanim mu przyszło odrodzić się znowu na ziemi w nowym żywocie. Miał tu poeta przed sobą do zapełnienia nieokreślone obszary wyobraźni. W ślady idąc Wirgilego i Danta, mógł był zaludnić te światy zagrobowe całym tłumem typowych istot, niegdyś żyjących na ziemi, a obecnie

splacających winy i zbrodnie żywota. Miał sposobność okazania wszystkich bogactw nieznużonej i nigdy niewyczerpanej swojej fantazyi. Można się było spodziewać w tej części jego utworu tem dramatyczniejszego i fantastyczniejszego obrobienia przedmiotu, że i jemu samemu nie były obce, w dawniejszych przynajmniej latach, chętki zapuszczania się myślą w te światy Styxem i mogiłą odgraniczone od naszego padołu¹⁾. Z tem wszystkiem nie znajdujemy w rapsodzie tym nic zgoła, co by odpowiadało podobnym oczekiwaniom. Widocznie Słowacki odsunął stanowczo na bok od siebie wszystkie pokusy, które wyzywać mogły do wysileni samę tylko wynalazczą imaginację poety. Nie chodziło mu bynajmniej o zmyslenia, o artystyczne ale dowolne rojenie czegoś, co by tylko bawić mogło czytającego. Chciał jedynie to opowiadać, w co wierzył; i pozostał nawet w tej części poematu wiernym założeniu, jakiemu całe to dzieło swoje poświęcił.

Z tejto przyczyny, ile mi się zdaje, pochodzi, że cały opis cierpień ducha obarczonego winą na drugim świecie i to wszystko, co o pobyć jego tamże autor powiada, zbyte jest zaledwo trzynastu strofami. Są to tylko najogólniejsze i że powiem, konturowe rysy obrazu. Cały ostateczny sens rzeczonych trzynastu strofok, umieszczonych na samem czele rapsodu, mieści się oto w tych kilku wierszach:

»O tej krainie żaden duch nie gada,
A nawet onych mąk pamięć utracą;
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
Niweczy ciało gorzej, niżli praca,

¹⁾ Poema Piasta Dantyszka o Piekle.

Niż nędza, która wnętrzości wyjada,
Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca....
Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze
I od świtania w niej.... znów czasy liczę«.
(Strofa XI¹⁾).

Począwszy od strofy XIV poczyną się też już opis właśnie owego »switania w męczarniach«. Przysłane zostały do pokutnika naszego dwa duchy, które mu oznajmują, »że grzechy jego zostały mu odpuszczone« i że poruczone mu jest do spełnienia nowe zadanie w przyszłości, zawsze w obrębie jego ojczyzny (strofa XIX). Ponieważ — dla dopełnienia nieodpokutowanej reszty tych przeżyć bolesnych, jakie mu za karę były odmierzone na tamtym świecie, bohater poematu jako duch, a raczej jako upiór, przytomnym a nawet współdziałającym być musi na ziemskiej zdarzeń widowni przez pewien czas przeciąg: zstępuje zatem na ziemię i jako widmo Popiela zjawia się owym dwunastu wojewodom, którzy rządili po jego zgonie nad Polską. Widok bezpraw, jakie się działy pod rządami tych dwunastu, niemniej za panowania Popiela II, stanowi właśnie jedno z największych udręczeń tej duszy pokutującej. Widzi on bowiem, że to wszystko złe dzieje się właśnie pod jego sztandarem, w jego imieniu, torem tradycyi od niego datujących w narodzie. Począwszy od strofy XXXVII, świt przebaczenia win jego zaczyna jaśnieć słoneczniej: losy narodu przechodzą pod zarząd kmiotka owego z Kruszwicy, który sam jeden wtedy w ojczyźnie nosił w sobie owo Słowo narodu, które rozwinąć do zupełnej pełni i blasku było ostatecznem króla-ducha zada-

¹⁾ Pisma pośmiertne II 216.

niem. W myśl założenia poety, tym Piastem był nie kto inny, jak Zoryan, ów prorok i harfiarz spalony przez Popiela na stosie. Duch tensam, tylko — jak się autor wyraża, »na nowej kwitnący lodydze«, t. j. odrodzony w innym żywocie.

Rządy Piasta i najbliższych z jego pokolenia były błogie, kojące rany narodu: ale przechodziły bez sławy, bez wielkości, bez rozgłosu. Były to pokorne i tylko potulne tony, wydzielone z tej świetnej i bogatej symfonii, która grała całym chórem za czasów Popielowych — mimo okrucieństwa, które jej harmonią klóciło. Bez względu na to — choć widzi tak wielce znizony i stłumiony nastrój tej społeczności kierowanej ręką Piastów: bohater poematu, duchem już uniżony przed Bogiem, dobrze życzy temu rodowi na tron jego powołanemu i zlewa swoje błogosławieństwo — na wszystkie hasła i postęпки jego, na wszystkie drogi, któremi naród pod jego kierunkiem kroczy, na całą tę pokorę, jakiej znamię Piast dopiero na społeczeństwie wyciska; słowem na wszystkie miazgi i słoje, składające całe jestestwo ojczyzny. Po ostatniem, po siódmym błogosławieństwie — »spojrzał Pan na ducha tego litośnie« — i dał mu wreszcie zasnąć po wielkorym trudach i mękach. Ten spokój i odpoczynek po strasznej pracy — to największe szczęście, jakie czasami osiągały duchy wybrane.

»Niech nikt nie myśli, że jest upominek

Dla ducha większy jaki — nad spoczynek!«¹⁾

wyrzekł poeta nasz jeszcze w jednej ze strof rapsodu pierwszego. Otóż pozwala Bóg teraz i temu

strudzonemu duchowi zasnąć z uśmiechem i z ciszą w myślach, wcieliwszy całe istnienie jego w ojczyznę. I tak przeminął znowu wiek cały. ~~Ami~~ ^{Alle} czuł bohater pieśni, jak wśród wiekowego tego snu błogiego jego w ojczyźnie — owe zrazu tak czyste miody Piastowe już znowu mącić i psować się zaczęły. W ciągu czasu, który wszystko niweczy, i te tradycje się więc zużyły! Chata kołodzieja z Kruszwicy, niegdyś nawiedzana przez anioły, »zwolna traciła swoje złote goście« (strofa LVI). Więc wreszcie niepokój i rwanie się do życia zaczyna znów króla-ducha ogarniać... i wybiła z wyroków Bożych godzina, gdzie czynność jego na ziemi stała się koniecznością. Rodzi się jako człowiek śmiertelny — imię mu teraz Mieczysław I....

Aczkolwiek cały pomysł tego rapsodu — z punktu widzenia poety — dokładnie i z konsekwencyą jest przemyślany, zaprzeczyć temu jednak nie można, że wrażenie, jakie sprawia na czytelniku, mniej jest silne, aniżeli oczekiwanie, z jakim go się bierze do ręki. Przeprowadzenie pieśni poprzednich było szczęśliwsze. Więcej tam ruchu, różnaitości, zdarzeń konkretnych — słowem osnowy. Treść rapsodu drugiego, zamknięta wyłącznie w subiektywizmie opowiadającej osoby sprawia, że ta część poematu wygląda jakoś mglisto i ubogo. Ta też okoliczność zapewne była jedyną tego przyczyną, że autor w późniejszych latach odrzucił ten rapsod jako mniej godny ogłoszenia, a natomiast postanowił dołączyć do rapsodu ogłoszonego drukiem bezpośrednio ów rapsod trzypieśniowy, który w wydaniu lwowskim zajmuje trzecie miejsce w składzie całego poematu, t. j. powieść wyłącznie za przedmiot swój mającą wspomnienia Piasta. Te kilka wzmianek, które konieczni się

¹⁾ Pisma pośmiertne II 167.

zdawały do wiedzenia o zamogilnych losach bohatera nieobecnego przez ten ciąg czasu na ziemi, miały być w rapsodzie tym rzucone tylko mimochodem — w ustępach, gdzie się do tego nadarzała sposobność.

Teraz słów jeszcze kilka o wariantach tego rapsodu. Obrobień całkiem odmiennych »Rapsodu II« jest w ogóle trzy. Jedno daliśmy w tekście. Drugie obrobienie dołączyliśmy pomiędzy dodatkami na końcu drugiego tomu dzieł Słowackiego pośmiertnych od strony 343 do 352. To »drugie obrobienie« znalazłem w dwu odrębnych redakcyach, które się jednak w drobniejszych tylko szczegółach różnią od siebie. (Mniej wykończoną redakcyę i niedoprowadzoną też do samego końca, dałem drukować w Dzienniku lwowskim Literackim Nr. 85 roku 1865, strona 797 i 798). Widoczną rzeczą jest, że podług tego »drugiego« obrobienia, miała to być pieśń dołożona do rapsodu o Piaście jako jego dośpiew; i rzeczywiście znachodzi się też nad lepszą redakcyą tej warianty w autografie napis: »Pieśń dopisana«, któreto wyrazy poeta następnie przekreśliwszy, położył natomiast tytuł: »Dokończenie«. — Trzecie nakoniec obrobienie było tylko częściami zaznaczane i zawsze urywane wśród pracy: pozostały z niego tylko luźne ustępy, niełączące się w żadną całość. Cały szereg tych oderwanych fragmentów pozostawiłem w rękopisie, wyjąwszy trzy urywki szczególnie godne uwagi, które (na stronicach 352 do 359) są dołączone do Dodatku tomu drugiego ¹⁾.

¹⁾ Wszystko co tylko z pośmiertnych Słowackiego papierów nie mogło znaleźć pomieszczenia w tomach przeznaczenie wydanych, zostało za zezwoleniem rodziny poety złożone w Bibliotece Ossolińskich. (Nr. inw. rękopisów 1773 i 1792).

Przystępuję teraz do rapsodu o Piaście, który w wydaniu lwowskiem nosi nazwę **Rapsodu trzeciego**. Wykładu wewnętrznej jego osnowy dać nie zamierzam, raz dlatego że byłbym zmuszony zbyt długo zatrzymywać się w tym rozdziale nad tym jednym Słowackiego utworem; a potem i z przyczyny, że co w tym rapsodzie jest jasne i piękne i wykończone (a nie brak mu na ustępach skończonej, wytwornej nieraz piękności): to wyrozumie każdy czytelnik i bez mego komentarza; co zaś jest oczywistą tylko allegoryą mistycznych pojęć, to zbyt jest trudnem do tłómaczenia przy zupełnym braku klucza do tych wszystkich symbolicznych wyobrażeń w nim rozwiniętych. Całe naprzykład przedstawienie *Pychy* słowiańskiej, wykradzenie przez tę Pychę ducha Ziemiowitowi, pobyt jej i czarodziejstwa przez nią dokonywane na gorza *Zober*, *Wodan* — są to wszystko figuralne jakieś pomysły, w które nam niepodobno jest prawie do rdzeni wnikać — w duchu autora. Mogłbym o tem wprawdzie udzielić moich myśli; nie wiem jednak, czyby podmiotowe moje zdanie o tych ustępach było rzeczą dla kogo pożądaną. Pomijając zatem zupełnie wykład rapsodu trzeciego, poprzestanę na udzieleniu tu kilku tylko szczegółów o stanie, w jakim się ta część *Króla-Ducha* w papierach pozostałych Słowackiego znalazła, i o ilości wariantów tego rapsodu.

Rapsod niniejszy znalazł się opracowany niemal całkowicie, a zawsze inaczej — cztery razy. Jedno obrobienie, na trzy podzielone pieśni, znalazło pomieszczenie w tekście drukowanej edycji. (Dodano mu tam jednak początek, jako też i zakończenie, wzięte z innych wariantów. Obacz stronę 201, 206 i 225). — Drugie obrobienie, w jednej tylko pieśni objęte, ale zawierające zupełną całość — nie bez wielkich zalet artystycznych — dałem

prawie całe między wariantami stanowiącymi Dodatek do tomu II, od stronicy 360—368. (Opuściłem tylko jego początek i koniec, jako mało odmienne od tego, co zostało wzięte do tekstu. Środek zaś cały rapsodu, jako i najwięcej odrębny i wybornie oddany, odbity jest cały na rzeczonych stronicach). Te dwie redakcje zdają mi się być ostatnie. Wnoszę o tem z tego mianowicie, że »drugie obrobienie«, jak je tutaj nazywam, znalazło się już przepisane na czysto ręką samego autora; przepisywanie »pierwszego« podobnie było przez niego samego zaczęte, ale już od siódmej zwrotki zastąpił tu poetę w kopiowaniu młody jego przyjaciel Feliński. Ten odpis wspólny obu przyjaciół zdaje się być późniejszym od powyższego; a więc byłaby to redakcyja najpóźniejsza ze wszystkich i dlatego też jej to właśnie dałem pierwszeństwo nad innemi). Trzecie obrobienie także się dzieli na trzy pieśni, ale w nich i rzecz sama i cały sposób przeprowadzenia takowej odstępuje najzupełniej od wszystkich innych redakcyj. (Król-duch wcielony tu jest z Wodana). Obrobienie to w całości dałem oddrukować w lwowskim Dzienniku Literackim roku 1865 Nr. 83—85. Pierwsza zaś pieśń jego, jako najwięcej wykończona i z różnych względów najbardziej godna uwagi, znalazła prócz tego jeszcze miejsce i w wydaniu dzieł Słowackiego, między wariantami danymi na końcu drugiego tomu, stronica 368—379. Ta »trzecia«, jak ją nazywam, redakcyja zdaje się być najwcześniejszą ze wszystkich. — Czwartem nakoniec obrobieniem możnaby nazwać ten cały bezlik urywkowych ustępów, rozproszonych po różnych częściach całego rękopisu, który zwolna powstawał w ciągu lat kilku. Ustępy te żadnych całości nie tworzą, obejmują jednakże niekiedy po kilka i kilkanaście zwrotek. Z tejto kategorii wariantów wzięty jest wstęp

i zakończenie, doczepione do rapsodu trzeciego, jak tenże wstawiony został do tekstu.

Tylokrotne przerabianie jednej i tejsamej rzeczy wskazuje na szczególną trudność przedmiotu. Stanowiła ją ta okoliczność, że w ogóle rapsod ten w budowie całego poematu zajmuje jakieś wyjątkowe położenie. Podczas gdy zdarzenia w innych rapsodach objęte, składają się na żywoty samego króla-ducha i jako własne jego czyny są też opowiedziane zawsze przez niego: w tym rapsodzie rzecz dotyczy Piaśta i jego rodziny, z którą bohater poematu nie tylko nie miał żadnej wspólności, ale nawet nie żył wtedy na ziemi, kiedy się to wszystko działo.... Otoż była tu dla poety trudność w tem, że się nie nastroczała żadna osoba, któraby mogła być snadnie użytą za opowiadającą owe piastowe legendy. Włożyć rzecz i tutaj w usta królowi-duchowi -- to miało swoje znaczne niedogodności. A dać tę powieść od siebie, jako po prostu od autora -- tego Słowacki nie mógł już z tej prostej przyczyny, że z założenia całej niniejszej kreacyi i z najgłębszej, posuniętej u niego do dogmatyzmu wiary, identyfikował on osobę własną z bohaterem dzieła swojego i nie winnym sensie przesuwając w niem wątek całych jego dziejów mistycznych, jak tylko w tym że to jest jego własna odwieczna przeszłość, własna jego coraz się powtarzająca palingeneza, aż do obecnego żywota, w którym mu wypadło iść poślanictwo swoje w roli poety i walczyć z szatanami epoki -- na polu myśli potęgą słowa....¹⁾

¹⁾ Ktoby się chciał dowodnie o tem przekonać, niech z sobą porówna następujące miejsca w różnych rapsodach Króla-Ducha: W Tomie II strona 202 strofa IV. Strona 204 str. XI. Strona 254 i 255 strofy XXXI—XXXV. Strona 265 str. LXXIV. Strona 268 str. X. Strona 288 str. III. Strona 289 str. IX. Strona 327 str. VI. Strona 337 str. II i IV. Strona 356 str. I. (P. A.)

Rapsod czwarty, zatytułowany *Miecz a Sława*, łączy się bezpośrednio z rapsodem drugim, jako jego najwłaściwszy ciąg dalszy. Legenda o Piaście w trzecim rapsodzie rozrywa z pewną niedogodnością tę ścisłą łączność. — W nowym tym rapsodzie daje poeta wizerunek dalszego znowu żywota swojego bohatera. Duch Popiela otrzymawszy przebaczenie od Boga za to wszystko, co zgrzeszył, rodzi się jako człowiek na nowo i zostaje wcielony w osobistość Mieczysława I. Znowu tedy prowadzi dalej opatrnościowe swoje nad Polską posłannictwo w osobie panującego. Wartość czterech pieśni, na które się rapsod ten dzieli, nie zawsze ma się do siebie w równym stosunku. Dwie pierwsze pieśni są bez porównania i więcej wykończone i treściwsze, aniżeli obie ostatnie. Młodość Mieczysława — jego ślepotą — postrzyżyny i odzyskanie wzroku, prześlicznie to wszystko jest opisane. Z wielkim także wdziękiem przeprowadzona jest opowieść o swadźbie, o przybyciu do Polski i zaślubieniu Dobrawny czeskiej. Nie bez zalet niepospolitych jest i dalszy ustęp, w pieśni trzeciej, traktujący o rozmaitych wrogach, którzy się równocześnie walą na państwo Mieczysławowe. Ku końcowi pieśni tej trzeciej natchnienie poety słabnie, a raczej przemaga tu znowu owa mglista mistyczność, gubiąca się w abstrakcyach przyswojonej doktryny. Widzenie Mieczysława, mające za przedmiot całe dzieje powszechne, nie może zająć czytającego. O ile jest możliwem do rozumienia, nie przechodzi granic najzwyczajniejszych wyobrażeń i graniczy prawie z trywialnością. O ile zaś usuwa się z pod możliwości wykładu, nie może mieć dla nikogo żadnego zgoła znaczenia. Jeszcze gorsze wrażenie sprawia osnowa pieśni czwartej, w której Dobrawna długo i szeroko swoje znowu opowiada wizye Mieczysła-

wowi. Wizye te prawie całkowicie nazwać należy dla czytającego zagadką. A zagadka ta tem więcej sprawia w tem właśnie miejscu niesmaku, że następuje tuż po ustępie takiejże treści, nuży zatem jednostajnością. Sam koniec pieśni czwartej ma znowu rzewne strofy i głębsze nieraz pomysły.

Wariantów w granicach i tego rapsodu okazała się liczba niemała, lecz właściwie tylko w zakresie samej pierwszej pieśni. Odmiennych opracowań tej pieśni, gdybyśmy z nich takie tylko tutaj liczyl, które przynajmniej połowę całej pieśni wynoszą, wykazałoby można siedem. Gdyby zaś zliczyć krótsze odmianki, znachodzące się jako luźne, z kilku tylko złożone strofok urywki, rozrzucone po całym rękopisie: to liczba ta okazałaby się trzy razy większą. Są to rzeczy wielkich niekiedy zalet; odnoszą się to do tego miejsca, to do owego. Różnią się pomiędzy sobą tylko sposobem oddania i w ogóle formą — nigdy zaś rzeczą. Niepodobno z nich jest atoli złożyć całości. Tekst pierwszej pieśni, zamieszczony w wydaniu mojem, obejmuje w sobie — o ile się to tylko uczynić dało — zestawienie najlepszych poszczególnych wariantów, jakie tylko się znajdowały w tych tak licznych opracowaniach. — Dalsze pieśni tego rapsodu okazują się już więcej z pierwszego rzutu. Pieśń druga miała tylko w jednym miejscu pierwotnie przez kilka oktaw inne rzeczy samej przeprowadzenie, które autor potem przekreślił i odmiennymi szczegółami zastąpił. Obie pieśni ostatnie znalazły się w brulionie bez żadnych przeróbek i zdają się też być w ogóle zgoła niewykończone. Tak na przykład koniec pieśni drugiej i początek trzeciej traktują w mało różny sposób rzecz zupełnie tęsamę; coby być oczywiście nie mogło, gdyby ta część poematu była otrzymała wykończenie należne. Wydawca musiał to wszystko, jak się samo

rozumie, wstawiać w tekst w tej postaci, jak ją w autografie znalazł — choć nie bez świadomości, że niejednemu ustępowi braknie związku z całością, jasności i ogłady ¹⁾).

W **Rapsodzie piątym** spostrzegamy króla-ducha w nowym znowu żywocie. Duch niegdyś Popiela, później Mieczysława, przychodzi na świat i teraz znowu jako władca narodu, powołany do posunięcia przeznaczeń jego o krok dalej ku wytkniętemu ojczyźnie naszej celowi. Imię mu teraz Bolesław Śmiały. — Rapsod ten obejmuje pieśni cztery, nie jest jednakże ukończony. Zdaje się, że rzecz ta zaledwie stanowi zamierzoną połowę: urywa się bowiem wątek poematu już na wskrzeszeniu z martwych Piotrowina przez Stanisława świętego. Równie też i każda z czterech jego pieśni z osobna wzięta przedstawia tylko pierwszy rzut kompozycji, której zupełnie zbywa na tem, co nazywamy ostatnią ręką. Wnosząc z różnych niewątpliwych skazówek, twierdzić można na pewne, że pisane to wszystko być musiało w ostatnich miesiącach, jeżeli nie tygo-

¹⁾ W dalszym ciągu, po powyższym rapsodzie, rozpoczął był Słowacki osobną pieśń, w której ukazany w szczegółach być miał bezcielesny byt ducha Mieczysława I, od chwili zejścia ze świata; a równocześnie z temi pozgonnemi jego dziejami miał być dany wizerunek rządów i przewag w narodzie polskim syna jego Bolesława Chrobrego. W tymto rapsodzie miał znaleźć pomieszczenie ustęp ów o słupach wbijanych w Dnieprze, który z małemi zmianami obecnie okazuje się dołączony przy końcu pierwszej pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym. Część tę poematu autor dość już daleko był posunął; pomimo tego następnie pomysł jej cały jednak odrzucił. Zbyt fragmentaryczna pieśń tej postać nie dozwalała udzielić z niej wyjątków w drukowanym wydaniu. (P. A.).

dniach życia poety ¹⁾. Śmierć zatem tak wczesna była jedyną przyczyną, że cały ten dział poematu pozostał w kształtach istotnie pierwszej improwizacji, która zapewne ani już nawet odczytana nie była przez autora, zostawszy w pośpiechu i zamęcie rzuconą tak na papier, jak się zarysowała w pierwszym pomysle. Stądto znajdujemy w całym tym rapsodzie przy niejednym ustępie w porywający opowiedzianym sposób — strofy częstokroć niezwiązane ze sobą, dla niedość wykończonych budowy zdań bardzo trudne do rozumienia, oddane tokiem zwiłkłym, urywkowym i tylko jak przez mgłę myśl poety wydającym na zewnątrz. Pismo nader niewyraźne i wielokrotnie w temsamem miejscu przemazywane w wszelkich kierunkach — i w wierszach i nad wierszami — przywodziło niekiedy niemal do rozpaczki wydawcę....

Oczywistym zamiarem Słowackiego było przeprowadzić w taki sposób cały wątek dziejów ojczyńskich, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszym zawsze miejscu, bądź to na tronie, bądź na innem skądinąd tak podniosłem w sferze duchowej stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na całą dolę społeczeństwa narodowego.

— Gdybym miał wyrzec ogólne zdanie o tem dziele ostatniem Słowackiego, powiedziałbym: że

¹⁾ W różnych miejscach manuskryptu tego rapsodu zachodzą się między strofami tekstu wtrącone urywkowe ustępy testamentu Juliusza. Wiadomo, że pisał on testament swój krótko przed śmiercią — dopiero w roku 1849. A zatem w pierwszych miesiącach roku owego mógł też być dopiero i ten rapsod pisany. (P. A.).

sądzić je wypada z dwóch zgoła odrębnych punktów widzenia.

Jako wyraz doktryny, jako pomysł oparty na wierze w przechodzenie dusz z jednego ciała w drugie — jest to przypuszczenie, które trudno uważać za coś więcej, jak za sennie marzenie. Myśl taka sprzeciwia się i artykułom wiary naszej i uznanym wypadkom wiedzy dzisiejszej. Solidarność pewna przeszłości z obecnnością nie daje się zaprzeczyć, to prawda. Odsłania się ona widocznie w ciągu pokoleń poszczególnych rodów a rodów, odsłania się i w toku powszechnych dziejów, toż w tradycyi narodu. Wnukowie są z dziadami złączeni niewidzialną wstęgą i krwi i dążeń, i cnót i wad. Ale ażeby zrozumieć to wszystko, nie potrzeba do tego takich mistycznych kluczy. Że założenie Słowackiego w tym poemacie miało w sobie coś sprzecznego ze wszystkim, czego się tylko tknęło: to i w tem widać, że mu praca ta nie szła od ręki. Biedził on się z dziełem tem bardzo, przez lata całe — i nie umiał sobie z niem nieraz dać rady. Mimo pozoru dogmatyzmu i wiary, z jaką przedmiot traktował, chwiał on się ciągle w najgłówniejszych pomysłach, a mianowicie co do tego wcielania się duchów w żywoty ludzkie. I tak Piast w jednym opracowaniu był mu wcieleniem ducha Lecha, w innej redakcyi ducha Zoryana (harfiarza), w trzecim wreszcie rzucie (wziętym do tekstu) niema on z nikim innym wspólności. Podobnie i sam bohater poematu, Król-Duch, to się staje Wodanem (synem Piasta), nim mu wypadło następnie zrodzić się w osobie Mieczysława — to znowu przepędza ów czas w krainie zaświatowej, nie będąc wcale człowiekiem przed swoim zrodzeniem się jako Mieczysław I. Widać w tem wszystkim jedynie czynność ekscentrycznej fantazy,

przybierającej mimo tego pozory jakiejś intuicji proroczej z uroszczeniami do nieomyślności, których nie zgoła nie usprawiedliwia....

Lecz to jest sąd o Królu-Duchu wydany z jednego tylko z dwojga owych stanowisk, o jakich nadmieniał powyżej. Obok strony dogmatycznej, ma kreacya ta także i stronę drugą — artystyczną. Jako przeprowadzenie całego szeregu obrazów, zdjętych z kilkowiekowego żywota Polski, i jako poczet wizerunków najwydatniejszych osobistości w obrębie dziejów i podań naszych — niezaprzeczenie poemat ten miałby wielkie znaczenie, gdyby był dokończony i wykończony. W tym stanie, w jakim pozostał, zaleca on się tylko mistrzowskimi obrobieniem niektórych chwil narodowej przeszłości, a nadto zmusza nieraz do podziwu i językiem znakomitej dzielności! Język ten smukły, gibki, zwięzły, a zawsze muszkularny stanowi też główną poematu tego ozdobę. Mógłby on przywieść do zazdrości niejednego z poetów, mających skądinąd prawo liczyć się do celniejszych pisarzy naszych! ¹⁾

¹⁾ J. Starkel w recenzyi wydania pism pośmiertnych Słowackiego, umieszczonej w „Dzienniku literackim“ (Lwów 1866 str. 317 i n.) wypowiedział kilka trafnych uwag o „Królu-Duchu“; obszernie o poemacie rozpisał się St. Tarnowski w recenzyi niniejszej książki. (Przegląd polski 1867 II. 396-409). Odczyt A. Asnyka o „Królu Duchu“ (Przewodnik naukowy i literacki, Lwów 1879), nie przynosi żadnych nowych spostrzeżeń krytycznych; mieści je za to rozbiór dr. M. Zdziechowskiego, znajdujący się w jego cennych książkach a mianowicie: „Messyjańści i Słowianofile“ (Mickiewicz i Słow. pod wpływem Towiańskiego) i „Byron i jego wiek“ (II. 507-515.)

Współczesne sądy, zaraz po śmierci poety wypowiedziane ze stanowiska dr. H. Biegeleisen w objaśnieniach do dzieł Słowackiego (V. 507-12). Niedrukowaną przedmowę do „Króla Ducha — z podpisem

Teraz wspomnę o innej pracy Słowackiego, która o tyle się wiąże z poematem powyższym, że z jego tylko powodu została prawdopodobnie podjęta. Przypada ona albo na czasy, kiedy Juliusz Króla-Ducha zaczynał, albo też właśnie go rozpocząć zamyslał. Mówię o Przekładzie kilku ustępów Iliady¹⁾. Przepyszne to są urywki! Jeżelibyśmy mieli kiedykolwiek czytać Homera z takim zajęciem, z jakim go niegdyś czytali Grecy, albo my dzisiaj naszego Pana Tadeusza czytamy, to tylko chyba w tak żywy sposób musiałby on być spolszczony. Może przyczyna tego ta, że Słowacki co do wyrazów poszczególnych wcale się oryginału nie trzymał. Nie przekraczał on wprawdzie nigdy granicy sposobu i nastroju starożytnego. Ale w tym obrębie raczej Homera parafrazował, aniżeli przekładał. Z tem wszystkim co to za wysłowienie! Jaka dosadność wyrażań! Wiersz wspaniały, pełen siły i barwy, obfity w zwroty potoczne, a jednak więcej bohaterką potęgą! Z tych urywków więcej wyrozumieć się daje, że to pisał człowiek niepospolity, niżeli z niejednego własnego jego utworu! Nie jest to wprawdzie sposób, w duchu którego życzyliby należało w ogóle, ażeby pisarze nasi spolszczali obce, a zwłaszcza sta-

pseudonimowym poety: Józefat Dumanowski — wydrukowała „Warta“, (Poznań 1882 Nr. 429.)

W ostatnich czasach „najmłodszy“ w literaturze nader gorąco zajęli się komentowaniem „Króla-Ducha“; enuncjacje ich mieszczą się przeważnie w czasopiśmie literackim „Życie“ (Kraków 1899 i 1900). Wreszcie obszernie dzieło o poemacie przygotowuje G. Pawlikowski; odczyt jego w tej materii, wygłoszony we Lwowie, znany dotąd jest jedynie ze sprawozdań dziennikarskich. (Przegląd. Lwów 1899.)

¹⁾ Pisma pośm. I. 225-251. W przekładzie mamy: Pieśń I. w. 1-492; Pieśń XVII. w. 1-131; Pieśń XXI. w. 342-396.

rożytne kreacye. Na tej drodze bardzo łatwo uronić wszelkie znamiona pierwotnego charakteru oryginału. Ale czytając te Słowackiego ustępy, chętnie każdy, jak sądzę, powie mu: *Tibi soli!* i nie pożałuje, że i w taki sposób choć kilka tylko prób tej prastarej poezji ukazano w naszym języku.

Nie sądzę, żeby miał być zamierzać kiedy Słowacki zająć się przekładem całej Iliady. O Homera pewnie mu tu nie chodziło. Nie tłumaczył go też z oryginału i niewątpliwie ani nawet nie przełożył nic więcej, jak tylko tyle, ile się właśnie na tych kilkunastu kartkach po śmierci jego znalazło. Najprawdopodobniej było to tylko jedno z przygotowanych studyów do poematu o Królu-Duchu. Chodziło poecie o dobranie sobie najwłaściwszego toku i tonu językowego. a więcej jeszcze o dobór odpowiedniego przedsięwziętemu dziełu rodzaju wiersza i rytmu. W rękopisie Króla-Ducha znaleźliśmy jako warianty nieraz całe ustępy, w innych formach pisane, jak w tych oktawach jedenasto-zgłoskowych, w jakich ostatecznie najbardziej lubił wylewać natchnienia swoje Słowacki. Otóż wnosić się godzi, że między innymi przyborami, jakie się robiły przed rozpoczęciem dzieła, rozczytywał on się i w Homerze, tym protoplaście wszystkich epików. A porwany urokiem i pięknnością kilku celniejszych ustępów, powtórzył je po swojemu w brzmieniu swojej mowy ojczystej.

— Wszystkie wymienione aż dotąd prace Juliusza, po roku 1842 powstałe, mają to między sobą wspólne, że nie noszą na sobie wybitnego znamienia czasu. Skądinąd bywa to uważane za piętno wyższych utworów poetyckich, że bezpośrednio lub pośrednio, potakując lub przecząc — dążnością swoją towarzyszą zazwyczaj

chwilowemu usposobieniu społeczeństwa, w łonie którego powstały. Słowacki w latach owych zostawał względem ogółu narodowego w wyjątkowym stosunku. Natchnienia jego płynęły z źródeł sobie tylko właściwych. Doktryna jego nie przystawała wcale do powszechnego pocucia. Płody jego poetyckie tej doby nie mogły tedy mieć związku z potrzebą chwili i nie miały też, jak wnosić można, nawet ani przeznaczenia być tak zaraz oddane do rąk narodu. Z drugiej strony — od czasu wydania *Snu Salomei* (1844) — przestał i kraj już przywiewywać wyższe znaczenie do jego publikacyj. Mało kto wtedy już troszczył się o to, co tam pisze, co wydaje Słowacki. Przestroniła go od narodu owa gęsta chmura mistyki, w jakiej utonął...

Wyjątkowo jest jeden tylko wiersz pochodzący z lat owych, a bijący przeważnie tętmem chwili, co go wydała. Była to smutna chwila w niedawnych naszych dziejach — jedna z poprzedniczek klęsk lutowych roku 1846. Przypadkowa okoliczność wyrwała wtedy poetę naszego z medytacyj, w jakich zagrzął, i zwróciła uwagę jego na stosunki dnia bieżącego. Spojrzał na nie, źle je pojął — i rzucił między otoczenie swoje najbliższe kilka strof, które stały się głosem posłyszczanym doraźnie przez cały naród. Głos ten niestety skompromitował autora. Zaszły niebawem wypadki, które zadały fałsz jego hasłom, jego przestrogom i wróżbom, wygłoszonym z pozorami wieszczego natchnienia...

Ażeby zrozumieć, jak mogło przyjść do napisania owego wiersza przeciwko Krasińskiemu, trzeba się myślał przenieść w ówczesne okoliczności.

W czasie między 1840 a 1846 dochodził obłęd skrajnych stronnictw emigracyjnych do najwyższego szczytu swojego. Zaraz w roku 1831 zaczęto so-

bie wzajemnie wytykać grzechy rzekomo popełnione w ciągu powstania. Społeczeństwo nasze rozpadło na wrogie sobie obozy. Dały się słyszeć zasady, przedtem nigdy tak skrajnie nie wygłaszane. Były one wielkiej doniosłości na przyszłość; były niemniej ważne i co do sądów o całej dawnej narodowej przeszłości. Przyzywano bowiem przed siebie blade postaci przodków i zapytywano je, że tu użyję słów poety:

»Zaco życie — w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojezyczny,
Rozebrane kraju ciało?«...¹⁾

Rewizya taka przeszłości wynikała wprawdzie z kolei rzeczy. Była potrzebna, mogła być użyteczna. Dobrych także owoców można się było spodziewać z tego podniesienia nowych idei, w imię których ożywiło się pocucie ducha narodowego. Niejedna jednostronność, tak w postępach jak w zamysłach, mogła przez to być usunięta; niejedno uroszczenie, na niczem nieoparte, mogło teraz być uchylone; niejeden niedostatek w sprawach powszechnych mógł zostać zastąpiony nieużytym i świeżym jeszcze materiałem działania nadal. Lecz jeśli te korzyści miały być osiągnięte: to nieodzownym tego warunkiem był jasny i rozumny spokój ducha zapuszczającego się w trud takich robót, a niemniej też miłość słuszności i prawdy, większa nad miłość swego obozu. Na nieszczęście enoty te nie były przymiotem

¹⁾ Przedświt Z. Krasińskiego (Pisma Lwów 1880. II. 255—6).

ludzi ówczesnych. Zabrano się do dzieła z zapalem, lecz był chorobliwy to zapal, który przy ciągłych protestacjach ze strony innych obozów aż nadto rychło wyrodził się w nienawiść, fanatyzm i terrorizm. prawdziwie godny XVII wieku. Rozbiór przeszłości narodowej pod wpływem takiego ducha nie wydał pożądaných owoców. Zaczęto przeszłość krzywdzić — obecność zakłócać — przyszłością grozić. Siła i zacność ducha narodowego ucierpiała na tem wszystkim nierównie więcej, aniżeli na stratach materialnych roku 1831....

Najjaskrawszym i najszałemszym może okazem całej tej zaciekłości wersalsko-poitierskiej były dwa dzieła, pod przybranem nazwiskiem Prawdowskiego właśnie wtedy w obieg puszczane. Jedno miało tytuł: »O prawdach żywotnych narodu polskiego«. Bruksella, 1844; drugie: »Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego«. Paryż 1845. Książki te były napisane w celu praktycznym, prowokacyjnym. Ogłaszały zasady żadnej wspólności nie mające z godłami, których brzękiem się zaślaniały. Nie były to bowiem ani prawdy, ani żywotne, ani nawet demokratyczne! Był to już raczej zamach ojcostwa względem przeszłości własnej — akt zerwania wszelkich węzłów tradycyi. Sprawiedliwość nazwana tu została słabością, powaga hipokryzyą, umiarkowanie zdradą. Połowę narodu wydziedziczano z czei i odrącano od posługi krajowej. A wśród tego wszystkiego krzykliwie zapowiadano, że nadeszła chwila stanowcza, godzina czynu....

Przeciwno takim dążnościom, a w pierwszej linii z powodu obu rzeczonych książek wystąpił w r. 1845 z Psalmami swymi Krasiński, które wydał pod odpowiednim sytuacyi nazwiskiem, pod imieniem Spiridyona Prawdzickiego.

Mówiliśmy w jednym z rozdziałów poprzedzających o powodach niechęci, jaka już wtedy zachodziła między Krasińskim a Słowackim. Mógł się przyczynić do większego jeszcze zrażenia Słowackiego ku Krasińskiemu i Przedświt, ogłoszony w roku 1843.

Znajduje się tam niejedno, co Słowackiego niepomalu zadziwić mogło w ustach autora, nie tak dawno jeszcze temu »Komedyi Nieboskiej«. Stanowisko zajęte przez Krasińskiego w Przedświcie było dość blizkie drugiej skrajnej ostateczności, Chyba tylko mimowolny nacisk, bardzo zresztą naturalnej u niego opozycyi przeciw centralizacyjnym jak je wtedy nazywano robotom, mógł tu wieszcza naszego popełnić aż do wyrzeczenia pomysłów, tak wątpliwej trafności jak np. następujące:

»Ty nie szukaj w ojeach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!

»Łaska Boża!

Nas wegnała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!

»My umarli posród świata
Z świętej do świata miłości!«¹⁾ itp.

To są zdania, które nie mogły się nie wydawać bardzo problematycznymi każdemu, komu tylko miłsza prawda, choćby bolesna, aniżeli pocieszająca się w biedzie próżność narodowa i miłość własna!

Słowacki nie należał formalnie do żadnego obozu politycznego, i nie miał w niczem żadnej wspól-

¹⁾ Krasiński Pisma II. 258.

ności z robotami Centralizacyi. Lecz i w jego przekonaniu było to już niejako pewnikiem wiary, że się w narodzie naszym grzeszyło i błędziło dawniej w niejednym, co na przyszłość koniecznie odmienić, naprawić, powetować należy. Duch przeszłości — a duch przyszłości: były to rzeczy zupełnie różne w oczach poety naszego. A kiedy widział, że tej prawdzie oczywistej, dziejami kraju naszego, dzisiejszym stanem naszym społecznym tak niewątpliwie popartej, już nawet i Krasiński zaczyna przeczyć, to go to koniecznie musiało drażnić w namiętny sposób i zatrwać uczuciem, jakiego się doznaje przy każdym bolesnem a niespodzianem rozczarowaniu. Zniechęcony, zgorzkniały — zwątpił on od owej chwili do reszty w niepokalaną czystość natchnień dawnego przyjaciela.

Otóż w takimto będąc przez cały ciąg czasu owego względem niego usposobieniu, ujrzał w roku 1845 wydane trzy pierwsze Krasińskiego *»Psalmy Przyszłości«*. Nie bacząc na to, że autor Psalmów pod niejednym względem odstąpił tu od skrajności stanowiska, chwilowo tylko zajętego w Przedświecie; nie zwróciwszy na to uwagi, że sama np. strofa następująca:

»Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten Jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiekże jaki, z czystem czołem
Krzyknąć może: »jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran?«¹⁾

¹⁾ Krasiński Pisma II. 298.

nie rozważywszy mówię, że to samo jedno przyznanie już wystarczało, ażeby każdego przekonać, iż wieszcz ten podniósł się tu natchnieniem na wysokość, której nie dosięgają żadne samolubne uprzedzenia stronnice: nie zrozumiał, nie dostrzegł, nie umiał ocenić Słowacki w Psalmach Przyszłości tego wszystkiego, co w nich rzeczywiście było wieszczego. Uczepił się natomiast wyrazów, które — jako ów wiersz z przyciskiem wyrzeczony w Psalmie Miłości: »Hajdamackie rzućcie noże!« — miały w jego oczach znaczenie protestacyi przeciw katastrofie, do której się właśnie gotowano natenczas. Wziął to za objaw wstrętu przeciw wszelkiemu ruchowi, któryby prowadził do przetworzenia danych stosunków. Naprężenia w społeczeństwie, już gotowego w niektórych częściach kraju, Słowacki nie znał. Zamętu fatalnego w umysłach nie przypuszczał. Sprężyn w działaniach gotujących się do czynu nie oceniał. Z wysokości zawrotnej tych mistycznych kontemplacyj, w których się od dawnego czasu kołysał, spojrział na rozterk stronnictw — i nie umiał w nim niczego takiego dostrzec, coby usprawiedliwiała taką zgrozę u drugiego poety. Dla Słowackiego wszelki ruch w społeczeństwie był pożądany. Wierzył w wszechmoc i wszechobecność potężnych duchów, spełniających misye swoje za pośrednictwem żyjących osób. Wierzył, że co tylko się stanie i z jakiegokolwiek punktu wyjścia wyniknie, prędzej czy później zbliży korab wieków do wytkniętego mu portu — mniejsza o to, pod czym sterem, w imię jakich godeł i nawoływań ta żegluga przez wzburzone fale społeczne będzie odbyta. Słowacki lękał się tylko jednej rzeczy — martwoty, zastoju, nieruchomości...

Pod wpływem takiego to więc usposobienia, natychmiast po ukazaniu się Psalmów, napisał z gorczyczą i z szyderstwem ów wiersz namiętny, wymie-

rzony przeciwko Krasińskiemu, w którym obok najszczytniejszych zalet artyzmu, obok niejednego miejsca napisanego w wielkiem ducha podniesieniu, napotykamy tyle rzeczy jaskrawych i niesprawiedliwych, a w każdym razie.... wypowiedzianych nie w porę....¹⁾

Same okoliczności czasu owego i forma tego wystąpienia przeciw Psalmom Przyszłości sprawiły, że opinia publiczna przyjęła ten głos Juliusza, jako ujęcie się za zaczepionym obozem. Każdy wedle przekonania i usposobienia swoich to się z tego cieszył, że się autor Beniowskiego do zastępu »ludzi czynu« przyłączył, to razem z Przeglądem Poznańskim płód ów z ubolewaniem najżywszem »Herostratowską pieśnią« nazywał. Tymczasem wiersz obiegał z rąk do rąk w coraz liczniejszych odpisach, do druku bowiem nie był oddany. (Wyjście jego nastąpiło dopiero w r. 1848, a i wtedy nawet bez wiedzy autora).

Niezadługo doszła o nim wiadomość do matki autora. Pani Bécu, rozżalona, skwapliwie napisała do syna, karcąc go za to, że przyjaciela zaczepia.

Oto, co jej odrzekł na to Słowacki:

»Jeżeli mnie zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to Ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciągle i krwawo, abym na to oboje zasłużył. Lecz jeżeli będziesz pytać o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha: na to Ci odpowiem, że serca są w ręku Boga, a ja

¹⁾ Spór Słowackiego z Krasińskim znalazł licznych komentatorów; najważniejsza enuncyacja — niezupełnie jednak bezstronna i prawdziwa — wyszła z pod pióra Stanisława Małachowskiego (Objaśnienie w sprawie sporu.... Przegląd Polski 1867 III. 300—303). Trafniej przedstawia tę sprawę St. Tarnowski w IX i X rozdziale swego dzieła o Krasińskim. — Ob. nadto St. Tarnowskiego recenzję książki niniejszej. (Przegląd polski 1867. II. 411—421).

mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjaciół. Nikogo nie obrażam, ale praca moja tysiące ludzi obrazić może. Dla takich to rzeczy mocniej niż kiedykolwiek boleję na rozdzielenie nasze. Czas płynął — jam może szedł naprzód prędzej, niż ludzie idą, niż nawet Ty sądzisz, że iść mogą, bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam jak przez mgły pokazał.¹⁾ itd.

To było pisane d. 1 lutego 1846 r. Z taką więc pewnością siebie, z taką ufnością w właściwość stanowiska, jakie chcąc nie chcąc był zajął, mówił o tem Słowacki na kilka dni tylko jeszcze przed rzeką galicyjską.

Tych dni kilka upłynęło, i katastrofa nadeszła. Wypadki, jakie z sobą przyniosła, nie były wprawdzie bezpośrednim wynikiem działań stronnictwa, potępionego przez autora trzech Psalmów. Z jakiegokolwiek jednak strony dany był do tego popęd, jakiegokolwiek okoliczności, przez nikogo nieprzewidziane, przyczyniły się do tego, że ten pożar społeczny, w zarodkach dawno tlejący, buchnął teraz właśnie żywym płomieniem i tak daleko rozlał niezbrodzone fale krwi i zagłady: — wrażenie pierwsze było zawsze tego rodzaju, że dążność wiersza, o którym tu mówimy, zwróciła się, szczególnie w pierwszej chwili, najfatalniej przeciwko jego autorowi. Lud, tak wysoko postawiony w owej wieszczej improwizacji, zajął rolę zbrodniarza i bratobójcy. Szlachta zajaśniała blaskiem jeśli nie nowej zasługi, to w każdym razie nowego, a nieczem niezasłużonego cierpienia. Jej losy ukazały się na nowo jako złane nierozłą-

¹⁾ I. II. 254.

cznie z losami samej ojczyzny. Śmiało, z proroczem uroszczeniem wyrzeczone twierdzenia poety, jakoby z owej strony nie nie groziło porządkowi towarzyskiemu, okazały się marzeniem złudnem i fałszem! Wszystkie roboty, wszystkie kierunki, przeciwne stanowisku Psalmów Przyszłości, podległy teraz potępieniu nieodzownemu. Krasińskiemu nawet przeciwnicy jego nie mogli teraz już odmówić smutnej w tym razie, lecz zawsze chlubnej i świetnej nazwy — prawdziwego wieszcza przyszłości.

Wtedyto, wśród upokorzenia, jakiego doznał, pożałował Słowacki wszystkiego, w czem przeciw Krasińskiemu zawinił! Zarzuty, które mu dawniej czynił, rozczyły się teraz w nicość. Stał przed jego oczyma Zygmunt — w tej postaci, z tym pościągami magnetycznej sympatii, jak kiedyś dawniej, jak w Rzymie, »w willi róż«.... Nie tyle jeszcze przykro mu było, że napisał ów wiersz przeciwko Psalmom jego zwrócony. Wiersz ten nie był drukowany, może nie miał nigdy być ogłoszony; mógł w porę jeszcze zostać stłumionym i nigdy (tak sobie wtedy tuszył Słowacki) do wiedzy Krasińskiego nie dojść. Tem bardziej zato darować sobie nie mógł ustępów niektórych w Księdzu Marku. Bądź jak bądź, mówiło mu sumienie, że co się źle zrobiło, to naprawić należy,

Wtedyto więc niewątpliwie napisał do Krasińskiego ów list bez daty, który w pierwszym rzucie znaleziono w pozostałych jego papierach i z którego tu przytoczę kilka ustępów. Jak zobaczymy, usprawiedliwiał się w nim Słowacki tylko za Księdza Marka. O drugim wierszu owym nie mówi wcale, choć przypadek dziwny zrządził, że koncept listu tego był pisany właśnie na kartach, mieszczących w sobie pierwszy rzut »Wiersza do autora

Trzech Psalmów«, już to na marginesach, już poprzek pierwszego pisma¹⁾.

»Dzisiaj był u mnie Gaszyński (taki początek listu); mówił mi, że w liście Twoim dopytujesz się o mnie, a gdym rzekł, iż sam w ostatnim liście zerwałeś ze mną korespondencją²⁾, żegnając mię obiecał uwiadomić Cię o mojej przyjaźni, i wyszedł mówiąc, iż za dziesięć dni list od Ciebie mieć będę.

Postanowiłem ten list Twój uprzedzić, do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej. Kochałem Cię jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był, kochałem Ciebie.

Szczerze teraz. — Wiem, dlaczego nie piszesz, a sam nie wiem, czy możesz pisać. Jeżeli Twój duch stoi na wysokości właściwej jemu, powinienes kochać mnie i szanować; jeśliś dotąd cielesny jest z centaury, z orła i z lwa, jako ów człowiek Platńskiej republiki, powinienes jak centaur strzelać, jak orzeł wszponić, jak lew rozierać; a ja powinienem Ci się oprzeć jako Ecce Homo dzisiejszy, to jest ducha wyraziwszy ciałem, nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni. Przed Tobą wszakże, jedynym moim w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha podnosił nieraz i stroił, muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły niebieskie dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętnej więc rzeczy dotknę — tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzości, chcąc koniecznie wytłómaczyć się — nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała — ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei: wpadłem bez-

¹⁾ Ta jedynie okoliczność ułatwia też właśnie domysł, kiedy list, o którym tu mówimy, mógł być pisany (P. A.).

²⁾ To się odnosi do zająć pomiędzy nimi w 1843 roku. (P. A.).

myślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłumaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrąłem księdza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, że w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja aż po napisaniu dramatu obaczyłem wadłość dzieła i boleśniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły. — Po napisaniu więc aż, spostrzegłem się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednej strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny — jest formą, z której będą się rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy duchem świętym nalewali. Jako poemat, zrujnuje sławę Twoję u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, — właśnie dla głupstwa a jakiejś niewinnej form przezroczystości leje ogień w jej ducha i zwycięża ją jedną może tajemniczą magnetyczną zgłoską — a kochankowi daje królestwo. Wydać więc na wiatry list Twój — zgub się jako autor — jeżeli co więcej masz poświęcić, poświęć....

Odpowiedziałem: więcej poświęcić! sto razy więcej!...

A one: — »Co?«

Odpowiedziałem: Jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnej naturze; jest człowiek, który — jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnej myślałem, to sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskimi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. — Teraz to wszystko muszę.... Co duchy?

Była godzina, iż zamilkły. A ja sam z własną wolą zostawiony — wybrałem.... Wiesz, co wybrałem. Du-

chów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną, ja za nią odpowiadam.

I tak będzie zawsze. — Ile razy mi przyszło między pełną chatą a samotnością i potrzebą wyższą wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem, co muszę.

Teraz nawet czynię, co muszę. Bolesne rwanie się tego listu świadczy Ci, — ale Ty jesteś wielki duch Boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać — byłoby grzechem przeciwko duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar, ja Ci dopomagam....

Na Boga i wszystkich świętych pańskich! kochać Cię możesz, a szanować nawet powinienś; bo wiesz, iż jako człowiek odpowiadam za pisma moje całą osobą moją ludziom ciała. Ale przed Tobą więcej, niż to — bo jako duch stoję i padam.... To wszakże nie dlatego, żebym jako człowiek-duch czuł się winnym, ale przez myśl, iż Ty może — nie rozumiejąc i nie wiedząc, a myśląc o mnie — cierpisz najgorszą z mąk — tłumacząc się Tobie krzykiem: ach! czemużem go kochał?...

.... Bez miłości prawdziwej nie nie pisz, bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział: nie tylko Ci to z ducha wynazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwiązujący. Sumieniem wszystko trzeba rozwiązać«...¹⁾ itd.

W takito sposób stosunki życzliwsze znowu się rozpoczęły pomiędzy nimi. Krasiński odpowiedział

¹⁾ List ten był potem drukowany w »Warcie (Poznań, 1879 str. 2932 i 1881 nr. 351 str. 3514) ze znacznymi zmianami w tekście; również jest wydrukowany w wydaniu listów Słowackiego (Lwów 1883. II. 248—51.).

uprzejmie i rękę sobie podaną ścisnął. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim samym wyraził.

.... »Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłowy, najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W tej bójce między życiem a śmiercią świata, nie dziw, że dziwy się rodzą«¹⁾....

Sam zaś Słowacki tyle matce o tem pojednaniu donosił:

.... »Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego. Mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić.... teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i częstą mego szczęścia szczęśliwi.... (Z listu z sierpnia 1846 roku«²⁾....

To wyrównanie osobistych niesnasek nie mogło oczywiście oszczędzić Słowackiemu goryczy, jakiej doznać musiał, kiedy we dwa lata później (w r. 1848) ujrzał ogłoszone dwa nowe Psalmi Przyszłości, a w pierwszym z nich, w »Psalmie Żalu«, znalazł zwróconą przeciwko sobie, surową choć poważną i ze wszech miar sprawiedliwą odpawę.

Więcej jeszcze przykrości sprawić mu musiała niedyskretność lipskiej Księgarni Zagranicznej. Bez woli i nawet bez wiedzy autora, pozwoliła ona sobie

w tymże czasie wydrukować wiersz ów jego przeciwko Krasińskiemu, i to jeszcze na domiar złego z niezliczoną ilością błędów, przekręconych wyrazów, koszlawych rymów i tym podobnych odmian pierwotnego tekstu, bałamutnych przełożeń całych ustępów poematu na takie miejsca, do których nie należały, przeistoczeń nawet myśli poety w najfatalniejszy sposób — słowem z bezlikiem bezsensów wszelkiego rodzaju, odbierających wierszowi temu całą wewnętrzną wartość. Małej tej broszurce, bezimiennie w świat puszczonej, dano napis:

Do Autora Trzech Psalmów przez ***

Lipsk, nakładem Księgarni Zagranicznej,
1848, 12^o. str. 20.

W tejże szkaradnej postaci odbito rzecz tę po wtórnie w r. 1861 na końcu czterotomowego zbioru dawniejszych dzieł Słowackiego, któryto zbiór Brockhaus w Lipsku, bez nieczyjzego upoważnienia, a zatem w nieprawy sposób, sobie tylko samemu zyski z tego zagarniając, a niybo chęcią przysłużenia się literaturze polskiej powodowany i stąd prawa do wdzięczności nawet narodu naszego sobie roszczący, z niepospolitem co do poprawności tekstu niedbalstwem ogłosić nie wahał i nie wstydził się.... Dopiero lwowskie wydanie Pism pośmiertnych, za upoważnieniem krewnych i spadkobierców poety dokonane, przyniosło wiersz ten w autentycznym i prawdziwym układzie¹⁾.

¹⁾ List Z. Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego, pisany z Nizy w Popielec 1846. (Listy Krasińskiego do Mał. Kraków, 1885 str. 54).

²⁾ L. II 258.

¹⁾ Fragment z autografu wiersza: Do autora trzech psalmów, ogłoszono w „Warcie“ (Poznań, 1882, nr. 405 i 409).

Z powodu mylnych szczegółów o przyjściu do skutku owego wydania „Wiersza do autora trzech Psalmów“ z roku 1848, udzielonych

Oprócz powyższych utworów poetyckich napisał też Słowacki i wydał w owym czasie dwie bro-

przez Cyprjana Norwida w szumnie ułożonem choć drobnem piśmku jego „O Juliuszu Słowackim“, widzę się tu w konieczności dopisać, co następuje:

Norwid podaje wiadomość, jakobyśmy to publiczne ogłoszenie wiersza, o którym mówimy, zawdzięczać mieli Edmundowi Chojeckiemu. Chojecki miał być razu pewnego z wizytą u Słowackiego i trafił właśnie na taką chwilę, w której poeta rzucał w płomień plód ten swojej gorączkowej fantazyi. Wyrwał tedy z ognia coprędzej Chojecki rękopis na zagładę skazany i wzięwszy go dosiebie, kazał go niedługo potem przy zdarzonej sposobności w Lipsku oddać do druku.

Daruję mi szanowny autor, że się ośmielę powiedzieć mu otwarcie, iż snąc zażartował sobie ktoś z niego, udzielając mu do dzieła jego tę prawdziwie mitycznej wiarogodności bajeczkę. Gdyby publikacya lipska była przyszła do skutku w taki sposób, jak tu podano: to oczywiście byłaby ona tak odbita w druku, jaki był rękopis, a rękopis nie byłby mógł być pofalszowany, skoro miał pochodzić z rąk bezpośrednich samego poety! Tymczasem niech tylko kto porówna wiersz rzeczony w tym autentycznym kształcie, jak go ukazuje wydanie lwowskie z r. 1866, z bałamutną jego redakcją w edycyi lipskiej: a przekona się, że wyrazów i nawet zdań całych, jak najbezmyślniej poprzekręcanych, jest w redakcyi tej przynajmniej tyle, ile w utworze całym jest wierszy; nie mówiąc już nie o całkowitych ustępach albo zupełnie wypuszczonych, albo też danych w kolei niewłaściwej, to jest takiej, że co miało nastąpić później, idzie naprzód, a co miało być dane pierwszej, następuje gdzieś o kilka dopiero stronic zapóźno. Takiego nieładu nie mogło oczywiście być w manuskrypcie owym wrzuconym w ogień. Jeśli to był odpis na czyste, to nieładu w nim być nie mogło tem bardziej. Jeżeliby to zaś miał być brulion: to go właśnie mam przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego oddrukowano wiersz ten w mojem wydaniu, jest to właśnie dopiero pierwszy rzut jego, z licznemi wprawdzie mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych pomyłek, które wytykam — i bez żadnych też śladów... płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez Chojckiego.

Ja mam z ust wiarygodnych zupełnie inną wiadomość o dziejach wydania tego z roku 1848. Manuskrypt, z którego je zrobiono, przywiozła do Księstwa Poznańskiego z Paryża pani Łubieńska, autorka powieści Niedowiarek — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza, któremu, jak widać, musiał rzecz tę przynieść ktoś trzeci,

szury prozą, treści poniekąd politycznej. Jedną z nich t. j. list „Do Księcia A. C.“ (Czartoryskiego) zamieściłem w wydaniu Pism pośmiertnych w tomie I-szym. — Rzecz ta wyszła bezimiennie — w Paryżu — bez oznaczenia roku, w którym została wydana. Że jednak wynikała z pióra naszego poety, jest rzeczą pewną w obec notat i rachunkowych jego zapisków, w których o tej publikacyi jako swojej wspomina. Drukowana ona była na samym początku roku 1846, co także z rzeczonych notat wynika. Powód, dla którego została napisana, nie jest mi wiadomy.

Druga bezimienna broszura wydana w r. 1846 p. t. „Do emigracyi o potrzebie idei“, przedrukowana jest w tomie IV pism Słowackiego (Lwów, 1880).

Natomiast zrobić tu muszę uwagę, że są też niektóre rzeczy, przypisywane naszemu poecie, które nie pochodziły od niego. I tak, wyszedł w Lesznie, w roku 1852, pod jego imienia i nazwiska literami początkowemi, utwór prozą:

»Sen, pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta z pozostałych rękopismów po ś. p. J. S.« — Że to jest dzieło Z. Krasińskiego, to dziś już każdemu pewnie wiadomem.

i to oczywiście ktoś taki, który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichej i słabej — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora. Od pani Łubieńskiej dostał odpisu tego wiersza młody naówczas literat Ryszard Berwiński, któremu utwór ten do tego stopnia się podobał, że w nim bezsensów nie dostrzegał i nie miał miru, dopóki by się nim nie podzielił z całą publicznością. Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich (Libelta), na osławiony Sejm niemiecki do Frankfurtu właśnie wtedy jechać zmuszonych, potrafił Berwiński przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się później o tem, kto bezpośrednio spowodował ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to Niemile i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło być już odrobione. (P. A.)

Oprócz tego pojawiły się bezimiennie, jeszcze w roku 1845, w Paryżu, dwa arcy niemądre i nie-trzeźwe wyroby rymotwórcze, jak się zdaje, oba jednego wierszoklety, które w niepojęty dla mnie sposób Przegląd Poznański (r. 1845, IV, str. 390 i n.) czasu owego przysądził Słowackiemu w wyrazach tak stanowczych, jakby już żadnej co do tego nie było wątpliwości. Tytuł tych niezdarnych robót jest taki:

»Dwa Akty«, Paryż 1845 ¹⁾.

»Szymon Konarski, poema dramatyczne.

Obraz I: Śmierć Ks. Trynkowskiego.

Paryż, 1845.

Mogę z całą pewnością wyrzec twierdzenie, że z temi ramotami Słowacki nie miał nic do czynienia. Nie pisał ich i nie mógł ich pisać; co też każdy zrozumie, kto tylko je z zastanowieniem przeczyta.

¹⁾ Nie wiem, czy nie do tejto publikacji robi Słowacki aluzję w XVIII wierszyku, danym na stronie 92 tomu I-go mego wydania dzieł pośmiertnych. (P. A.)

O jakiś „Dwóch aktach“ wspomina Z. Krasiński w listach do Stan. Małachowskiego. W pierwszym, pisany z Nicei 28 stycznia 1846, pyta się jego, czy czytał: Dwa akty; w drugim zaś (Popielec 1846) pisze: „Czytałem Dwa akty. Żeby nie wczorajsze Twoje objaśnienie, że tam o improwizacji mowa, niebym nie był rozumiał, tylko, że przeciw Towiańszczyźnie napisane, gładkim wierszem, ale w końcu nie“.

Wydawca listów objaśnia, że autorem tych „Dwóch aktów“ jest Łucyan Siemieński(?.)

XIX.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczesny Feliński. — Wiosna roku 1848. — „Konfederacya“ — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Usposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicji na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament“.

Przechodzę w tym ostatnim dzieła mego rozdziale do potocznego życiorysu poety i chciałbym w nim zamknąć wizerunek tych wszystkich zdarzeń z ostatnich chwil jego życia, które w nim ukazują nie już pisarza, ale człowieka. Zdarzeń takich wprawdzie nie potrafię wiele wymienić. Słowacki w latach owych nie miał prawie wcale tej potocznej strony żywota. Żył głównie myślą, mniej ciałem — i więcej z Bogiem, niż z ludźmi....

»Cóż Ci donieść? (pisał do matki jeszcze w r. 1845, d. 15 października). Moje oczy zupełnie od świata odrwane, a daleko gdzieś zwrócone — moje uszy ciągle wielkich powiewów bożych i głosów dosłuchujące się, nie wdziały i nie słyszały nie domowego. Z tej strony prawie człowiek nie jestem«....

.... »Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja niegdyś dziecko niepohamowane — teraz żyję, jak gdyby we mnie nie ludzkiego nie było — ani krwi — ani żądz — ani chęci — ani zawrzenia — ani wybuchu. Uśmieczać mi się nawet z ludzi nie wolno; trzeba wszystko zrozumieć — przyjąć — ukochać — ożywić — przemienić.... i Bogu na ziemi pokazać pracę Anielską« (Z listu z dnia 14 grudnia 1846 r.).

.... »Droga Matko moja! Zmieniła się moja natura. — Jako ciało, ani z rozkoszy żadnej ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć. Spróbowałem tego ostatniego niedawno rwaniem okropnem zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeć mi się nie chciało — tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wewnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne. Z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że jak na przykład kilka dni temu, bifstek był z piaskiem, a ryba nieświeża — więc obiadem mi była filiżanka rosółu i kawałek chleba i piwo; obiad zaś taki pięć złotych mię kosztuje, bo go jem u siebie; bo wolę nie nie jeść, albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać wódcą go po publicznych traktacjach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mieszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyswięcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czem gorszem« (Z listu z d. 22 stycznia 1848 r.¹).

Pod wpływem takiego usposobienia płynęło Słowackiemu życie w czasie tym zmienionej (jak się wyrażał) jego natury, jednostajnie i prawie bym powiedział ascetycznie. Zapełniał je tylko pracą. Rozmyślał, rozpamiętywał, czytał bardzo wiele i w najrozmaitszych przedmiotach. Rzeczywistego pożytku ten

pracowity tryb życia jednak nie sprawiał. Cała praca bowiem odbywała się w zakłętym kole doktryny, która wszystko, czego się tylko tknął Słowacki, przemieniała w mistykę¹).

Tę jednostajność pożycia urozmaicały tylko coroczne wyjazdy do wód morskich, które weszły w stały zwyczaj u Słowackiego począwszy od roku 1843. Za nadejściem miesiąca sierpnia opuszczał za zwyczaj hałaśliwe mury stolicy i wyruszał do Porynii, małej mieściny położonej nad samym Atlantykiem. Ocean był szczególnie sympatyczny dla niego.

»Między tem morzem a mną — powiada — jest tajemniczy jakiś związek, sympatya — i ta musi być prawdziwa; albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacji czytając Walterskotowego »Pirata«, to jest szare, skaliste, okryte chwastami, — natura obca ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem — a wśród tej natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały.... Czasem motylek, za którym biegałem nad Wilenką — zupełnie taki sam, a gdy go obejrzałem, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana.... Czasem pliszczka nad morzem, zupełnie do tej podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem — słowem nigdzie od wspomnień uciec nie można, nigdzie od łez i od tęsknoty... A ta

¹) Nader ciekawe rysy do charakterystyki usposobienia poety w tym czasie mieści dziennik jego, obejmujący czas od 11 września 1847 do 12 stycznia 1849; ogłosił go dr. Biegeleisen p. t. „Dziennik Słowackiego z ostatnich lat jego życia“ (Ateneum, Warsz. 1883, III, 62—82), przedrukowany w całości przy wydaniu „Genezis z ducha“, Warszawa, str. 223—275. Do tych lat odnieść należy epigramaty Słowackiego, drukowane w „Kłosach“ w r. 1883 nr. 914 i n.

¹) L. II 245; 261—2; 277—8....

cała natura — gdybyś Ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochanee podobna! otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia.... Jak ona mi wyrzucała, że się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niej zapomniał; jak w płotach ćwierkaniem makolągiew, wonią malin orzeźwiała mnie, zabraniała myśleć o trudzie, o ciągleniu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy. Jaka ona dobra i litosna dla strudzonych ludzi.... (Z listu z d. 2 października 1843 r. ¹⁾).

Drugą rzeczą, która umilała pocie życie, były to stósunki jego już to utrzymywane listownie, już osobiste z przyjaciółmi. Jak zawsze, tak i pod koniec życia nie wielu on ich liczył. Jedną z osób, zajmujących niepoślednie miejsce w tem szczupłym gronie osób kochanych przez Słowackiego, był Wojciech Korneli Stattler, znany zaszczytnie malarz i profesor niegdyś krakowski. Poznali i zaprzyjaźnili się oni ze sobą jeszcze we Włoszech. Potem znajomość ta zrobiła się jeszcze ściślejszą, kiedy Stattler w r. 1843 odwiedził Paryż ²⁾. Od owego czasu korespondowali ze sobą. Śladem tej serdecznej życzliwości pomiędzy nimi jest kilka listów Juliusza, pisanych między 1844 a 1848 do Stattlera, których odpis — dzięki uprzejmości tego znakomitego artysty posiadam ³⁾. Jest ich wszystkich sześć. Szczególniej zajmującym i charakterystycznym jest list z porządku trzeci. Pi-

¹⁾ L. II 185—6.

²⁾ O swojej przyjaźni ze Słowackim podał kilka szczegółów Stattler w artykule: »Przypomnienia starych znajomości«. (Kłosy, 1873 Nr. 435). Słowacki ze Stattlerem poznał się za pośrednictwem Goszczyńskiego dopiero w r. 1843; w krótkim czasie zawiązały się przyjacielskie stosunki i poeta pozował mu do portretu.

³⁾ Listy te ogłoszone zostały w korespondencji Słowackiego (Lwów, 1883, T. II wyd. III). Ob. nadto w »Warcie« 1882 nr. 418 list Słowackiego do Stattlera pisany około r. 1842.

sał go Słowacki właściwie nie do samego artysty, lecz nibyto do syna jego, który mu się wtedy właśnie narodził i któremu w dowód i na pamiątkę tej przyjaźni ojca z poetą naszym, dano na chrzcie także imię Juliusz.

Ścisłe także i bardzo przyjacielskie były stósunki Słowackiego z Kornelimi Ujejskim, a to począwszy od roku 1847, w którym ten znakomity, choć wtedy dopiero poczynający poeta spędził miesiąc kilka w stolicy Francji. W owymto czasie napisany był do niego ów wiersz prześliczny Juliusza, któryśmy wcielili do zbioru lirycznych jego poezji. Korespondowali ze sobą i w późniejszych latach ¹⁾.

Równie dobrze położonym w sercu Słowackiego był także Ludwik Norwid, młodzieniec obdarzony talentem literackim; do Paryża przybył w roku 1846 z zamiarem studyowania medycyny. Zbliżała ich do siebie równość dążeń, wyobrażeń i jak sądzę, należenie do jednej i tej samej frakcji w Kole niegdyś zawiązanem przez Towiańskiego. O tej ściśłości stósunków z Norwidem świadczą dwa wiersze liryczne do niego napisane, które są zamieszczone w tomie I-szym Pism pośmiertnych wydania lwowskiego ²⁾.

Nikt jednakże podobno nie byłby się mógł w latach owych poszczycić takim serdecznym przywią-

¹⁾ Korespondencya ta dotychczas nie jest jeszcze wydana. Wiersz Ujejskiego: »Do autora Kordyana« jest ogłoszony w wydaniach pism jego. Ciekawym jest też sąd Ujejskiego o Słowackim, wypowiedziany w liście do dr. H. Biegeleisena. (Tydzień, Dod. do »Kuryera lwowskiego« 1894, nr. 1).

²⁾ Życie Ludwika Toporczyka Norwida, skreślił Al. Półkoźic (Niewiarowski) w »Echu«. (Warszawa, 1882 nr. z dnia 17 stycznia). Tu nadmienić jeszcze należy, że za pośrednictwem Ludwika Norwida wszedł brat jego Cypryan w stósunki przyjacielskie ze Słowackim (Ob. Kłosy 1882 nr. 870 str. 144).

zaniem i zaufaniem ze strony Słowackiego, jak Szczęsny Feliński, późniejszy Arcybiskup warszawski — w owym czasie świeckiego jeszcze stanu. Liczył on wtedy lat dopiero około 24. Przybył do Paryża z końcem roku 1847, w zamiarze ukończenia tu nauk. Uczęszczał do Sorbony i do Collège de France, bywając przedewszystkiem na kursach historii i filozofii. Poznał się ze Słowackim na początku r. 1848. Wysoki wtedy nastrój ducha Juliusza — życie surowe, wyłącznie poświęcone jednej, w celu ostatecznym tak szlachetnej dążności — i marząca egzaltacja takie sprawiły wrażenie na tym młodym unyśle, że przylgnął do niego całym sercem i duszą. Od owego czasu aż do ostatniej godziny życia był już Szczęsny najmiłszym powiernikiem i nieodstępnym poety towarzyszem. Niejedno dzieło jego z pomiędzy wydanych w zeszłym dopiero r. (1866) znalazłem przepisane ręką Szczęsnego, pod bezpośrednim nadzorem autora. Niejeden pomysł wykonać się mającego utworu przemarzyli oni tam pewnie obydwaj wspólnie. W listach Słowackiego do matki często bardzo dają się spotykać wzmianki o tym młodym człowieku, będące wymownem tego świadectwem, ile on go musiał kochać i cenić.

»Felusia Ci polecam także, który jest ze mną;« (pisał do niej naprzykład dnia 28 marca 1848 r.). Jest on czystym brylantem i skarbem moim; prawdziwie mi takiego potrzeba było«....

....»Ukochany to jest chłopiec — już z chłopca człowiek! Wszyscy go tu ukochali szanując, postęпки jego były anielskie, wiedza rozkwitająca, stanie się kiedyś chwałą naszą«.... (Z listu z d. 25 sierpnia 1848 r.¹⁾).

Zresztą należało i w owym czasie okresie do najgorętszych życzeń Słowackiego — równie jak w pierwszych latach jego pobytu na emigracji, ażeby się zobaczyć kiedyś z matką kochaną, choćby raz jeszcze w życiu. Zaraz po powrocie z podróży jego wschodniej — było to ich obojga ciąglem marzeniem. Były w tym widoku robione w różnych latach różne projekta. To się zjechać mieli gdzie we Włoszech, w Dreźnie, to w innych miejscach. Zawsze jednak aż do tej chwili zamiarom tym stawały w drodze jakieś nieprzystawione przeszkody. W ostatnich miesiącach roku 1847 zapadło wreszcie przedsięwzięcie stanowcze, że się zjechać mieli oboje w Karlsbadzie.

....»Od wczoraj (pisał d. 2 grudnia 1847 r.) przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Karlsbadu. Na wiosnę więc spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjodziemy się tam gdzie Ty zechcesz, i czas jakiś z sobą pomieszkamy.... O! gdyby nie ten kraj (w którym się znajdujesz) a którykolwiek inny, jużbyś mnie dawno widziała wysiadającego z dyliżansu, bo ja tensam, który niegdyś — słysząc żeś Ty chora, we dwa dni przyleciałem do Ciebie i w nocy zastukałem do furtki — i u babuni na sienniku ranka doczekałem. Pamiętaj?... Zimę tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiej niż inne zimy przebędę¹⁾).

Upłynęło od czasu owego listu półtrzecia miesiąca. Zbliżała się wiosna, pamiętna wiosna 1848! Ani syn, ani matka nie przewidywali wypadków, jakie ta wiosna złudna i rychła — pod każdym względem przedwczesna — przynieść miała ze sobą. Projekt powzięty stał niewzruszenie.

¹⁾ L. II 238; 319.

¹⁾ L. II 270—1.

... »Wiosna się zbliża. — Spodziewam się, że w kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Wielkiego mizeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś Ty na świat wysłała, a który był dumny i niezupełnie godny Twojej miłości. Zobaczysz droga moja, że ze mną teraz spokojniej czas płynie, a domek, który ja zamieszkam, cichszy jest niż inny.... Ufam, że mi to lato z Tobą w części spędzone się doda; bo mówię Ci, że smutny, a ta zima bardzo mi złą była. Nie mam nic, w czymby mi teraz ludzie pomogli« ...¹⁾

To było pisane d. 13 lutego r. 1848.

W jedenaście dni po tym liście, zaszły wydarzenia paryskie. Ludwik Filip zniknął z stolicy. Lud paryski na placu Bastylli spalił tron króla episyerów. Dały się słyszeć okrzyki: wolność, równość, braterstwo! Rzeczpospolita zajęła miejsce dawniejszego porządku rzeczy. Na barykadach stanęły masy, z bronią w ręku wyzywając do walki to co jeszcze wczoraj było potęgą. Za przykładem Paryża poszły niebawem i inne stolice: Neapol, Rzym, Wiedeń, Berlin. Zdawało się, że się postać świata przekształca....²⁾

Już w dniu 20 Marca rozpoczęły się ruchy w Poznańskiem. We wszystkich sercach, pragnących odmian, zaświtała nie już nadzieja, ale pewność pożądaney przyszłości.

U Słowackiego myśl zobaczenia i połączenia się z matką zaczęła się od tej chwili malować w żywszych kolorach. Przyczyniało się do tego nie-mało i przeniesienie się około tegoż czasu całej jego

¹⁾ L. II. 280.

²⁾ W przeddzień lutowej rewolucyi wysłał Słowacki obszerny list, pełen rojeń politycznych do J. Reitzenheima. (Słowacki Dzieła, wyd. Biegelsena V. 494-6).

rodziny z Wołynia do Galicyi, w okolicy Lwowa. Tytułem spadku po dalekiej krewnej, która właśnie w latach owych zeszała ze świata, wzięli pp. Januszewscy i p. Bécu w posiadanie wieś Ubień, położoną pod Jaryczowem. Więc już teraz mógł Juliusz tego być pewnym, że nic nie przeszkodzi jego życzeniu, ażeby się złączyć ze swymi.

»Oto może wkrótce (pisał d. 28 marca) już nie tylko zjadę się z Tobą, droga moja, ale połączę się z Tobą, dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów....«

... »Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę — każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy moim czynnościom nadaje; choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mię jednak ku Tobie przybliża«.

»Cudowna to dla mnie wiosna! Może pączki, które się na drzewach w wiosieczce Fila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego rodzinnego będą nasycone i napełnione. Może Sylli kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mnie w progu chateczki swojej. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie! Wspólnie pracować będziemy, byle nowej matce naszej nie być ciężarem. — Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno« ...¹⁾

Wzmianka w powyższym liście o obowiązkach trudach, od których nie sądził Słowacki, żeby mu się godziło uważać za zwolnionego nawet pomimo tego co zaszło, powoduje mnie do dołączenia tu słów kilku, celem wyjaśnienia, jakiej natury były zajęcia jego w tym czasie. Brał on wtedy czynny udział

¹⁾ L. II. 282-3.

wśród nowego, gwarliwego, namiętnościami i zapalem kipiącego życia Emigracji nagromadzonej w Paryżu. Wystąpienia jego nosiły oczywiście zawsze piętno owej idealnej, lecz niepraktycznej dążności, w jakiej raz na zawsze się zawarł. Choćby projekta jego i zostały były przyjęte, choćby rady jego były i najpomyślniej w czyn zamienione: skutek działań i wtedy byłby się okazał taki sam, jaki nastąpił. Ale poecie się zdawało, że od formy, że od godła, od nazwy — zależą nieobliczonej doniosłości następstwa.

Dnia 19 marca zebrała się pewna ilość pozostałych jeszcze wtedy w Paryżu Polaków i zamierzała zawiązać klub narodowy. Słowacki stanął pomiędzy nimi i przemówił przeciw wszelkim formom zagranicznym, jako nieprowadzącym do celu. Natomiast przedłożył obecnym projekt zawiązania raczej Konfederacji, gdyż taka tylko forma miała odpowiadać duchowi społeczeństwa naszego i posłużyć może za model dalszej organizacji na wielką skalę, w samychże granicach kraju. — »Albowiem — mówił im — w formowaniu kryształu pierwszy atom i związek, z którego kryształ powstać ma, zachowuje już ten kształt i tę formę, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno i wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości.... Pamiętajcie, że formy nasze dawne — są to żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały... Z tego tekstu była powiedziana cała ta mowa, która też następnie i wyszła z druku w osobnej broszurce pod tytułem:

Głos brata Juliusza Słowackiego do zgromadzonych i w Klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiających potrzebę przyjęcia nowej

formy konfederacyjnej. (19 marca 1848 r.) Paryż, 8^o stron 4.

O dalszych losach tego projektu podał niedawno temu, w jednym z pism lwowskich czasowych, przy ubocznej okoliczności, bezimienny pewien świadek naoczny rzeczony sceny, wiadomość w następujących wyrazach:

»Każdy z obecnych drgnął duchem do słów Juliusza i zapalił się myślą do rzeczy, która wzbudzała pamięć wielkich poświęceń i świetnych czynów barskich konfederatów — i pod takim wrażeniem rozeszliśmy się z tego zebrania.

»Zimniejszy atoli pogląd na sprawę naszą i zbądanie ogólnego usposobienia emigracji, która już wtedy rozbita niemal na atomy, szumiała tylko bezładną burzą — przekonanie, że myśl zawiązania konfederacji, potrzebująca organizacyjnych pierwiastków, nie zdoła się już przyjąć wśród anarchicznych żywiołów i usposobień — to wszystko zebrane razem, ochłodziło wkrótce zagrzaną duszę Juliusza słowami, i uznano niepodobienstwo przeprowadzenia konfederackich form....

»Lodowe jednak głosy rozwagi nie zdołały przecieżyć zziębnię ognistej Słowackiego fantazyi. Mimo nich spróbował on urzeczywistnienia swego pomysłu, a zebrawszy się w ściślejszem kółku z czterema bezwzględnyymi zwolennikami konfederackiej idei, którzy gorąco a bez obojętności się na okół do niej przyłączyli — akt konfederacji spisali i wraz z odezwą ogłusili go drukiem...¹⁾

¹⁾ Znanie są: „Akt zawiązania się wygnańców w konfederację przedwstępną“ (Paryż 19 marca 1848) i „Akt konfederacji (Paryż 30 marca 1848); na jednym i na drugim akcie jest podpisany Słowacki.

»Że zaś ten mały związek konfederacyi w Paryżu nie miał dalszej przyszłości: więc dla rozwinięcia jego, postanowił Słowacki szukać punktu oparcia na ziemi wielkopolskiej, gdzie już w formujących się obozach wrzało do walki« itd.

Owoż takito był powód, że nie do matki, jakbyśmy może oczekiwali, pospieszył Juliusz niedługo potem z Paryża, ale w Poznańskie. Przybył do Poznania około 10 kwietnia. Znalazł gościnne przyjęcie, na cały czas pobytu swego w tem mieście, w domu pp. Bukowieckich¹⁾. Były to już dni natenczas, gdzie się nadzieje wielkopolskie zaczynały miedku schyłkowi. Zjechał był właśnie do Księstwa generał pruski Willisen, jako rozjemca królewski między obozami powstańców a wojskiem pruskiem. Komitet narodowy działać, a przynajmniej kierować sprawą już przestał. Przystępowano właśnie do ułożenia tak zwanej Jarosławieckiej konwencji. Krwawe, rozpaczliwe potyczki pod Książem, Miłosławiem i Wrześnią miały niezadługo nastąpić i można je było już wtedy przewidywać. W takich okolicznościach — samo się rozumie, że o konfederackim projekcie trudno już było myśleć marzycielowi naszemu. To też bawił on ciągle w Poznaniu mało gdzie z domu wychodząc, mało komu się udzielając, ile że i siły jego bardzo już były nadwątłone w tym czasie, choć tej myśli o niknącem zdrowiu swoim

¹⁾ O pobycie Słowackiego w tym domu mamy interesujące wspomnienie Juliusza Bukowieckiego pt.: „Z moich wspomnień o Słowackim“ (Dwutygodnik dla kobiet. Poznań 1881 Nr. 9 p. 69). Nadto dr. Erzepki B. w artykule: „Dwie pamiątki po Jul. Słowackim w Poznaniu“ (Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego 1898. T. XXIV. str. 167-170) dał wiadomość o Nowym Testamencie, ofiarowanym Bukowieckim z dedykacją poety i wydrukował list Słowackiego do pani Bukowieckiej (Poznań 2 maja 1848).

nigdy nie lubił przypuszczać. Oczekiwania jego okazały się zawiedzionemi z wielu względów. Nie tracił jednak jeszcze nadziei. Jeszcze d. 24 kwietnia pisał oto do matki w wyrazach dających wnosić, z jaką otuchą spoglądał w przyszłość.

»Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając list z Poznania. Ja sam się dziwię, że tu jestem, że odylecham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina; że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach.... Jestem tu na gościnie, w domu jakby rodzinnym przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo mi tu wypadnie zabawić, a Ty najdroższa wiesz, że dłużej niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę spieszył i kierował się tak, abym jak najprędzej u Ciebie stanął. O! jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi Ty przyrzadzić każesz, gdzie się położę jako z długiej pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec, jednem odetchnieniem wypoczywający sobie i cały ciężar fatygi z piersi zrzucający. Jak bliskota chwila? nie wiem, bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mię może.... Wkrótce spodziewam się czuć rękę Twoją na głowie mojej. Wesela się spodziewam i radości w domu Waszym« itd. ¹⁾

W dniu 29. kwietnia, nazajutrz potem i w dniu 2 maja, zaszły bitwy decydujące w miejscach powyżej wymienionych. W tychże dniach rozwiązał się komitet narodowy poznański. Partyzanckie oddziały po różnych punktach Księstwa staczały — każdy na własną rękę — utarczki z pojedynczemi kome-

¹⁾ I. II. 284—5. O wystąpieniu Słowackiego na posiedzeniu, komitetu rewolucyjnego w Poznaniu mamy opowiadanie Jul. Klaczki spisane przez F. Hośicka w artykule p. t. »U Juliana Klaczki«, (Szkice i opowiadania historyczno-literackie. Warszawa 1900 str. 481—4).

dami wojsk pruskich. Już w pierwszych dniach maja zaszły sceny takie, jak w Stęszewie, w Buku i Keyni. Mierosławski zdał dowództwo nad obozami w inne ręce i.... »ulotnił się« z pola działania. Z Berlina przybył z nieograniczonym pełnomocnictwem, a groźnym względem prowincyi usposobieniem gen. Pfuel. Ogłoszono prawo doraźne. Rozpoczęły się aresztowania na wielką skalę. Pobyt w Poznaniu osób takich, jak Słowacki, stawał się z dniem każdym coraz mniej pewnym....

Wtedy też on — po całomiesięcznej bytności w stolicy Księstwa — opuścił Wielkopolskę i przeniósł się do Wrocławia¹⁾. (Najął tam sobie mieszkanie na Neue Schweidnitzer Strasse No 3, na drugim piętrze, dzwonek na prawo). Było to jakoś dnia 9 maja²⁾. Usposobienie jego w tych czasach malują następujące miejsca w liście do matki:

»Od kilku dni jestem we Wrocławiu, tak blisko Ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać Ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne, a serca dotyczące się zostawiam Bogu, który mnie

¹⁾ Pierwszą noc, nie mogąc znaleźć mieszkania, przepędził Słowacki w gościnie u Weryhy Darowskiego (Gazeta narodowa Lwów 1888); opowiadanie Darowskiego o tem spisała również M. Konopnicka. (Tygodnik ilustrowany. Warsz. 1893 nr. 163).

²⁾ Zaraz po przyjeździe do Wrocławia dowiedział się Słowacki, że Loman, u którego w Paryżu zostawił wszystkie swoje akcye, zmarł nagle. Obawiając się straty napisał list do Petinlauda, który dopiero po upływie paru tygodni doniósł mu, że wszystko zostało załatwione jak najpomyślniej. Brulion tego listu poety i dwa inne listy do Petinlauda — jeden z Wrocławia a drugi z Ostendy z 14 lipca 1848,—ogłosił L. Méyet (Listy nieznane J. Słow. Biblioteka warszawska, 1896. I. 316—19).

prowadzi i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwą z Tobą przebytać wynagrodzić mnie zechce«....

....»Ja tu.... jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozspanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne — serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają«....

»Miesiąc ten życia mojego pełny cudów. Spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkim. Napełniony życiem, rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem (?). Wola się moja z dopuszczenia Bożego pełniła (?)«...

....»Postępowanie ludzi oświeconych w mieście Waszem (we Lwowie) jest straszne i ściągające na Was okropne nieszczęścia. Dałbym wiele za to, żebym Cię teraz widział w dawnym Twojem siedzącą miasteczku.... Fila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał do jutra, a nie nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach jak dzieci, słuchając natchnienia i wichru Bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie«....

....»Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moją metrykę i dowiodła nią, że jako syn Twój mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna, i spodziewam się, że się stanie niepotrzebną«.... (Z listu z d. 14 maja¹⁾).

W cztery dni później i ta ostatnia iskra nadziei, która mu wtedy jeszcze świeciła, zagasła. Już

¹⁾ L. II. 287—90.

teraz nie przypuszczał, żeby mu miało być danem odwiedzić swoich w ich wiejskim domku. Zaczął się lękać, ażeby zamiast zbliżyć się do nich — nie był raczej przymuszony znowu się od nich oddalić. Pisał tedy w takich wyrazach:

»Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę Cię jednak najdroższa Matko! jeżelibyś się na to odważyła, abyś siadła do dyliżansu i choćby na kilka dni tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla Ciebie; a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkiem bezpieczeństwem. Widzieć się z Tobą, byłoby dla mnie wielkiem szczęściem w tych czasach, w których mnie wiele rzeczy boli i udręcza. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo Twoje i mieć w pocałowaniu Twojem świętem ochłodzone czoło moje!... Choćby więc na tydzień, przyjeżdż; a ja Cię będę czekał w dzień oznaczony na drodze żelaznej i postaram się dla Ciebie o mieszkanie«.... (Z listu z d. 17 maja¹⁾).

Wszystkie te listy, poczynawszy od poznańskiego, były wysyłane do Lwowa, gdzie Pani Bécu bawiła przez cały ten czas, i adresowane poste restante²⁾. Nieszczęście chciało, że się na poczcie o listy takie matka Juliusza wcale nie dowiadywała. Nie mając zaś od tak dawna żadnych wiadomości od niego, zaczęła w głowę, co się z nim dzieje. Niepodobno jej było pisać do niego, nie wiedziała bowiem, dokąd pojechał z Paryża.

¹⁾ L. II. 292.

²⁾ Zanotować tu należy, iż L. Mécetowi udało się wyszukać kilka nieznanych listów poety z tych czasów; umieścił je w swem wydaniu korespondencji Słowackiego i w artykule: Z nieznanych pamiątek. (Tygodnik ilustrowany, 1897 nr. 105, 150, 155—6).

Juliusz tymczasem z swojej strony nie pojmował znowu tego tak uporeczywego milczenia matki. Wysłał do niej z Wrocławia, różnemi drogami, pod coraz innym adresem, list za listem, zaklinając o najspieszniejszy przyjazd — wszystko nadaremnie! Ani na obydwa wyżej już wspomniane listy wrocławskie, ani na dwa inne jeszcze, zaraz po nich wyprawione jeden za drugim, odpowiedzi się żadnej nie mógł doczekać. Co się działo w sercu jego, wystawić sobie można, zważywszy zwłaszcza że lada godzinę przewidywał, że mu przysła władze miejscowe rozkaz wyjazdu. Tymczasem dnia 9 czerwca (po całomiesięcznem więc nadaremnem wyczekiwaniu w Wrocławiu) otrzymuje niespodzianie od Statllera z Krakowa doniesienie, że matka jego przebywa ciągle we Lwowie; że jest od przeszło 3 miesięcy beż żadnej o nim wieści; że się dręczy wielce i smuci, nie mogąc się z nikąd niczego o nim dowiedzieć.

Natychmiast tedy, za pośrednictwem Statllera, ponowne powtórzenie prośby swojej jej posłał błagając, żeby ani godziny nie tracąc, przyjechała uściskać go raz jeszcze i pobłogosławić mu na to nowe tułactwo, które go czeka. Tym razem dopiero list ręk jej doszedł i odniósł skutek.

W kilka dni potem dożył więc Juliusz chwili, której pragnął tak gorąco i od tak dawna. Mógł się rzucić do nóg kochającej, stroskanej matki. Mógł się przed nią wypowiadać ze wszystkich zawodów smutnego życia, które spędził opodal od niej¹⁾....

¹⁾ W książeczce Słowackiego, do której dla swej matki wypisał „Dumę ukraińską“ i „Szanfarego“ mieści się następującej treści notatka, skreślona ręką matki.... „We Wrocławiu 1848 pytał się o Ruńka (z Dumy ukraińskiej), czy mam go i powiedział: jakbym go teraz chciał przeczytać“. (Słowacki Dzieła, wyd. Biegelcisa V, 494).

Ale to wzajemne ich szczęście niedługo trwało. Pani Bécu wybrała się wprawdzie w podróż z postanowieniem, żeby albo wrócić do Ubienia razem z synem, albo też — gdyby miały temu stanąć w drodze nieusunięte zawady, spędzić w jego towarzystwie to całe lato w jakimś miejscu kąpielowym w Niemczech lub Austrii. Jednakże twarde czasu tego okoliczności i twardsza jeszcze od nich bezwzględność ludzi zniweczyła owe widoki. Jeszcze w ciągu tegoż miesiąca czerwca przysłano tak matce, jak synowi rozkaz ze strony władzy miejscowej, ażeby natychmiast opuścili Wrocław i kraje pruskie i wracali każde z nich w stronę, z której przybyli. Było tedy — po tylu latach rozłączenia, po tylu usiłowaniach, zawsze nadaremnych, zjechać się gdziekolwiek — całego ich pobytu w Wrocławiu najwięcej jeżeli tydzień jeden. Rozstanie było tem boleśniesz, że go nie osładzała nadzieja, żeby się kiedykolwiek jeszcze w życiu znowu mieli zobaczyć. Boć matka była już w latach sędziwych, a zdrowie Juliusza widocznie dogorywało, a nad tem wszystkim malowała się przyszłość polityczna w barwach, odbierających wszelką otuchę.

Juliusz jednak siłił się pocieszać matkę przecuciem rychłego znowu zbliżenia się do niej, choć pewnie sam wątpił o możliwości dotrzymania tej obietnicy.

....»Dziś w sobotę (pisał do niej nazajutrz po jej odjeździe, było to zaś 8 lipca 1848 r.) — a zatem o dzień jeden prędzej, niżem się spodziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów bawiłbym dłużej nie mógł. Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała, i patrzyłem w Twoje biedne puste okienka, Twojej tam główki ciekawej nie było.... Biedna Ty — i biedny ja! Dziś o piątej wieczorem jeszcze dalej od Ciebie odjadę. Ale ufaj w Boga i ufaj memu bolesnemu sercu, że się

do Ciebie znowu przybliżę.... Bądź zdrowa najdroższa — — — Strasznie tu byli rozgniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć pozwolili. Teraz każą natychmiast rukszać. Dobrze, że się to pierwiej nie stało¹⁾...

Jak przed 17 laty, tak i tym razem podążył poeta nasz z Wrocławia prosto do Drezna. Tu się zatrzymał tylko dzień jeden, który mu się teraz dziwnie nudnym wydawał²⁾. Potem już nigdzie się nie zatrzymywał po drodze, zboczył tylko do Ostendy. Chciał się orzeźwić morską kąpielą i (jak się wyraził) zebrać ducha przed powrotem do tej Francji, która bynajmniej go nie nęciła ku sobie. Kąpiele jednak nie bardzo mu posłużyły owego roku. Parę też tylko tygodni spędził w Ostendzie. Już w końcu lipca znalazł się znowu w smutnym i samotnym mieszkaniu swoim paryskim.

....»Mieszkanie to (pisał dnia 1 sierpnia 1848 r.) z niskimi sufitami, zdało mi się dziwnie małe i ciemne. Szerzej mi było i przestronniej w Waszych stronach. Miletus³⁾ dobry i zawsze jednakowy, przyjaciele moi niezmienni w niezem; ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno i nie wiem, czemu energii zwyczajnej odzyskać nie mogę. Może to Ty, droga moja, popsukałaś mię Twoją antelską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością

¹⁾ L. II. 407—8.

²⁾ Wieczór spędził Słowacki w towarzystwie Romana Zmorskiego, poety i jego małżonki; według opowiadania pani Zmorskiej opisał te chwile L. Méyet (Tygodnik ilustr. Warsz. 1897 nt. 3).

³⁾ Jan Ludwik Millet, portyer domu, w którym Słowacki mieszkał.

postępowałaś ze mną? Któż mi Ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni«?...

»Zawsze się lękałem, żeby Ci na oczach stanąwszy nie być boleścią i dni Twoich nie zatruci. Ale Tyś się zgodziła z wolą Boga, oddałaś mię Jemu, wszystko największe spełniłaś! Zwycięstwo Twojej miłości nademną jest zupełne. Nic niema we mnie, co by się nie skruszyło w ostatnich słowach Twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła!« (Z listu z d. 14 lipca 1848 r. Ostenda¹⁾).

Za powrotem do Paryża uważali po Juliuszu znajomi i przyjaciele, że był jakoś dziwnie zmieniony. Serce jego było do głębi rozbolełe na to wszystko, co w kraju widział i co wrzało wtedy dokoła na wielkim świecie. Poeta okazywał się odtąd w obejściu swoim codziennem coraz więcej drażliwym i rozstrojonym, ale też i podniesionym duchowo na wysokość, do jakiej ludzie normalnych usposobień rzadko się wznoszą.

Wogóle mógł to każdy z czytelników moich sam zauważyć, czytając te ostatnie rozdziały: że Towianizm dla Słowackiego pod jednym względem nie był bez rzeczywistej korzyści. Wprawdzie sławie jego autorskiej zaszkodził on nieskończenie. Literackie zasługi, jakich się piśmiennictwo narodowe sprawiedliwie spodziewać mogło po tej olbrzymiej zdolności, zmniejszyła ta obłądna doktryna więcej niż o dobrą połowę. Mimo jednakże tej zgubności pod względem umysłowym, mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta: człowiek pod owym wpływem mistycznego wzniesienia ducha niewątpliwie skorzystał. W życiu praktycznem, w zamiarach, w sposobie i kierunkach dzia-

łania, słowem etycznie Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Moralnie podniósł się wyżej, niż za najlepszych czasów poprzednio upłynionego życia....

W poprzedzających rozdziałach nie zwracałem nigdy czytelników moich uwagi na moralną wartość postępowania osoby, której działaniu autorskiemu głównie jest poświęcone to dzieło. Usilnie i umyślnie starałem się utrzymać pod tym względem na stanowisku zupełnej przedmiotowości. Względem człowieka, którego życie już zgasało, a którego pamięć drogą jest narodowi, względem pisarza, którego własne, publiczne, prywatne i bynajmniej nie dla wiadomości całego świata kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materiał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doraźnych, surowych sądach i to jeszcze zaocznie. Obowiązkiem moim było z jednej strony złożyć wizerunek jego osobistości z rysów autentycznych, z szczegółów ile tylko być mogło rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy nimi istotnem. Z drugiej wszelako strony uważałem i to sobie za powinność, ażeby w tem zestawieniu wizerunku poety wynikało ostateczne o nim zdanie, jako o człowieku, ze samych tylko czynów jego, nie zaś z tych zwierzeń listowych. I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tegoż zdania raczej drugim, niż sobie.... Po tem wszystkiem jednakże, co aż dotąd się powiedziało, zdaje mi się, że wolno mi już będzie zrobić to spostrzeżenie, że było niewątpliwie w dawniejszem życiu Słowackiego, w jego charakterze niejedno, co niezupełnie rymowało z tą olbrzymią zdolnością poetycką, której błyski podziwiamy w jego kreacyach. Wogóle jeżeli kto, to autor Beniowskiego służyć nam może za przykład i za dowód wymowny, że pod tym wzglę-

¹⁾ L. II 311 i 309.

dem genialni ludzie bynajmniej się nie podnoszą bezwarunkowo ponad poziom zwyczajnych śmiertelników. I oni ostatecznie nie są czem więcej niestety, jak tylko jednostkami ułomnego rodzaju, do którego wszyscy należymy.

Takie wrażenie sprawia na nas osobistość Słowackiego aż po rok 1842. Za przystąpieniem do koła Towiańszczyków, wiele bardzo pod tym względem u niego się odmieniło. Wstąpił w niego jakiś duch wyższy, który go już nie opuścił, chociaż się następnie od Towiańszczyków odstrychnął i na własną rękę rozwijał sobie doktrynę. Było w ciągu całej tej jego życia epoki niezawodnie coś, co nam mimo wszelkiego obłędu imponuje w jego postaci. Wielka surowość zasad, bezinteresowność do dalekich posunięta granic, obojętność najwyższa nie tylko na wygody i dolegliwości cielesne, ale nawet i na wszelkie błahe względy potocznego i zewnętrznego żywota.... miłość ku ludziom gorąca, głęboki duch ofiary, chętnie przestawianie na małym, gotowość do wyrzeczenia się najśodszych pociech życia. Zauważyć się daje w tym duchu odtąd nieraz i siła nawet, dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniej braku hartu i woli. Uderza w nim niekiedy nawet pewien praktyczny realizm, przedtem obcy najzupełniej idealnej jego naturze....

W ostatnich chwilach życia odbiło się to wszystko najwydatniej w wewnętrznej fizynomii poety. To też znajdujemy w jego listach z czasu owego liczne ustępy, szczególnie pod tym względem uderzające.

Żądała np. razu jednego od niego matka (było to w sierpniu 1848), ażeby jej przysłał znaczniejszą jaką ilość odlewów gipsowych swego medalionu dłota Oleszczyńskiego, a to w zamiarze, żeby i w kraju więcej był znany. Oto, co jej wtedy na to odpisał:

»O medalionach pamiętam, ale szczerze Ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę; jeden mam tylko — trzeba by odlewać wielką liczbę — trzeba żeby się snycerz na to zgodził, a on nie wiem gdzie. Nie żądam Ty tego tak silnie, co tylko umniejszą mi miłości w ludziach nie znających mnie, bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpychać. Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie Statlera lepiej mnie teraz przedstawia«....

....»O spokojność i miłość prosz dla mnie Boga, abym w ofierze i pracy wytrwał, a nie dał się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasyji duchowi, który mnie nieraz do walki ze światem podmawiał.... Cóż robić? Duchy narodu niezdolne są wszelkich, z ducha przedsięwziętych czynów — oglądają się na obecne rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią. Ja cierpię także — ale inaczej: cierpię, że jeszcze się nie zaczął«.... (Z listu z d. 25 sierpnia 1848 r.).

...»Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojej, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrzem świecących, a że nie jestem bez miłości sprawiedliwej, dowiodę Ci kiedyś, przyjechawszy do domku Twego«.... (Z d. 9 października 1848 r.).

...»Podobno to mój Teofilu (mówi do wuja) nie-szczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie umiłowanych, ale tylko miłych z najo mych; stąd wysadzaliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacje — z książek i podróży czyniliśmy coś nakształt kłaków i tem zapychaliśmy próżne serca i głowy napotykanym ludzi. Oni też nas ogłaszali za dobrych bardzo lekarzy nud, głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czem lepszem zapełniona nie była, a nakoniec

z czasem zapominali o nas. Inaczej dziś z tymi, których ukochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez żadnej grzeczności w wyrażeniu administrowaną. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I Ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak Twoich nowych sąsiadów. Nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z Tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha Twego uderzaj ich silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości — a choćby na czas nieprzyjacielem nawet Twoim. Obaczysz Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potem we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serca rzucają.... (Z listu z d. 4 marca 1848 r.)¹.

Jakże to wszystko odbija od zdań Słowackiego w dawniejszych listach!

Podobnie też inaczej, jak niegdyś, sądził on wtedy o dziełach swoich i o całej swojej autorskiej przeszłości.

....»Przez te pięć lat (pisał do Statllera d. 25 grudnia 1848 r.) pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe to są ziarenka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomóc, aby wyrosły i kłoski swoje prosiom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest, niż praca moja umarła — która już w forenkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się.... poezią moją²).

¹) L. II. 319—20; 326; 338.

²) L. II. 238 (wyd. lwow. z r. 1883).

Kilka miesięcy przed napisaniem słów powyższych wysyłał był Słowacki cały zapas dawniejszych, nierozprzedanych publikacji swoich na ręce matki do Lwowa, ażeby po cenie niższej dostawiła je księgarzowi¹). Przy tej sposobności taką wyrzekł o dziełach swoich uwagę:

....»Przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zru-miniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszzerowi. Chciałbym przesłać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarenek czystsze go zboża dać moim miłym na siejbę.... bo chciałbym, aby niektóre z nich nigdy nie były wyszły. A następną edycję robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych moich poematów zatracić²).... Nadto wysoko ważę teraz Ducha polskiego. Wstyd mi wielu melancholii byrońskich — strach, aby one nie zaraziły innych! Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, pošlę wszystkie żądane książki.... (Z listów z d. 1 i 12 sierpnia 1848 r.)³).

Do tej zmiany, jak widzimy, istotnej i stanowczej w wyobrażeniach poety przyczyniało się też niepomąłu i rosnące w nim coraz bardziej uczucie, że go siły fizyczne opuszczają, że pasmo życia jego się zrywa.... Zdrowie Słowackiego nie było nigdy czer-

¹) Notatkę książek, które wtedy posłane zostały J. Milikowskiemu do Lwowa, wydrukował L. Méyet w wydaniu listów Słowackiego, t. II. str. 317.

²) Ponieważ o drukowanych a niedokończonych rzeczach tu mowa, stosować się to zatem może tylko do Beniowskiego. Nie odnosi się zaś żadną miarą powyższe autora słowa do Króla-Ducha. Owszem, Słowacki pracował nad nim właśnie w owych miesiącach, w których wyraził te kreslił, i jak niżej zobaczymy, przywieszywał do niego wielkie znaczenie. (P. A.).

³) L. II. 311; 315.

stwe. Był on słabowitym przez całe życie. Zarodów piersiowej choroby można było w nim dostrzegać już na kilkanaście lat przede śmiercią. Przywykły jednak od dzieciństwa do mniej pomyślnego stanu pod względem zdrowia, nie bardzo zważał on na to. Owszem, prawie we wszystkich listach chwalił się przed matką, że czerstwość sił, co się zowie, mu dopisuje. Od roku 1843 spędzał co roku kilka tygodni nad oceanem w Pornie i używał z dobrym skutkiem morskich kąpiei. Ale to też już było wszystko, co dla zdrowia swego czynił. Pomocy zaś lekarskiej nawet w razie gwałtowniejszej potrzeby używać nie lubił i podlegał pod tym względem przesądom, które były w związku z jego mistycyzmem.

....»Nie znam żadnego doktora (pisał naprzykład d. 22 stycznia 1848 r. do matki), bo w nich nie wierzę — i nigdy ich nie potrzebowałem. We wszystkim uzdrawia mnie duch mój wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu. Przekonałem się nawet, że ile razy cieleśnie chciałem sobie jakim lekarstwem prostem dopomóc, to zawsze po chwilowej uldze była potem reakcyja ducha, który zdawał mi się mówić: Zważyłeś we mnie, przeniosłeś nademnie ducha rośliny — pijże teraz ciągle rumbabarum i bądź sługą dekoktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w donku ciała¹⁾....

W r. 1846, zaraz po wypadkach lutowych galicyjskich, zaniemógł był dość niebezpiecznie. Słabość ta nie trwała długo, musiała jednak być ciężka, kiedy już wtedy Słowacki układał, jak to widać z pozostałych notat w jego papierach, niektóre ustępy, mające

znaleść miejsce w jego testamencie. Powróciwszy do zdrowia, w następujący sposób wspominał o tem w liście owym do Krasińskiego, przez który nawiązał z nim na nowo stósunki przyjacielskie.

»Możesz słyszał, żem mocno był chory. Teraz jestem zdrow do czasu — a żyję, póki chcę. To mi Bóg zostawia. W rękę mi dał nie żywota mojego — nie bez też, jak widzisz, puszcza ją, aby szła jeszcze¹⁾....

W następnych latach używał zdrowia, a przynajmniej wystawiał sobie, że go używa. Kto go jednak w r. 1848 widział w Poznaniu, temu się mimowolnie myśl nasuwała, że to człowiek, którego — jeżeli nie dni, to miesiące są policzone.... Kąpiele w Ostendzie zamiast go pokrzepić, sprowadziły mu mocny katar piersiowy. W tym stanie powrócił do Francji. Listy jego paryskie z tego roku zawierały wprawdzie znowu doniesienia o jak najlepszym zdrowiu. Ale go parła jednak jakaś dziwna tęsknota do swoich. Nie mógł się już teraz wcale odegnać myśli powrócenia do kraju, pod jakimibądź okolicznościami, choćby w najgorszym razie miało to być na kilka tylko tygodni. Miało to przyjść niezawodnie do skutku znowu na przyszłą wiosnę.

....»Z najżywszą radością (pisał d. 9 października 1848 r.) wybieram się do Was na wiosnę. Wszystko tak urządzam, abym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka²⁾....

¹⁾ L. II. 251 (wyd. lwow. z r. 1883).

²⁾ L. II. 326—7.

¹⁾ L. II. 278.

Za nadejściem zimy, stan zdrowia się pogorszył. Szczególniej w styczniu i lutym (1849) cierpienie sta-
wało się coraz dotkliwsiem. Myśl zbliżającej się
śmierci nieraz nawiedzała już Słowackiego. Zaczynał
wątpić, żeby mu Bóg dozwolił doczekać się owej
wiosny już niedalekiej, która go miała wrócić rodzi-
nie, matce....

Listy jego z tego czasu znamionuje pewien
zwrot myśli ku rzeczywistości. Dawniej idealista, ma-
rzczytel — lubił teraz Słowacki najwięcej mówić i wy-
pytywać się o realne stosunki życia tam w kraju.
Rozmyślał nad nimi, oceniał je, dawał rady jak dzia-
łać potrzeba, żeby to, co w nich złego, na lepsze
się odmieniło. Rady te czasem są niepraktyczne, nie-
kiedy znowu w wysokim stopniu zasługują na to,
żeby się zastanowić nad nimi. W każdym razie jest
to charakterystycznym w toku życia tego poety, że
zaczął od lekceważenia i niemal wzgardy realizmu
życiowego, a skończył uznaniem daleko posuniętem zna-
czenia tegoż realizmu.

Oto n. p. co pisał w ostatnim z listów swo-
ich do wuja Januszeńskiego:

*Proszę Cię, Teofilu kochany, opisz mi, jakim spo-
sobem uprawiasz teraz rolę Twoją — wiele gruntu masz
— na jakie zasiewy najwięcej rachujesz? Gdzie przeda-
jesz Twoje zbiory? Bardzo bym był ciekawy wiedzieć spo-
sób Twego gospodarstwa i mieć wyobrażenie doskonałe
tego, czym jest teraz wieś w Waszych stronach. Senty-
mentalności wszystkie mało mię obchodzą. Życie ziemskie,
jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wol-
ności, którego duch używa dla dopełnienia misji swojej,
zajmuje mnie. Dlatego nie przyjemnościami i tak nazwaną
poczyą sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach,
które Cię jako człowieka obchodzą; a ja — widząc Cię
szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny

udział w Twoim smutku lub weselu i dopomogę sercu
memu w tej miłości, która bez rzetelnej podstawy ludz-
kiej i bez opłomienienia Bożego jest tylko głupstwem
i semitonem uczuciowym — na nie aniołom i ludziom¹⁾....

Najwięcej zaprzętały myśl jego wtedy trudności,
jakie się w Galicyi począwszy od r. 1846 pojawiły
w stosunkach między ludem wiejskim a dworem.

....»Boże Narodzenie przeszło (pisał jeszcze w 1848
r., pod koniec grudnia). W wieczór dnia tego byłem sa-
motny i myślałem o Was w lepiance Waszej. Chciałem
nawet pisać do Was. List Wasz ostatni, zrozpaczony
o wioszczanem Waszem położeniu, mocno mię zasmucił.
Rozbierałem w sobie głęboko wasze położenie, czułem je
boleśnie; bo wiem, co to mieć opodal gromadę ludzi, złą
wolą ku nam wytężonych. Wszakże ufam, że się to opu-
szczeniem przez Was wiosieczki nie skończy«.

....»We wszystkim chcąc wyjść z biedy, trzeba
drogę odmienić; trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to
uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzy-
mywaniu rzeczy, które od nas odlatają w przepaść. A pań-
szczyzna i królowanie szlachty polskiej jest jedną z ta-
kich rajszych róż, które już Ewa polska na wieki utraciła.
A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość,
którą sobie u ludzi zyskała. — Ja mieszkam pięć lat
w domu jednym, a pewny jestem, że portyer, który mi
służy, po mojej śmierci przyjąłby z miłością wielką i we-
selem Ciebie Filu, gdybyś na mojem miejscu mieszkać
przyjechał; i miałby zaraz dla Ciebie nadskakujące nogi.
A Wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat
Wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienio-

¹⁾ L. II. 338.

wani jesteście?! — Któż winien? — Świadczyć się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł być mieć i serce tych ludzi na wieki. Kto Wam miłości ludzkiej nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa«....

...»Myśląc, jak jabym sobie poradził, będąc w Waszem położeniu, myślałem sobie tak: (a przebaczenie, jeżeli w tem dziecinne są moje pomysły). Myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem — co jest wielką łaską i dane bywa tylko duchom utrudzonym, którym Bóg wypocząć pozwala.... gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy mojej, a nie dał nic więcej: — starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę. Nie mając już ludzi pańszczyzną robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz, przez nadanie gruntów gospodarzom, został jeszcze uboższym, niż przedtem. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtoraset złotych (jak pod Warszawą), karmieni przez pana kartoflami najczęściej, byle dobrą słoniną okraszonymi, a rzadko mięsem w święta częstowani (jak to jest pod Warszawą), służyliby mi wiernie i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moją — rzeską i do brze życzącą. Nierazbym z nimi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w tej wieczorynce. A wkrótce — sam choć słaby — wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę moją. Nie na szerokość jej, ale na dobrą bym uprawę rachował. Nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystkołożył. Tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moją czeladkę i nie potrzebując już — mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczej — widząc mnie słabym,

aew wewnątrz rozgniewanym — coraz gorzejby się podemnie podsuwali«¹⁾....

W parę dni po napisaniu tych uwag i wyprawieniu listu, w którym je, znachodzimy, odebrał Juliusz z domu nowe utyskiwania nad daremnością wszelkich usiłowań zawiązania jakichkolwiek stosunków znośnych z ludem wioski, w której krewni i matka jego mieszkali. Dała im powód do tych utyskiwań tażsama właśnie wilia Bożego Narodzenia, o której była wzmianka w danym powyżej wyjątku z korespondencji poety. Wraca tedy do tego punktu Słowacki raz jeszcze w liście, który do nich wysłał 22 stycznia (1849) i taką ich zagaduje uwagą:

»W dzień Wilii czułem Wasz smutek — czułem Was w domku Waszym. Teraz widzę, jakeście rozestali po chatach jadło — i siedzicie samotnie, oczekując czyli się nie nawrócą ku Wam serca ludzi. O! nie — nie nawrócą się te duchy! ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mleko makowe miodem zasyczone, ale sercem i duchem Chrystusa nieotchnięte, tak aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, Sylli moja droga, nie przynęcisz Ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiej naszej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. — Znałaś miłość dziewczą, panięską; miłość zawsze jest jednej natury. Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przekleństwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to — a nawet choć bić będziesz kijem, ludzie kochać Cię będą.... I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką — wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć;

¹⁾ L. II. 329—331.

a gdy to czyniąc, nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską. O braterstwie gadają teraz ludzie, i źle gadają, bo od Ojcowstwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy Was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie. — Mocno, mocno chciałbym być z Wami! Wypowiedziałem nawet mieszkanie moje w tej nadziei, że można będzie Was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie lekarstwo niby na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym Was obaczyć i z Wami pożyć potrzeba — a raczej powiem chce się tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów, gdzie mi było obszernie, wolno i lubo. Za miskę jednak soczewicy nie sprzedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło cieleśnie w niedostatku przycierpieć. Swoobodnie i otwarcie chciałbym być z Wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w której helce, staruszcze matce domku Waszego¹⁾....

Znamieniem, jak na Słowackiego, jest jeszcze następujące zdanie jego, powiedziane do Teofila Januszewskiego (w liście z lutego r. 1849). Chodziło o pytanie, jakby najlepiej użyć jakiegoś kapitału, który mieli w gotowiźnie — czy go ulokować w papierach, czy obrócić na zakup gruntu.

»Co do kupna i przykupywania ziemi, najmocniej się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje

mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżające się najbliżej do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego — i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach — a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały. — Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że ich w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się nimi. Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach, mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, który za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących. Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawiają niby na gwiazdach, z których znowu na ujarzmiiciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz — a twej miłości zadość uczynić. — Mówię więc: kawałek ziemi mniej — i to nie wioskę, ale folwark bardzo obfity i zamożny. Jeżeli trzeba kilku takich folwarków: zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę — ale nie zapuszczaj się w skupywanie wiosek, ani sądź iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem, najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z Tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś....

»Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi i w głupocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzien wolności¹⁾.

¹⁾ L. II 336—7.

Lecz wróćmy do osoby autora tych listów. W pierwszych więc miesiącach roku 1849 słabość jego wzmagala się coraz bardziej. W lutym i marcu podlegał już Słowacki częstym krwiotokowym atakom, które siły jego nad miarę wycieńczały. Łudził się wprawdzie jeszcze nadziejami niekiedy i przypisywał to swoje osłabienie najwięcej skutkowi wiosny wczesnej i słońca gwałtownego¹⁾. Mimo to jednak już w końcu lutego uznał za potrzebne spisać wolę swoją ostatnią. Czynności tej dopełnił podług wszelkich formalności w razie takim przepisanych. O zrobieniu testamentu uwiadomił listownie tylko wuja Januszewskiego, zobowiązywał go jednak do sekretu o tem przed matką.

....»Kilka dni temu (pisał do niego), byłem mocno bardzo krwią zaatakowany która mi się po wielokroć razy z ust wypływać dawała, teraz zamknęło się ujęcie i żywot mój w łono moje powrócił; ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mnie już chciał jak żołnierza od Was wziąć a na inne i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem — i teraz, wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z Wami zostać mi kazano.

»Zrobiłem będąc chory testament — krótki, w dwóch paragrafach²⁾. W pierwszym zostawiam wszystko, co mam,

¹⁾ W początkach marca tego roku odwiedził poetę Władysław Łuszczkiewicz, przybyły do Paryża celem dalszego kształcenia się w malarstwie. Rozmowę jego ze Słowackim opisał L. Méyet. (Kurier warszawski 1900 nr. 189).

²⁾ Testament ten dotychczas nie jest ogłoszony; znany jest zato testament poety spisany w roku 1848. Wykonawcą swej ostatniej woli mianował Lomana, a wszystko co miał w gotowiznie, zapisał matce swej „najlepszej i najszlachetniejszej”. Tego testamentu są dwie redakcy, obie ogłoszone przez dr. Biegeleisena: jedna w „Praw-

i przekazuję wszystkie prawa moje Matce i Tobie Teofilu, mianując Was wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi, z wyłączeniem wszystkich jakiegobądź innych osób. W drugim paragrafie czynię egzekutorem testamentu, względem moich paryskich pozostałości, przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, pana Charles Petiniaud Dubos....

»Gdybym był umarł, już byłbym z Wami. A tak, trzeba mi będzie jechać do Was — a mam nadzieję, że pojedę«¹⁾....

List ten był pisany dnia 4 marca (1849); był to ostatni list Słowackiego do rodziny²⁾.

dzień, Warsz. 1893, nr. 42 z dnia 7 października, druga w VI tomie wydania pism Słowackiego. (Lwów, 1894 str. 499).

O stanie majątkowym poety w ostatnich dziesięciu latach życia dają wyobrażenie jego rachunki, ogłoszone przez dr. Biegeleisena (Wiadomości bibliograficzne. Warszawa 1883, nr. 7, i Dzieła Słowackiego Lwów, 1894, t. V str. 491 i nast.).

¹⁾ L. II 340—44.

²⁾ Ostatni zaś list, ręką poety na dni kilka przed śmiercią — w piątek dnia 30 marca — skreślony, był napisany według tradycji, do pani Dunin Wąsowiczowej; ogłosił go L. Méyet w Bibliotece warszawskiej (1896 I 319—20). Pełen smutku i przygnębienia, brzmi on jak następuje:

„Pani! Bardzo i bardzo źle z mojem zdrowiem. Jeżeli wyszedłem kilka razy, to w istocie tak, jak upiór, zdolny tylko szklane rzucać wejrzenia na to słońce, które wkrótce przestanie przyświecać memu snowi.

Przechodząc koło progów pani, jakaś niemoc i zarazem smutek nieprzewyciężony odwrócił w inną stronę kroki moje. Wejść nie mogłem — na serce się moje kłnę, że nie mogłem. A jednak niech mi Pani wierzy, że z prawdziwym rozrównieniem myślę o tej dobroci, która i teraz tak troskliwie dopomina się o tę część smutku, którą wiem, iżby wzięła na siebie, gdyby mi tem ulżyć mogła.

Ale wszystko próżno, Pani droga, przynajmniej w tych dniach takie jest przeświadczenie moje. Gorączki mię trawia, bicie serca powiększa się ciągle a wewnętrzne uczucie osłabienia już mi bardzo mało nadziei zostawia. Proszę więc Pani o modlitwę i myśl dobrą, którąby

Równocześnie dał znać o sobie też i Szczęsnemu, który całą ową zimę spędzał w Monachium. Dokończył właśnie studyów swoich w uniwersytecie tamtejszym. Niezwłocznie po odebraniu niedobrej tej wiadomości, Szczęsny z Monachium do Paryża podążył i stanął na miejscu jeszcze przed końcem tego miesiąca. Od tej chwili nie odstąpił już przyjaciela aż do samego zgonu¹⁾. Przy pierwszym powitaniu zagadnął go Słowacki takimi słowy: »Dobrze żeś przyjechał. Nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już wszystko się kończy. Pan Bóg mnie wzywa do siebie«. — Następnego dnia mało już mówił o swoim zdrowiu i chociaż po nocach nie spał i często cierpiał mocno, w dzień jednak był rzeźwy i czynny, jak dawniej. Pierwszego kwietnia powiedział Szczęsnemu, że w nocy tak mu źle było, że dnia nie spodziewał się dożyć. Pytał, czy nie zna

wspólnie łącząc się z moją myślą, pomogła mi w tem weselu ostatcznem ducha, który półsenny widzi pęki otwierające się na drzewach i coraz głębiej zasypia — aż do nowej wiosny i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoło i rozjaśni się nową radością.

Żegnaj Panią i obiecuję przyjść, jeżeli Bóg jeszcze pozwoli.

Wierny sługa

Juliusz Słowacki.

¹⁾ Tu dołączam wiadomość, że pod bezpośredniem wrażeniem smutnych dni, które wtedy razem przeżył z Słowackim, i jako naoczny świadek wszystkiego, co się w dniach owych działo około niego, opisał Szczęsny zaraz po śmierci poety ostatnie chwile jego. Rodzina Słowackiego dla której wspomnienie owo było pisane, ogłosiła je w „Dzwonku“ (Lwów, 1850); było ono potem kilka razy przedrukowywane. Szczegóły te służą mi teraz za źródło, według którego podaję prawie dosłownie, co odtąd następuje w tekście. (P. A.) — Nadto z pod pióra Felińskiego wyszły jeszcze następujące piękne artykuły o pocie: 1. Trzej wieszczowie nasi wobec Kościoła. (Świat, Kraków, 1888 str. 182). 2. Ze wspomnień o Słowackim. (Czas, Kraków, 1895 nr. 156 i 158).

jakiego ubogiego, któryby chciał sypiać u niego. Szczęsny ofiarował mu sam usługi swoje. Nie przyjął ich jednak, za powód to podając, że mu zajęć jego nie chce przerywać. Zresztą mieli jeszcze później pomówić o tem. »Wreszcie — dodał — może mnie Bóg i tak jakoś przeniesie«. — Nazajutrz mówił Szczęsnemu, że zaczął przepisywać jeden z niewydanych jeszcze swoich poematów, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Szczęsny mu zaproponował, żeby mu dyktował, co też przyjął. I tak napisali jedną pieśń; ale i to Słowackiego męczyło, tak iż resztę odłożyli na później¹⁾. Kiedy miał Szczęsny już odchodzić do siebie, polecił mu Słowacki, ażeby poszedł pytać się księdza, czy będzie mógł przyjść z Sakramentami do niego. Zlecenie to Szczęsny wypełnił. Kiedy dnia następnego przyszedł do Juliusza, zapytując, kiedy się chce spowiadać, zastał u niego przyjaciela jego Petiniaud, który od czasu choroby codziennie Słowackiego odwiedzał. Ten mu powiedział, że chory bardzo źle noc przepędził: a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątej zemdlął i zdawało się, że już kończy. Na zapytanie Szczęsnego, jak się czuje:

¹⁾ Przejrawszy pozostałe papiery, jestem w stanie z wszelką pewnością powiedzieć, co to był za utwór, o którym mowa. Był to rapsod jeden z Króla-Ducha, rapsod ze wszystkich najwięcej wykończony, osnuty na podaniach o Piaście i Ziemowicie. Jest między papierami pośmiertnymi rękopis, z kilku arkuszy listowych zszyty; na pierwszej zeszytu tego stronicy położył poeta tytuł poematu taki: „Z Króla-Ducha — Księgi Legend“. Snać dawał więc rzeczy tej napis jakby całości oddzielnej i oderwanej, zwątpiwszy już o możności wykończenia całego utworu. Potem następuje sześć strof ośmio-wierszowych, własną autora ręką kreślonych. Tu się pismo Słowackiego urywa. Strofa siódma i wszystkie dalsze już są pisane ręką Szczęsnego, jak o tem na pewne twierdzić mogę, dobrze znając ówczesny kształt jego pisma (P. A.).

odrzekł Słowacki, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo niedobrze. Przyzwano księdza. Ten pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. — Tymczasem Juliusz, widząc przytomnych w rozrzewnieniu, wziął Szczęsnego za rękę i głosem przerywanym, lecz spokojnym rzekł te słowa do niego: »Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś jakby na pożegnanie, wspomnienie jej odebrałem, i z myślą o niej umieram«. Po chwili milczenia, wzniosł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: — »Wiara w nieśmiertelność ducha i sprawiedliwość Bożą jest wielkim darem Stwórcy nam udzielonym! Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję; i tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stósownie do zasługi: nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką go dziś oddaję w ręce Stwórcy. — Wszak prawda? ciągnął dalej, obracając mowę wprost do Szczęsnego: (Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze: przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jaka nieśmiertelnemu duchowi przystoi.« Wtem ksiądz wszedł: a kiedy po odbytej spowiedzi ofiarował mu Przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnej mocy i ukląkł na łóżku, potem przyjął ostatnie namaszczenie, z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie było można oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego świętem zachwyceniem. Po chwili takiego wewnętrznego skupienia wyciągnął ręce do

przyjaciół i z łagodnym uśmiechem powiedział: — »Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta. Myślałem często o tem, czy też tej łaski dostąpię«. — Potem wypił trochę gorącej herbaty i prosił, żeby go zostawili samego, gdyż chciał spocząć. Wyszli przytomni do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte, i widzieli, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lekając się, by to nie był sen ostatni, znowu otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i przerywany. Widząc, że nie śpi, przytomni weszli do jego pokoju; prosił o trochę wina czerwonego. Podano wino, ale je już z trudnością przełknął. Potem kazał Szczęsnemu przynieść książkę, z której mu w wilią dnia owego dyktował; i pokazywał mu, w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać. Ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmiechem: »Wszystko to głupstwo«.... Potem prosił, żeby go posadzić w innej pozycji, a kiedy to uskuteczniono, powiedział, zawsze z uśmiechem: »Może to w tem położeniu śmierć mię zastanie«.... Zamilkł, ale ciągle spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o której godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął ręce i zrobił znak, że chce wstać. Lecz zaledwie go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drząc poczęło — oddech jego był coraz cięższy — coraz powoli słabł — oczy nawpół się zamknęły i mgłą zasłżyły. Nacieranie skroni i pulsus eterem nie nie pomogło. Powoli oddech ustał — serce bić przestało — wszystko się skończyło — już nie żył.

Było to dnia 3 kwietnia 1849 r. Liczył poeta wtedy lat czterdzieści niespełna.

We dwa dni potem wiózł skromny wóz zwłoki zmarłego do kościoła św. Filipa du Roule, a stąd

na cmentarz Montmartre¹⁾. Nie było mu tedy dano spocząć w tym śnie nieprzespanym na miejscu, na którym dawniej, w pełni jeszcze żywota swego, marzył nieraz, że spocznie kiedyś na wieki. Miało to być w ojczyźnie, na cmentarzu krzemienieckim, pod cieniem znanej czereśni, która tam grób dziada i babki jego ocienia. — Orszak żałobny, postępujący za trumną, składał się z małej garstki samych rodaków, po większej części współtowarzyszów w tułactwie. Adama Mickiewicza nie widziano pomiędzy nimi. Nad grobem nie odezwało się żadne słowo ostatniego pożegnania na tę daleką drogę wieczności. Ponure milczenie przerywały tylko grudki obcej ziemi, które z głuchym stukiem z rąk przyjaciół spadały na wieko trumny²⁾....

W kościele akademickim św. Anny w Krakowie, w pobocznej nawie po lewej stronie, wzniesiony jest skromny nagrobek Juliusza Słowackiego. Wystawiła mu go strapiona matka³⁾. Położono na nim jako napis następujące wyrazy:

¹⁾ W bieżącym roku (1900) odnaleziono w bibliotece szkoły polskiej na Batignolles w Paryżu pokwitowany rachunek za Słowackiego pogrzeb i nabożeństwo żałobne w kościele św. Filipa de Roule: rachunek wynosi 275 fr. i podpisany jest przez kasyera Trouvaina.

²⁾ Do chwil tych odnoszą się następujące artykuły L. Méyeta: „Pogrzeb J. Słowackiego“ (Tygodnik ilustr., Warsz. 1896 nr. 44 i 1900 nr. 44), „Mogiła na Montmartre“ (Gazeta Lwowska, 1896 nr. 189 do 194), „Trochę dokumentów“ (Kurier niedzielny, Warszawa, 1897, nr. 17) i „Głosy prasy o zgonie Słowackiego“ (Przewodnik naukowy i literacki, Lwów, 1896 str. 159 i n.).

³⁾ Nadmieniam dodatkowo co do pani Bécu, że przeznaczone jej było żyć jeszcze po stracie syna lat sześć. Zakończyła życie w mieście lipcu 1855 roku (P. A.). — Kopia jej testamentu mieści się w zbiorze pamiątek po Słowackim w Bibliotece Ossolińskich.

Pamięci
Juliusza Słowackiego

syna **Euzebiusza**
urodzonego w Krzemieńcu,
zmarłego w Paryżu,
który walkę poezji
ku odrodzeniu się ducha i
uczucia ludzkości
po chrześcijańsku
w dniu 3 kwietnia 1849 roku
zakończył,
w żalu nieutulona matka
poświęca.

Lepiej aniżeli te słowa, określają cały charakter życia i działania Słowackiego strofy przez niego samego krótko napisane przed zgonem pod napisem:

»Testament mój«.

Żyłem z Wami — cierpiałem i płakałem z Wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś Was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz Wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę....

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszczy na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w alosie,
I Tej, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie....

Niech przyjaciele moi siędą przy pulharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę....
Jeżeli będę duchem, to im się pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę....

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam małą tu družbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — nieplakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Isć?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć — jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nie.... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci Was będzie gniotta niewidzialna,
Aż Was, zjadacze chleba -- w aniołów przerobi ¹⁾.

¹⁾ Pisma pośm. I. 60—1.

Dodatki do trzeciego wydania.

I.

W roku 1898 wydrukował pan Leopold Méyet w »Przewodniku naukowym i literackim« listy Salomei Słowackiej-Bécu pisane do Antoniego Edwarda Odyńca w latach 1826—1829. Rzeczywiście zasługiwały one na ogłoszenie, mieszczą się w nich bowiem nie tylko ciekawe szczegóły, malujące nam życie i obyczaje ówczesne wileńskie i krzemienieckie, lecz co ważniejsze, są tu ustępy, charakteryzujące dokładnie stosunek matki do Juliusza; w tenże sposób otrzymujemy doskonałe, uzupełnienie obrazu pierwszej młodości poety. Z interesującej korespondencji podajemy poniżej jedynie najciekawsze wyjątki.

Z listu z Wilna dnia 30 sierpnia 1826.»Julek by mi wiele dobrego zrobił, żeby był wczoraj powrócił, bo w tym rodzaju potrzebowałam przyjemności, wszystkie inne były dla mnie wczoraj niestosowne«. — 31 sierpnia rano.»Wczoraj dzieci pojechały do Balińskiej, zostawiłam samą, kazałam nie przyjmować nikogo. Przed wieczorem siedzę przy fortepianie, ktoś wchodzi — Julek. Od dwóch dni wiem, że ma już powrócić, czekałam go z utęsknieniem, więc uszczęśliwiona, że go widzę, rzucam mu się z uniesieniem na szyję. On po swojemu przyjmuje to zimno. — Jak błyskawica myśl: ach czemu on mnie

tak nie wita, jak witał Eddy¹⁾ i łyż mi się rzuciły z oczów«. — 1 września rano.»Siadłam do fortepianu. Julkowi się podobała aryjka: »Ty mi dałeś serce Twoje«. Spiewałam mu ją długo, pocałował mnie za to.... Julek przez cały wieczór siedział na drugiej sofce i dumał także. Przy końcu dzieci śpiewały nowe, nieznane jeszcze Julkowi duety, arye. Zachwycony był tą arya, co Jasia²⁾ wiersze podłożyliśmy: »Ach, cóż się ze mną stało!« — i Julek zaczyna być entuzystą muzyki. Bardzo się zmienił, smutny i cierpi i ja cierpię, patrząc na niego, lękam się o jego zdrowie. Ale może też to mu przejdzie, przynajmniej będę się starać osładzać mu jak można. Będę z nim o tem gadać, to mu lżej będzie, niżli jak gdyby był zostawiony samemu sobie«.

Z listu z Wilna d. 8 września 1826.»Od kilku dni jestem zgryziona przez Julka; nie potrafi Pan sobie wyobrazić, jak to jest boleśnie nie znajdować pociechy, ani się jej spodziewać nadal tam, gdzie się godzi spodziewać ją znaleźć niezawodnie, gdzie się nawet powinno jej szukać! Nigdy moje życie nie było bardziej ogołocone ze wszystkich nadziei.... illuzji, bo tak jestem przekonana, że nie mnie dobrego nie czeka, tylko same cierpienia, a przyjemności moje są to błyskawice na zachmurzonym niebie, tylko że się niebo wypogadza niekiedy, a ja już nigdy pogodną zupełnie nie będę«.

Z listu z Wilna d. 19 września 1826.»Wczoraj dzieci przepędziły wieczór ze Szpitznaglową u Berkmanów a ja w domu z Julkiem. Czytał mi dumkę, którą napisał na wsi; wcale ładna, może ją przysłać Panu,

¹⁾ Zdrobniłe imię Edwarda Odyńca.

²⁾ Jan Januszewski.

może ją Pan dać do dziennika, ale to wszystko może, bo nie wiem, czy się Julek na to zgodzi¹⁾«.

Z listu z Wilna d. 25 września 1826.»Julek także się mieszał do naszych dysput (t. j. kiedy p. Bécu z Jurewiczem rozmawiała o Mickiewiczu, Maryi Putkamer i Laurze Kowalskiej) i obiecał mi dostać od jakiegoś swego kolegi, który tych wakacyi poznał Putkamerową i gadał z nią o Mickiewiczu — dostać drugi sonet Mickiewicza«. — 27 września.»Wczoraj wieczór przyszedł Julek na herbatę, znowu z nim gawęda *confidencielle*. Byłam z niego zupełnie kontenta, tak mi było słodko, miło, ach! żeby Julek był takim zawsze, tobym nie wątpiła, że jeszcze mogę mieć chwile szczęśliwe w mojem życiu. Czytał mi swoją dumkę, poprawialiśmy, wygładziliśmy, postanowiliśmy posłać ją Panu do umieszczenia w »Bibliotece polskiej«. Śliczniutką dumeckę napisał, zdaje mi się, że się i Panu spodoba«.

Z listu z Wilna d. 13 października 1826.»Lękam się o Julka, bo i on często skarży się na piersi. Ta myśl spać mi dziś nie dała i chodzę, jak zmokła kura«.

Z listu z Wilna d. 6 listopada 1826.»Wczoraj był Znosko²⁾ i siedział cały wieczór. Byłabym zginęła, żeby nie Julek mnie sukursował, zwyczajnie jak dla swego dziekana, zasługując się do stopnia, taki był dla niego uprzejmy, grzeczny, tak mu poddawał materyi do konwersacyi, w której mógł zawsze podług swego gustu występować, i kontenta byłam z Julka i to mi znośny ten wieczór zrobiło«.

¹⁾ „Duma ukraińska“ pomieszczona w tomie I-szym „Pism pośmiertnych“ Jul. Słowackiego.

²⁾ Jan Znosko, profesor filozofii w uniwersytecie wileńskim.

Z listu z Wilna d. 11 listopada 1826. »Wczoraj Klembowski zaczął robić portret Hersylii, bo Julek o to prosił bardzo, aby się miał na co patrzeć i pocieszać do wiosny«.

Z listu z Wilna d. 16 listopada 1826. »Obiecałam Korsakowi przepisać tyradę Edwina do kobiet (z komedyi A. Fredry: Odludki i poeta), bo to najpiękniejsze, chociaż Julkowi więcej się podoba porównanie do bluszczu. Złośliwa sztuka z tego chłopca«.

Z listu z Wilna d. 20 listopada 1826. »Julek dumkę swoją jeszcze ma poprawić, i poszle Panu na przyszłą zdarzoną okazję«.

Z listu z Wilna d. 1 grudnia 1826. »Wczora dzieci u Śniadeckich do 12-tej w nocy bawiły i tańczyły trochę; trochę, bo nie mogły rozruszać poważnych delegatów: Goreckiego Józefa i Balińskiego. Trzeci danser był Czarnocki, który także od dawna miałby prawo być poważnym, czwarty zaś danser Julek, któremu bardzo pochlebił Gorecki, mówiąc mu, że raz u nich chcieli tańczyć krakowiaka, ale wszyscy krzyknęli, że krakowiaka bez Słowackiego tańczyć nie można, bo któż będzie improwizował? Rozeszła się sława Julka od Platerowej aż do Goreckiej, i ja i on cieszymy się tem, jak dzieci«.

Z listu z Wilna d. 3 grudnia 1826. »Julek ślicznie się kłania Panu, nie może się odważyć na drukowanie dumki, ale ją może do przeczytania Panu przysłać boby rad mieć o niej Pana zdanie«.

Z listu z Wilna d. 26 stycznia 1827..... »Julek ma podobno Panu posłać swoją dumkę, prosząc, aby mu Pan o niej dał swoje zdanie. Spodziewałam się po pierwszym zarysie, że on to więcej ukształci i coś z tego

zrobi, ale on nie wiele odmienił i zawsze zostało wiele, wiele wierszy czyli słów i porównań, a mało rzeczy. Niech mu Pan da otwarcie swoje zdanie i niech tego nie daje do żadnego dziennika, żeby go na śmieszność nie wystawić, bo to pierwszy krok zrobić na świat a złe, to boleśnie i uraża młodego chłopca«.

Z listu z Wilna d. 24 marca 1827..... »Julek zachwycony projektem (wyjazdu do Krymu), nagli mnie, abym zaraz z początkiem wakacyi prosto do Odessy jechała, a z Odessy morzem do Krymu. Mamy oboje płynąć przez ciąg wakacyi, po Krymie wozować, obrać miejsce pobytu dla mnie i sam ma na rok jeszcze powrócić do Wilna. Szczęśliwy, zdaje mu się, że to wszystko łatwe do skutecznienia i same przyjemności i dobro przyniesie.Będę się cieszyć, jeżeli powrócę do Krzemieńca, ale razem będę się i dręczyć na rozłączenie się z Julkiem, niespokojnością o niego, słowem, że już mi teraz nigdzie nie może być dobrze«.

Z listu z Wilna d. 31 marca 1827. »A propos anegdota, obcy pan mówił Tańskiej anegdotę o Julku, jak nie chciał zjeść karmelka, danego mu przezemnie, odpowiadając mi na zapytanie, dlaczego sam nie zje, że woli dać chłopcykowi, który przychodził się z nim bawić, mówiąc, że jak sam zje, to się przynajmniej prędko skończy, a jak chłopcykowi odda, to będzie dłużej czuł ukontentowanie.

Donoszę także Panu, że Julek odmienił się na awantaż, bardzo uprzejmy, grzeczny dla wszystkich i nawet dla domowych, tak że tę odmianę siostry i Lebrunowa zaraz spostrzegły. Bardzo się on podobał Emanuelowi (Glücksbergowi); jak mnie to cieszy, że on miłym się robi; bo że był do rzeczy, to już Pan wie o tem, zobaczy Pan, jaki z niego będzie człowieczek niepospolity.

Wie Pan, że czytając wczoraj o pierwszych latach Byrona, znajdowałam wiele podobieństwa do Julka*.

Z listu z Krzemieńca d. 9 czerwca 1827.»Posyłam Panu sonet Julka, co napisał po powrocie z wakacji z Bołtupia, a z którym się krył długo przed nami. Znalazłam jego książeczkę, w którą swoje wiersze wpisuje; dużo ich tam jest i niektóre bardzo ładne, ale wszystkie w guście sonetu, to jest romansowe strasznie. Jedne pod tytułem »Nowy Rok« bardzo niepospolite; wiele także urywkowych myśli: »Do księżycy«, dobre także; chciałam sobie przepisywać niektóre, ale gałgan schował tak książeczkę, że jej drugi raz znaleźć nie mogłam, a dać jej żadną miarą nie chciał. Posyłam wierszyki do sztambucha Ludwisia (Szpitznagla) napisane«.

Z listu z Krzemieńca d. 26 października 1827.»Julek jest teraz bardzo za wsią (t.j. za przeniesieniem się na wieś), pewna jestem, że się nią prędko nasyci i mnie samą zostawi a sam na włóczęgę wybierze się, i cóż ja na wsi będę robić bez Julka? Gospodarstwo mnie zameczy, wolałabym z Julkiem pojechać do Warszawy, ale idzie o to, czy tam Julek ma co robić i czyby mógł jaką karierę zrobić.Julek zachwycony jest romansem Coopera: »Le dernier de Mohican«.Julek mój wstępuje w ślady Pana, spierał się z Józiem¹⁾ ustawicznie o romantyczność, bo Pan wie, jak Józio za klawyrycznością«.

Z listu z Krzemieńca d. 1 listopada 1827.»Komunikowałam Julkowi wiadomość od Pana o wyszychowaniu w Paryżu w galerii sławnych ludzi portretu Mickiewicza; wiem, że to Julka tak ucieszy, jak i mnie«.

¹⁾ Józef Mikulski, nauczyciel języka angielskiego w licum Krzemienieckim.

Z listu z Krzemieńca d. 18 listopada 1827.»Odebrałam list od Julka, odpowiedni bardzo memu usposobieniu, bo tak jakby dzielił wspomnienie zajmujące mnie w tej chwili, chociaż i jego list był cały zapełniony żałościami wspomnieniami przeszłości. Tak je zakończył: »O! ile marzeń, ile projektów naszych przeszło nieżyszczonych, a my jeszcze marzymy«.

Z listu z Krzemieńca d. 11 lutego 1828.»Byłam w śmiertelnej niespokojności o Julka z powodu, że przez cały miesiąc nie tylko od niego, ale od nikogo nie miałam listu z Wilna. Byłam pewną, że Julek nie żyje i com ucierpiała przez kilkanaście dni, to tylko Bogu wiadomo, bom jeszcze musiała się ukrywać przed Mamą, nie chcąc powiększać jej cierpień i jej niespokojności o Julka i o mnie, a tymczasem mój synalek, nie uwiadomiwszy mnie o tem, pojechał ze Śniadeckimi do Jaszun na święta i bawił się tam doskonale przez dwa tygodnie. Za powrotem do Wilna napisał przez jadącego profesora do Krzemieńca, Aleksandra Mickiewicza, który miał odbyć tę podróż we trzech dniach, a ledwie we trzy tygodnie przyjechał..... Julek napisał znowu cztery sonety¹⁾, ale boi się posłać je Panu, żebyś nie umieścił w jakim piśmie peryodycznem, a on tego nie chce. Ja posłę je Panu, tylko trzeba by przepisać, a nie wiem, czy będę miała dosyć czasu, bo okazała niespodziana mi się trafia przez pana Nowakowskiego, bardzo grzecznego człowieka, którego Pan już podobno poznał w Wilnie, a przynajmniej jemu Pan obcym nie jesteś. Julek mi znowu wspomina, że odebrał bilet z powinszowaniem n. r. od Pana, że mu to wielką przyjemność robi, że Pan o nim pamięta, że się zbiera pisać do Pana; niech się Pan nie dziwi, że on tak trudny do napisania listu, wszak Pan wie, że w tym

¹⁾ Drukowane w I. tomie Pism pośmiertnych.

wieku, to napisanie listu wielką jest aferą, a on tak zajęty lekeyami, rozprawami, a swoją Laurą¹⁾ nadewszystko, dla której i o matce często zapomina, choć wie czem są jego listy dla mnie. Jak dotąd, to nie mogłam się skrzyć na niego, bo często i dosyć pisywał, ale te święta dobiły go. Dwa tygodnie Ludwisia była chora; nie wiem, czy Pan wie, jaki to ma wpływ na nasze uczucia, kiedy widzimy przedmiot nas interesujący cierpiący, albo życie jego w niebezpieczeństwie*.

Z listu z Krzemieńca d. 11 lutego 1828.»Julek napisał znowu cztery sonety, przysłał je Panu. Pani Putkamerowa wielka admiratorka poezyj Julka, płacze czytając je, a Julkowi to strasznie podchlebia. Putkamer pogodził Śniadeckich z rodzajem poezji Mickiewicza, które Julek chętnie im deklamuje, bo był dwa tygodnie podczas świąt ze Śniadeckimi w Jaszunach*.

Z listu z Krzemieńca d. 23 lutego 1828.»Posyłam Panu sonety Julka, ale proszę, niech ich Pan nie drukuje w żadnym piśmie peryodycznym, bo Julek tego nie chce; niech mi Pan zdanie o sonetach tych zakomunikuje, zdaje się, że czwarty najładniejszy. Drugi mnie przy pierwszym czytaniu najwięcej rozrzewnił, nie wiem dlaczego, i trzeci lubię, choć może najmniej jest piękny; myśl w sześciu ostatnich wierszach pierwszego jakaś oryginalna. Co Pan na nią powie? Mój Boże, jakbym ja chciała, żeby Julek w Warszawie mógł się jakoś kierować, żeby mu tak mogło być tam dobrze, jak Panu, ale to trudno; niema on bowiem takiego daru jednania sobie ludzi. ...Julek mi pisze, że mu Ignasz dał wiedzieć o okazji do Warszawy i miał przyjsć po list Julka do Pana. Julek

napisał, a Ignasz nie przyszedł i list leży na stoliku u Julka, co go martwi. Julek i ja ciekawi jesteśmy poematu Mickiewicza¹⁾. Julek prenumerował a ja się cieszę, że będzie z portretem Mickiewicza*.

Z Listu z Krzemieńca d. 11 kwietnia 1828»Julek smutnie święta przepędził; tęskni do wakacji, z czego ja się cieszę, że mu będą miłsze. Radziłam mu, ażeby przed odjazdem zwiedził Wilno i okolice *en amateur* a szczególnie kościoły, w których są malowidła Smuglewicza i Czechowicza. Zaczął więc od zwiedzenia Trok i przysłał mi zrysowany widok jeziora z wyspą zabudowaną przez zamek i to wszystko przy świetle księżyca. Młdy chłopczyną, zaczyna dogadzać moim fantazyom i to mnie cieszy*.

Z listu z Krzemieńca d. 4 lutego 1829.»Co tam (w Warszawie) robi mój Julek? Panie, mój Panie, pisz mi o Julku wszystko, ach pisz, bo on nie jest jeden z najotwartszych ludzi, nie lubi wchodzić w detale, a jabym chciała wiedzieć o każdym jego kroku, o każdej myśli, uczuciu. Boże, co to dla mnie za udręczenie, że on sam w obcym mieście, sam sobie zostawiony, nieskory do powierzenia się komu, do zasięgania obcej rady, z uczuciami tak żywymi, tak mocnymi, ze zdrowiem tak wątłym. Boże, Boże, czuwaj nad nim, opiekuj się nim!*

Z listu z Krzemieńca d. 27 marca 1829.»Julek musiał mnie już ogadać przed Panem, niech mi Pan opiszę jego rozmowy o nas, a szczególnie jego opinię o mnie, która pewnie jest troszkę dziwna, bo on nie pojmuje, co ja cierpię, a nawet nie wierzy, żebym ja tak

¹⁾ Ludwika Śniadecka.

¹⁾ Konrada Wallenroda.

była chora: i lepiej, mniej się martwi.Julek mnie lakonicznymi listami zbywa, tak, że bardzo mało wiem, co się tam z nim dzieje, bo on zwykle nie wchodzi w detale, a tylko o ważniejszych rzeczach donosi, a ja i do drobnostek wielką wagę przywiązuję, bo kiedy mnie obchodzi, to już nie pomału obchodzi».

II.

W zajmującym i wysokiej pamiętnikowej wartości zbiorze »Listów z podróży z Warszawy do Rzymu« A. E. Odyńca znaleźć można niejedno miejsce, gdzie autor mówiąc o różnych tamtoczesnych pisarzach, także i o Juliuszu Słowackim wspomina. Miejsca takie wybornie ilustrują to wszystko, cośmy tu na podstawie źródeł naszych o charakterze tego niezwykłego człowieka i o dziejach jego podali. Jakkolwiek listy rzeczzone należą do najwięcej czytanych i odczytywanych książek naszej literatury z ostatnich czasów, miło jednak pewnie będzie czytelnikom monografii niniejszej, znaleźć w niej ponownie przypomniane sobie i przytoczone bodaj najważniejsze, do poety naszego się ściągające ustępy z tej ciekawej korespondencji, aby w miarę możliwości wszystko co Słowackiego dotyczy, w jedną całość było zebrane — a sądzę, że i czcigodny Autor tych listów, uwzględniając powody, zechce wybaczyć mi, że tu stron kilka przytoczeniami z dzieła jego zapełnię.

1. Więc nasamprzód na uzupełnienie sądu mego, który o matce Juliusza, jako też i o nim samym, jakim był w r. 1829, zanim jeszcze dom rodzicielski

opuścił, wypowiedziałem w dziele niniejszem w tomie I na str. 30 i 31, przywiodę tu następujący ustęp z listu Odyńca do Juliana Korsaka, pisany w Marienbadzie d. 14 sierpnia w tymże właśnie r. 1829.— Za przybyciem do Marienbadu zastali obaj podróżni (Mickiewicz i Odyniec) bawiącą tam przez ów miesiąc dla kuracyi matkę poety naszego — on zaś sam, Juliusz, mieszkał wtedy, jak wiadomo, w Warszawie:

Pani Bécu zawsze tasama: młoda wyobraźnią i sercem, piękna duszą, zachwycająca w rozmowie. Wiek jej, znaczny tylko w rozumie. Mój Boże! gdyby to Julek przy swoim talencie, z poetyczną wyobraźnią swej matki odziedziczył i kochające jej serce! Byłby pewnie, czem tak być pragnie — i wielkim i sławnym poetą. »Ale pycha i z nieba spycha«, jak mówią. A obok niej i ten wiecznie ironiczny sarkazm, co w nim zda się rośnie z latami, nie wiem czy będzie dobrym przewodnikiem prawdziwego natężenia z góry. Matka zna go doskonale, na wylot; a im go czulej i namiętniej kocha, tem się bardziej jego samego, dla niego samego obawia. Szczęśliwy jestem przynajmniej, że z całą prawdą mogę ją pocieszyć, opowiadając o jego sposobie życia i postępowania w Warszawie, na tej nowej arenie życia, na którą po raz pierwszy z pod matczynej opieki, sam już przez się, jako młodzieniec wystąpił. Każdy kto go poznał, szacować go musi; a i miałyby za co pokochać, gdyby on chciał być kochanym albo raczej, gdyby sam kochał. Ale byroniczny jego ideał nie dozwala mu myśleć o tem. Chce mu się koniecznie być Konradem, żeby nań wszyscy z podziwieniem patrzeli, a z czcią bojaźni kłaniali się przed nim...

....Szeroko o tem wszystkim przegadaliśmy dziś z panią Bécu. Ona ma jeszcze nadzieję, że Julek zmieknie w sobie, jak się kiedy zakocha. Ale czy się zakocha? Żeby się w nim kochano — do tego mu na ochocie nie

zbywa, bo i w tem jest tryumf i hołd. Ale żeby się on sam w kim zakochał, t. j. dla kogoś zapomniał o sobie — to dotąd tego popędu niema w jego Narcezyowej naturze. Trzebaby na to chyba tych samych warunków w jakich się kochał kiedyś w pannie Ludwice S., to jest kiedy sam jeszcze był studentem, a ona już brylowała na świecie, pisała byroniczne rapsody i pozowała na wzór poetycznych heroin.... (Tom I str. 130 i następne).

2. Następnie przytoczę tu owo miejsce z Odyńca, w którym mamy opisane wrażenie, sprawione na Mickiewiczu przy pierwszym poznaniu Julka w Wilnie jeszcze, kiedy mu tenże jako chłopczyk dwunastoletni, ale już do sławy autorskiej aspirujący, był prezentowany przez swoją matkę. Jest to niejako komentarz do str. 88 tomu I tego dzieła mojego, mianowicie do owego opowiadania o pierwszym spotkaniu się Słowackiego z Mickiewiczem w Paryżu w r. 1832 na jakimś składkowym obiedzie, po którym Mickiewicz wedle słów Julka pierwszy do niego przystąpił i między innemi rzeczami wspomniął mu, »że go znał dzieckiem« itd. Otóż przy sposobności jakiejś wzmianki o ekscentryczności Słowackiego w czasach jego warszawskich, o której w roku 1829 we Włoszech Odyniec opowiadał swemu towarzyszowi podróży, przypomniawszy sobie i Adamowi wrażenie, jakie na nim uczynił widok Słowackiego, kiedy po raz pierwszy z Odyńcem był z wizytą u jego matki w Wilnie w r. 1822, gdzie też wtedy i Jana Śniadeckiego zastali.

»Julek nie mógł mieć więcej podówczas (są słowa Odyńca) nad lat 11 czy 12, ale fizygnomia jego od dziecka była zawsze niezmiernie wyrazista. Adamowi utkwiły zwłaszcza w pamięci jego czarne, ogromne, pałające oczy, które przy drobnym wzroście, bladej i delikatnej twarzy, a ironicznym uśmiechu na ustach, nadawały mu

wyraz jakiegoś Asmodeuszka; tem bardziej, że zawołany przez matkę i przedstawiony przez nią Adamowi jako piszący wiersze, spoglądał nań, jak mówi Adam, z widocznym wyrazem niechęci. — Ja tego sobie nie przypominam, ale wierzę, że tak być mogło. Już od dzieciństwa najwydatniejszą w nim cechą była jakaś szczególna, niepohamowana pycha, i niemniej osobliwsza przekora i drażliwość, kiedy przy nim kogokolwiek chwalono. Raz, pamiętam — na parę lat przedtem (miał wtedy może lat 10) — siedział na małym stołeczku przy ścianie, kiedy grono gości u matki rozmawiało o rzeczach literackich. Jedna z dam (bodaj pani Balińska) uwielbiała gorąco Rasyna. Zdania innych dzieliły się różnie, chociaż wszyscy zgadzali się na jedno, że Rasyń był wielkim poetą. Ale to właśnie tak oburzyło Julka, że zerwawszy się ze swego stołeczka i stanąwszy na środku pokoju, tak zaczął wygadywać przeciw Rasynowi i jego zwolennikom, że aż matka musiała go upomnieć o nieprzyzwoitość tonu, a ktoś z obecnych, uspakajając go niby żartem zrobił uwagę, że Rasyń nie zagrozi mu drogi do sławy, byle tylko sam na nią, jak on kiedyś, zasłużył. Otóż bardzo być może, że szerząca się właśnie w tym czasie sława imienia Adama obudziła w zawistnym malcu podobnego rodzaju uczucia, których pokrywać zwykle nie chciał czy nie umiał. To też ówczesny jego guwerner, wesoły nasz Józik (Józef Masalski, znany wierszopis), nazywał go pospolicie przez żart swoim półdyabłem, a na seryo upatrywał w nim podobieństwo z naturą owego karła w poemacie Walter-Scotta »Pieśń ostatniego Minstrela«, którego największą przyjemnością było robić na przekór i dokuczyć komuś. Józik mógł tego doznawać na sobie, bo co do mnie, nie mogę na to zgodzić się w ogólności. Widziałem przecież chwile i czułości jego dla matki i uprzejmości dla sióstr. Ja sam jednakże, wyznaję, pomimo najszczerzej chęci nigdy nie mogłem polubić go tak, jak czułem że byłbym powinien przez przyjaźń dla jego matki. A co mnie odpy-

chało najbardziej, to ta tak niezwykajna w dziecku, a ciągle jakaś ironia, z którą sam popisywać się lubił. Wrodzona mu już widać była ta jego właściwość, nigdzie jednak nie występowała na jaw wyraźniej, jak w stosunku z najbliższym jego towarzyszem i kolegą, Ludwikiem Spitznaglem, który znów pod tym właśnie względem stanowił najdoskonalszy z nim kontrast« itd. (Listów Odyńca tom II str. 220 i nast.)

3. O tym przyjacielu szkolnym Juliusza bardzo ciekawe podaje szczegóły Odyńiec w innem miejscu dzieła swojego. Przytaczam je tu dla zaokrąglenia obrazu, który ja w mojem przedstawieniu dać mogłem tylko w zbyt ogólnych zarysach (na str. 14 tomu I).

»Do najbardziej fenomenalnych, że nie powiem genialnych ludzi, pod względem zdolności umysłowych, ale też i do najekscentryczniejszych pod względem rozbijania wyobraźni, przy dziecięcej prostocie i naiwności serca — może się bez przesady policzyć wspomniany tu Ludwik Spitznagel, towarzysz mój i przyjaciel od dzieciństwa, o którym przeto, na potwierdzenie tego założenia, czuję się w obowiązku powiedzieć tu słów kilka, a raczej przytoczyć kilka faktów, które lepiej niż wszystkie słowa pozwolą powziąć o nim istotne wyobrażenie«.

»Do piętnastego roku życia, to jest do czasu wejścia do uniwersytetu w roku 1821, czytał on już był: *Iliadę i Odyseję*, po grecku, *Eneidę*, po łacinie, *Jerozolimę Wyzwoloną*, po włosku, *Raj Utracony*, po angielsku, nie mówiąc już o niemieckiej *Messyadzie* Klopstocka i *Henryadzie* francuskiej. Czytał bowiem wyłącznie same epeje: a czytał nie tak dlatego, aby sam kiedyś epeję napisał, jak raczej aby się przez nie na bohatera jakiejś epeje wykształcił; a to znów nie dlatego, żeby sam tylko słynął u świata, ale żeby dla świata coś wielkiego dokonał. I w tem to było źródło i cecha wszystkich

jego ekscentryczności. Naukę zaś wspomnianych wyżej języków, zawdzięczał jedynie ojcu (profesorowi medycyny na uniwersytecie wileńskim), który sam biegły ich znawca, i widząc nadzwyczajną do nich zdolność syna, od pierwszych lat jego dzieciństwa, co dzień z nim po kilka godzin na tę naukę poświęcał. Prócz tego młody Ludwik, z własnej ochoty, nauczył się jeszcze od ojca, o ile ten sam umiał, po węgiersku; z gramatyki i dykeyonarza, nieco po hiszpańsku, a od sług domowych po litewsku. Chciał też koniecznie jeszcze nauczyć się po portugalsku, dla czytania w oryginale *Luizyady* Kamoensa, której przedmiot i bohater Vasco de Gama, był zwłaszcza, wraz z Kolumbem, bohaterem i ideałem jego wyobraźni: tylko że w całym Wilnie naówczas ani gramatyki, ani dykeyonarza portugalskiego nie było. Obok zaś tej znajomości tyłu języków, przyjął on jeszcze od ojca gruntowną znajomość botaniki, i innych nauk przyrodniczych, w których nie mniejsze miał zamiłowanie, jak i w historii spraw ludzkich. Szkoły skończył ze stopniem celującego ze wszystkich przedmiotów (prócz z matematyki), a w pierwszym roku chodzenia na uniwersytet, za konkursową do złotego medalu rozprawę po łacinie, otrzymał najpierwsze *accessit*. W tymże czasie, w przeciągu jednego roku, napisał bohaterskie poema w XII pieśniach, w oktawach: p. t. „*Oswo-bodzenie Wiednia*“, w którym profesor literatury Borowski, znakomity i surowy krytyk, upatrywał wiele pierwszorzędnych zalet i piękności, ale które sam autor po roku, w przystępie niezadowolenia, w piec wrzucił*.

*Z tego wszystkiego możnaby wnioskować, że pilna, nieustanna i cierpliwa praca pochłaniała wyłącznie całe jego życie. Tymczasem było całkiem przeciwnie. Nauka przychodziła mu prawie bez pracy, i jakby rzecz można, *nawiasem*; oddawał się jej też tylko chwilowo, prawda, że wtedy z gorączkowym zapałem. Intuicyjna bystrość pojmowania, i niesłychana, fenomenalna pamięć, zastępowały mu miejsce pilności. Głównym, ciągłym, istotnym przedmiotem

pracy jego i myśli, było gotowanie się do jakiegoś przyszłego bohaterstwa. Ku temu zmierzały nauki, ku temu wszystkie moralne i fizyczne ćwiczenia, które ciągle sam sobie zadawał. O dobrowolnym głodzie i bezsenności przepędzał nieraz całe dni i noce. W największe mrozy i skwary, w ulewne burze i pioruny, kiedy wszyscy kryli się w domach, on jeden wykradał się z domu dla nabrania w ten sposób hartu duszy i ciała. Nie przestając na próbach własnych, upoważniał i prosił przyjaciół, ażeby wymyślali dlań trudy i męczarnie, dla doświadczenia w nich siły i wytrwałości jego. I przyjaciele, niestety, byli tak niemądrzy, że przez żart zadawali mu istne katusze. Mając płeć delikatną i białą, niezgodną w myśli jego z ideałem bohatera, wśród największych skwarów w południe, kładł się na wznak na płaskim dachu lodowni w domu ojca, i mając obok konew wody, polewał nią i suszył w kolej na słońcu twarz swoją, ażeby mogła przez to zgrubieć i ogorzeć. W ciągu zaś tych operacji, z zamurzonymi oczyma, układał w myśli na pamięć ową swoją konkursową rozprawę lub poemat, których obojga część znaczną tym sposobem napisał*.

*Wschód, jako kraj cudów natury, niebezpieczeństw podróży i geograficznych tajemnic, nęcił szczególnie wyobraźnię jego. Tam on chciał szukać i spodziewał się znaleźć pole do ziszczenia poetycznych swych marzeń. W tej myśli, po skończeniu nauk w uniwersytecie, udał się do Petersburga, do Instytutu Wschodnich Języków, gdzie podczas trzyletniego pobytu, oprócz obowiązkowej nauki języków: tureckiego, perskiego i arabskiego, nauczył się z własnej ochoty po hebrajsku i po chaldejsku. Ale i tam jak w Wilnie, codzienny tryb jego życia nie przestał być również ekscentrycznym; a pozbawiony rodzicielskiej opieki z jednej, a pobłażliwości przyjaciół z drugiej strony: nieraz w zetknięciu z życiem rzeczywistym wystawiał go na gorzkie zawody, które przy jego wrażliwej naturze, rozgorączkowanej wyobraźni i braku praktyczności światowej,

zaczęły się, niestety, przeradzać w niesmak i odrazę do życia. Jak on zwykle mało je cenił, a raczej jak się płocho na niebezpieczeństwo narażał, za dowód niech posłuży fakt jeden z pomiędzy wielu, który sam przez się może już dać miarę jego lekkomyślnej odwagi. Podczas pamiętnej powodzi w Petersburgu w roku 1828, w kilka miesięcy po jego tam przybyciu, kiedy się wszyscy zamykali w domach, on właśnie wyszedł na miasto, aby się skutkom tej klęski przypatrzeć i wrażeń jej doznawać na sobie. Zaskoczony zalewem na jednej z pomniejszych ulic, biegleści swej w pływaniu i gimnastyce winien był tylko ocalenie swoje. Pasując się albowiem z unoszącą go falą, chwycił się ręką za żelazną kratę krużganku pierwszego piętra, i wdrapawszy się po niej na sam ganek, wszedł stamtąd do wnętrza domu, gdzie zdumieni i przerażeni mieszkańcy z największą go uprzejmością przyjęli. Ale się gorzej rzecz miała z doświadczeniem na sobie skutków truciźny, do której chciał przywyknąć na wzór Mitrydata. Przebrał dozę i poczuł niebezpieczeństwo. W tej chwili przypomniawszy z żalem rodziców, przypomniał też szczęściem antidotum, o którym słyszał od ojca, i zażywszy go jeszcze w porę, uratował się wprawdzie od śmierci, ale długiem cierpieniem nieroztropność swoją przypłacił. To wszakże uleczyło go wtedy z manii samobójstwa, i mówiąc mi później o tem, złożył najuroczystszą przysięgę, że się już nigdy odtąd na swe życie nie targnie. Zapomniał o niej, niestety, pod wpływem chwilowego wrażenia, czy raczej gorączkowego obłądu, który go niespodzianie ogarnął. Stał się był właśnie u celu swych życzeń. Mianowany dragomanem przy misyi w Egipcie, udawał się już tam z radością. W chwili wyjazdu z Wilna (1827 roku) pisał do mnie list do Warszawy, zapowiadając dzień swego przybycia, i zaklinając na wszystko, abym go przeprowadził do Krakowa. Tymczasem w parę dni potem, wstąpiwszy na dzień jeden po drodze do domu przyjaciela rodziców, tamże — bez żadnych słusznych ku temu powodów i bez

czyjejkolwiek w tem winy — wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał«.

»Dla uzupełnienia tego rysu, należy tu dodać jeszcze słówko o jego charakterze moralnym. Do wrodzonej czułości i łagodności serca, łączył on rzeczywiście heroiczne przymioty: entuzjazm, ufność, szczerość, odwagę, hojność i poświęcenie: — na nieszczęście, wszystko bez granic. Wszystko to bez podstawy w życiu wewnętrznym, a bez roztropności w praktycznym, czyniło go wciąż tylko albo igraszką wyobraźni własnej, lub ofiarą cudzej rachuby; co znowu, na przemiany, z chwilowych uniesień wtrącało go w zwątpienie i rozpacz. Los Ikara to obraz jego. Wzlatął nazbyt wysoko, i utonął w przepaści«. (Listów z Podróży tom II, str. 226 i następne).

Tyle więc z dzieła Odyńca. Inne w niem miejsca, związek mające ze Słowackim, obacz w t. I na str. 131, 132, 134, 150; w t. II na str. 219, 222, 225.

III.

Już w ciągu druku tego nowego (drugiego) wydania nadarzyła mi się sposobność ujrzenia po raz pierwszy i przepatrzenia dwóch własnoręcznych pism J. Słowackiego, których mi w owym czasie, gdzien dzieło niniejsze z nowa układał (lat temu 15), nie tylko nie wiem czemu do użytku nie dano, ale ani nie pokazano: tak iż nawet o egzystencji tych dwóch rękopisów, w całości zachowanych, wcale wiedzieć nie mogłem. Są to rzeczy mało wprowadzie światła nowego rzucające na przedmiot, zawsze jednak godne wzmianki, choćby tylko w takiej oto krótkiej osnowie.

Owoż jeden z tych rękopisów, co do czasu dawniejszy, jest to zszyta całkowita książka, w formie średniej ósemki, objętości dość sporej; wypełnia ją z przodu (t. j. zaraz od początku samego) przez większą połowę książki idący, własną ręką poety, pobieżnie wprowadzie, ale bez żadnych poprawek prozą pisany francuski romans, o którym już wyżej (w tomie I na str. 71) nadmieniałem, że go Słowacki zaczął pisać w r. 1832 w Paryżu, w tej nadziei że przyniesie mu to dochód, dostateczny do pokrycia kosztów druku zostających w rękopisie jeszcze wtedy jego polskich poezji. Dowiadujemy się

tutaj, czego autor w listach swoich do matki nie wyraził, t. j. jaki miał być tytuł owej zamierzonej powieści. Brzmiał on: »Le roi de Ladawa« (nazwa wsi gdzieś na Ukrainie czy Podolu — królem Ladawy nazwany tu więc ów szlachcic bohaterem tej powieści będący — Marchocki). Przez ten manuskrypt stwierdza się rzeczywiście mój domysł, że na owych pierwszych pięciu, całkowicie wykonanych rozdziałach, o których mowa w liście poety, urwała się ta niewdzięczna, dla ubocznych tylko celów podjęta praca. Znajduje się tu co prawda jeszcze coś i z szóstego tej powieści rozdziału, jednakże to tylko początek, na paru kartach spisany. — Następuje potem w książeczce długa próżnia — karty niezapisane, czyste. A dopiero w samym już końcu tej książki powchodziły (później) do niej różne urwki, niezawsze dla czytelnika już zrozumiałe zapiski własnoręczne Juliusza, jako to kwoty dochodów, a jeszcze częściej wydatków jego na druk książek — notatki należytości od księgarzy — ilości egzemplarzy im powierzonych do rozprzedaży, słowem rzeczy czysto osobistej, gospodarskiej, mało dla trzecich osób interesu mieć mogącej treści.

— Drugi rękopis ma również taką samą postać całkowitej poprawnej książki, wprowadzie nieco większego aniżeli tamten formatu, lecz także ósemkowego. Był to widocznie raptularz, a raczej jeden z raptularzy, które poecie towarzyszyły w jego podróży do krajów wschodnich: notował on w nich pomysły, jakie mu po drodze przychodziły do głowy: zapisywał sobie plany całych poematów, jakie wtedy układał; rzucał nieraz całe strofy, nawet i dłuższe pieśni gotowe — jedne w czystym odpisie, drugie znowu w pierwszym, brulionowym dopiero rzucie, w takim razie z poprawkami, kreśleniami, przema-

zywaniemi licznych wyrazów albo i wierszy całych, a nawet i dłuższych jeszcze całości. Pisał on tu to wszystko to ołówkiem, to piórem. Osobna część takich raptularzy — zwykle dalsza, ku końcowi książki, była zachowana dla rysunków, t. j. widoków ruin i okolic zwiedzanych, których też i w tym manuskrypcie nie braknie. Są to pejzaże różnych miejsc w Grecyi i Egipcie, pewnie wiernie, lecz z niewielką zresztą sztuką zrobione. Między tymi krajobrazami jest i portret towarzysza podróży, Zenona Brzozowskiego, w całej jego postaci, w ubiorze turysty, ołówkiem wykonany. (Nadmieniam jeszcze, że to są inne rysunki, jak te, o których wspominam w tomie II. tego dzieła na str. 76).

Co się tyczy literackiej (a nie rysunkowej) zawartości w autografie, który tu opisuję: uważam za potrzebne dać tu wiadomość o następujących w nim rzeczach, jako uzupełniających dane w tekście opowiadanie moje o tej Słowackiego podróży, a w części i prostujących niektóre moje domysły.

1. Przedewszystkiem przypominam, com powiedział na str. 71 i 73 tomu II, że z pomiędzy pięciu listów, które Juliusz w ciągu tej swojej wędrówki do matki z różnych miejsc wysłał, dwa pierwsze rąk jej nie doszły i przepadły po drodze. Z tej przyczyny i my obecnie utworzyć sobie możemy dokładne wyobrażenie o podróży poety dopiero co do dalszej jej części, t. j. o ile się takowa odnosi do południowego Egiptu, Syrii, Palestyny itd. Peregrynacyi zaś jego początek — cała droga z Neapolu do Grecyi, następnie pobyt w Grecyi, i to wszystko co się do północnej części Egiptu ściąga — są to rzeczy o tyle nam tylko wiadome, że był Słowacki razem z Brzozowskim też i w tych stronach, bliższych dat jednak co do miejsc, które zwiedzili, i jak długo gdzie ba-

wili, nie posiadamy. Otóż na jednej z ostatnich kartek niniejszego raptularza dopiero dowiadujemy się o tem. Mamy tu dany ołówkiem współczesny i własnoręczny dzienniczek Juliusza, t. j. spis miast, przez które przejeżdżał — w którym dniu i miesiącu do każdego z nich przybył, i jak długo się gdzie zatrzymał. To więc uzupełnia poniekąd szczegóły nam niewiadome skądinąd.

Notatka ta ołówkowa, zresztą bardzo monosylabna, brzmi oto jak następuje:

Sierpień	24	Neapol
„	28	Otranto,
Wrzesień	2—4	Podróż (morzem),
„	4—8	w Korfu,
„	10	w Patras,
„	12	w Vostizy,
„	13	w Megaspoleon,
„	16	w Tripolizy,
„	17	w Napoli di Romania,
„	18	w Argos,
„	19	w Koryncie,
„	20	w Atenach,
„	27	z Aten do Syra,
„	28	w Syra,
Październik	12	z Syra do Aleksandryi,
„	20	w Aleksandryi,
Listopad	1	w Kairze,
„	6	z Kairu,
„	13	w Siout,
„	19	w Denderze,
„	26	w Philae,
„	30	w Tebach,
Grudzień	10	w Kairze,
„	15	z Kairu,

Grudzień 22 w El-Arish i kwarantana,
Styczeń 2 z El-Arish.

Na tem się dzienniczek ten topograficzny urywa.

2. W tomie II. na str. 82 (dzieła niniejszego) dałem opowiadanie, własnymi Słowackiego wyrazami, o przepędzonej przezeń w Jerozolimie samotnej nocy przy grobie Chrystusa, w kościele, do którego się na noc całą dał zamknąć. »Zostałem sam, mówi w liście do małki, i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu« itd. Otóż w rękopisie obecnym znalazłem miejsce z wpisaną doń ołówkiem następującą niedokonczoną strofą, która się do owej chwili treści swoją, choć nie czasem, jak przypuszczam, odnosi. Widać z całego jej układu, że to pierwszy zaród pomysłu, zaledwie ujęty w słowa.

»I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
To rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś o Chryste.
Skarzyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu«.

3. Powyższy ołówkowy urywek mieści się gdzieś w środkowej partyi książki, którą tu opisuję. Początek zaś jej, a raczej cała pierwsza połowa onej, zajęta jest przez własnoręczny, niewątpliwie na czysto już odpisywany, nie ołówkiem ale atramentem i piórem wciągnięty tekst poematu, który w wiadomej fragmentarycznej postaci mamy zamieszczony w tomie I. mego wydania z r. 1866 »Pośmiertnych pism«, pod tytułem *Podróży na Wschód*. Nadmieniam tutaj, że wtedy dałem tu drukować poemat rzeczony nie z autentycznego rękopisu poety, bo tego

nie miałem, ale tylko z kopii, jaką mi do tego użytku dano, z kopii zrobionej przez wuja poety, niewątpliwie z tegoto właśnie rękopisu, nad którym się tutaj zastanawiamy. Owóż zauważyć tu muszę, że wprawdzie i w autografie niniejszym niema z tego poematu nic więcej, jak tylko owe sześć pieśni, które dałem oddrukować w edycji pism pozgonnych, jednakże liczenie tych pieśni jest w Ms. inne. »Pieśń pierwsza« (*Wyjazd z Neapolu*) podana jest i w tym autentyku jako pierwsza pieśń; lecz »druga« tam pieśń (*Statek parowy*) ma tu w nadpisie nazwę trzeciej pieśni, a taksamo i »trzecia« pieśń drukowanej edycji (*Grecya*) dana tu jest jako pieśń czwarta itd. aż do samego końca. Przez co nie sześć, ale siedm więc pieśni obejmował ten poemat — z brakującą jednakże tu drugą pieśnią, którego to opuszczenia przyczyny wyjaśnić sobie nie umiem (o wydarciu takowej bowiem kiedyś z zeszytu tego mowy być nie może, gdyż cały stan i pozór manuskryptu bezwarunkowo to przypuszczenie uchyla). Wuj poety, odpisując z niego swoją kopię w kilka lat po śmierci Juliusza, snać sądził, że ten skok od razu z pieśni »pierwszej« do »trzeciej« był tylko prostem pomyleniem, i odpowiednio do tego samowolnie zmienił tu liczebny porządek. Jednakowoż niewątpliwie pomylił się; braknie tu bowiem pieśni »drugiej« w samej istocie. Wszakże mamy w pieśni pierwszej same tylko rzeczy do Neapolu się odnoszące, z którego to miasta nasz poeta dnia 24. sierpnia w drogę się puścił. Czytamy tam zaraz w zwrotce pierwszej (str. 123 tomu I): »Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto, Korfu... gdzie jądę? — powie drugie canto«. Ta droga z Neapolu przez Pulią (Apulią) aż do Otranto, miała oczywiście być odbyta lądem. Jakoż wypowiada to wyraźnie i sam poeta — w zwrotce ostatniej pieśni I (str.

132): »Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lecce«. Miasto Lecce leżało mu po drodze do Otranto; stąd dopiero miał on się morzem puścić do Korfu. Owoż oczekujemy w pieśni rzeczywiście drugiej na pewne poetycznego opisu owej jazdy lądowej przez Pulią, i jakichkolwiek też wspomnień z popasów w Lecce i Otranto — a cóż dopiero czegoś o przeprawie przez Adryatyk do Korfu, i o samej tej wyspie Korfu. Tymczasem niema o tem wszystkim w poemacie ni słowa. Podróż ta z Neapolu do Korfu zajęła im dużo czasu (od 24 sierpnia do 4 września); w samym Korfu popasali 5 dni wedle owego ołówkowego dzienniczka (od 4—8 września). Nie miałyby te wszystkie, to lądem, to morzem odbyte przejścia dostarczyć Juliuszowi przedmiotu ani do jednej pieśni? Niepodobno temu uwierzyć! — Pieśń trzecia (w edycji »drugą« nazwana) opisuje wprawdzie »Statek parowy« i żeglugę na nim, ale to w dniach już następnych, po wyjeździe z Korfu.

»Już zbłękitniało Korfu — już się kryje«

czyli już ginie z oczu w oddali (str. 136). Podróżni nasi przesuwają się już wtedy koło Santa-Maura — »w starożytności zwała się Leukadą« — i następnie dobijają do wyspy Zante (str. 139), na której się jednak nie zatrzymują, gdyż im spieszo do Patras¹⁾, w którym też stanęli dnia 10 września. O tem mieście i okolicznych, w oddali stąd widnych punktach (Missolonghi itd.), fantazyuje potem pieśń czwarta (w edycji »trzecią« nazwana, str. 141). W następnej, t. j. w »czwartej« a rzeczywiście pią-

tej pieśni, opisana »Podróż konna« z Patras ku lichej wiosce Vostizy (działo się to d. 12 września); w szóstej (str. 162) fatalny nocleg w tej nędznej dziurze — a pieśń siódma (ostatnia) ma za przedmiot wypoczynek w bogatym klasztorze *Megaspoleon* (który zwiedzili dnia 13 września wedle zapiski w dzienniczku).

Tymto więc szlakiem — przez Patras, Vostizę, Megaspoleon, a potem Tripolizę i Napoli di Romania — zdążali nasi podróżni do Argos, w którym spędzili dzień jeden (18 września). Dnia następnego (19 września) dotarli do Koryntu (czy przez Mykeny?), a już nazajutrz potem stanęli w Atenach, w których bawili przez cały tydzień, od 20—27 września. Stąd wreszcie na wyspę Syra (dawne Skyros) zawrócili się do Egiptu — na razie do Alexandryi.

Cała ta część więc greckiej podróży poczynszy od Tripolizy, nie wchodzi już w skład poematu, o ile się takowy mieści w autentyku, będącym przedmiotem mego tutaj opisu. Po pieśni siódmej »*Megaspoleon klasztor*« zatytułowanej, odpis dokonany na czysto i jak widać z ostatniej pochodzący już ręki, urywa się w tej książeczce. Na dalszej potem kartce następuje wprawdzie (NB. brulionowy, często przekreślany) początek pieśni ósmej, poświęcony wspomnieniu »*Napoli di Romania*« (w którym to punkcie stanął i nocował Słowacki w dniu 17 września). Jednakże po kilku strofach przestał już tę pieśń ciągnąć dalej nasz autor, a nawet i to co z niej napisał, potem przekreślił. — Daję tu początek tej pieśni dotąd nigdzie nie drukowany.

»Pieśń VIII.

Napoli di Romania.

Gdzie nasz Neapol — i morze — i ganek?
Skąd widać było dwa białe miesiące,

¹⁾ »Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie«. (str. 141).

Skąd widać było wybrzeże — i wianek
Białych żagielków — i światła pływające
Pod żagielkami — gdzie ostrzygi szare
Ze srebrną piersią — i frutti di mare?

Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,
Żagiel przy żaglu — przy świetle światła,
I tych światelek na brzegu bez liku,
A każde swoje białe ma skrzydełko,
Jakby gwiazdeczek jakich nowych plamię,
Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.

Czarowny widok — czarowne wieczory!
Ciebie zachwycił zgiełk ludzi i tęcza,
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Nad błękitnawem morzem w pół obręcza.
Jam patrzył w księżyc — co lotem aniołów
Puszczał się w błękit — z mogiły popiołów¹⁾.

Dziwnie! Dziś jestem w mieście — miniaturze
Znanego Tobie Neapolu. Domy
Zaległy tutaj ponadmorskie wzgórze,
Forteca weszła na szczyt skały stromej,
Mniejsza zaś druga w ocalałym lazuru
Weszła się kąpać — jak Castell dell' Ovo.

¹⁾ Wariant tej trzeciej zwrotki opiewa:

Czarowny widok — czarowne wieczory —
Ciebie zachwycił ów zgiełk — owa tęcza —
.....
Jam czekał cichy, aż po ławy ścianie
Drący się księżyc wejdzie na szczyt — stanie;
Aż spojrzysz na mnie z ogromnej mogiły
Czarnych popiołów. — I mnie także trzeba
Na jakim wielkim grobie nabrać siły,
Nim się puścimy w świat.... nie drogą nieba.

Morze błękitne — i góry z mgłą siną,
Lecz nie tak ścięte jako cukru głowa
Ani jak krater...«

(Więcej niema).

Podobieństwo zatem nazwy tego miasteczka greckiego (Napoli) przypomniało tu pocie tamten wielki, razem z Teofilem Januszewskim niedawno przedtem zwiedzany, włoski Neapol. I cała ta pieśń niniejsza miała objąć w sobie jeszcze jedno dalekie echo z dni z nim razem tam spędzonych, a przynajmniej sam jej początek otrzymał tę formę zwróconej wprost ku Teofilowi odezwy. Zdaje się, że właśnie też ta okoliczność, ten mówię psujący ciągłość poematu uskok i nawrót do Neapolu włoskiego i do dni po za obrębem tej wędrówki leżących, spowodował potem poetę, że ten początek nowej pieśni jako w tem miejscu niestosowny przekreślił, a natomiast — bezpośrednio zaraz po tych przemaszanych tu strofach — wpisał na dalszych tego zeszytu kartach oddzielny, inną formą poetycką wykonany wiersz, w którym też odnajdujemy *tesame*, co tam myśli, choć inaczej wypowiedziane, mianowicie ów wiersz znany »Do Teofila Januszewskiego« (mamy go w Pism pośmiertnych tomie I na str. 38 i nast.)

Dalszego zato ciągu właściwego poematu o Podróży, niema już wcale w tym manuskrypcie; zapełniają go bowiem odtąd, jak się wyżej już powiedziało, inne chaotyczne, przeróżnej treści, brulionowe i ołówkowe zapiski, a wreszcie rysunki.

Pewną wszelako jest rzeczą, że się praca nad tym poematem, tutaj przerwanym, mimo wszystkiego i dalej jednak jeszcze ciągnęła — tylko że autor te pieśni dalsze już do innego jakiegoś raptularza zaciągał. Z tego to drugiego skryptu niewątpliwie po-

chodziły owe karty wydarte, własną poety ręką pisane, które się w r. 1867 w czyichś rękach odnalazły w Paryżu, i których tekst za pośrednictwem Kaplińskiego został publikowany w krakowskim *Przeglądzie Polskim* (zeszyt styczniowy r. 1868), a stąd wszedł potem i do najnowszej z r. 1880, t. j. lwowskiej Gubrynowicza edycji dawniejszych dzieł Słowackiego (Tom I. str. 34). Mamy w tych strofach: szczyłek pieśni VIII t. j. samkoniec tej pieśni — a następnie i początek, prawie połowę dziewiątej pieśni. Osnowa całej prawie pieśni ósmej (późniejszej redakcyi, zamiast strof powyżej tu przytoczonych) zatem przepadła: musiała ona odnosić się do dni spędzonych w drodze z Napolii di Romania do Argos a może i do Koryntu (trwało o od 14 do 18 albo 19 września). Wiersz (już z dawniejszych czasów wyjątkowo znany) »Grób Agamemnona« stanowił w niej jeden z przedostatnich ustępów; a potem szło to co mamy w Gubrynowiczowym wydaniu p. t.: »Ustęp z Podróży na Wschód« (str. 34—35 tomu I) jako koniec tej VIII pieśni. Dwie te całości (Grób Agam. i »Ustęp«) stykały się podobno z sobą w owym paryskim autentycznym fragmencie, przysłanym w kopii Przeglądowi Polskiemu do ogłoszenia. — Zaraz potem następował w tym fragmencie początek »pieśni IX«, z reminiscencyami głównie dotyczącymi Koryntu (str. 36 i nast. w edycyi Gubr.) — a dopiero od tego miejsca począwszy, wchodził przerwa jak dotąd niczem niezapełniona.

Powyższe wyjaśnienie — ostateczne moje zdanie o tej kwestyi zawiłej — niech więc posłuży na uzupełnienie tego wszystkiego, com w dziele tem mojem w miejscu odnośnem (Tom II str. 102), w tekście i w nocie doń należnej, o tem powiedział. Obecna nasza wiadomość o »Podróży na Wschód« redukuje się więc do tego, że było niewątpliwie wyko-

nanych co najmniej dziewięć pieśnitégo poematu. Druga pieśń w całości przepadła — z ósmej mamy tylko koniec — z dziewiątej początek. A czy było i więcej pieśni? — tego wiedzieć nie można.

4. Teraz dołączyć do tego muszę dwa sprostowania.

Pierwsze niech dotyczy pytania: kiedy pisany był ten poemat? Wypowiedziałem wyżej (tom II str. 101) domysł, że praca nad tym utworem przypada na lata spędzone w Florencyi, po powrocie już poety z podróży, t. j. na rok 1837 albo 1838. — To w każdym razie będzie mylnem. Poeta mógł w Florencyi ten swój poemat przekształcać, przepisywać itd. choć i to jest wątpliwem — ale pierwsza koncepcya tych pieśni była niezawodnie współczesna z samą podróżą. Po drodze — na okręcie, na popasach, w chwilach wypoczynku — musiało to być pisanem. Dziwne to wprawdzie, że nasz wędrowiec zamiast w podróży oglądać i zwiedzać to wszystko, co było do widzenia, wolał się raczej zanurzać w swoich papierach — ale jednakże tak było! Przychodzimy do tego wniosku w ten sposób. W raptularzu, o którym tyle tutaj mówimy, znajdują się najprzód (zaraz od pierwszej karty) wpisywane już na czysto pieśni: pierwsza, trzecia, czwarta, piąta, szósta i siódma. Potem (zaraz na karcie następnej) widzimy w nim ów brulionowy (później skasowany) początek pieśni ósmej z napisem Napolii di Romania. Zaraz dalej następuje — znowu tylko brulionowym sposobem rzucony, więc w pierwszym koncepcie — ów wiersz »Do Teofila Januszewskiego«, w którym myśli, wypowiedziane w przekreślonym początku pieśni ósmej, lepiej może, a w każdym razie inaczej, lecz w tymże sensie zostały przeprowadzone. O tym

wierszu wiemy na pewne, że był napisany w Egipcie w Alexandryi, d. 22 października (r. 1836). Oczywiście wiersz ten musiał być późniejszym co do czasu utworem, aniżeli przekreślony początek pieśni ósmej: wszakże bowiem w autografie idzie dopiero po nim i zawiera w sobie rzeczy i tam już powiedziane, a następnie cofnięte. A ten znowu wcześniejszy od wiersza rzeczonego początek pieśni ósmej musiał być w każdym razie późniejszym, aniżeli pieśni, co go poprzedzają w autografie autora. A zatem, cały ten szereg pieśni (od I do VII) musiał być skoncypowany w Grecyi jeszcze i na okręcie, nim poeta przybył do Alexandryi.

Kiedy i gdzie znalazł on czas, te pieśni nie tylko w pierwszym rzucie złożyć, ale nawet i na czysto przepisać do tej książki? tego nie rozumiem. Ale że jednak tak było — o tem wątpić nie można¹⁾.

Pieśń II tutaj przeskoczona, mogła być z jakichkolwiek powodów zaciągnięta do drugiego takiego raptularza, do którego i owe pieśni dwie dalsze t.j. ósma i dziewiąta, jak przypuszczam, były wpisane.

Drugie sprostowanie daję co do tytułu. Powiedziałem na str. 103 (tomu II), że pierwotny tytuł tego poematu był *Podróż z Neapolu do Ziemi Świętej*, i że to ja dopiero zastąpiłem go napisem *»Podróż na Wschód«*, a to z przyczyn, z których się tam tłumaczę. Otóż teraz oświadczyć muszę, że ów mniemany *»pierwotny tytuł«* wynikał dopiero z głowy wuja Juliusza, z którego kopii jedynie mi

był wtedy znany ten utwór. Na tejto kopii był taki tytuł. Ale w autografie poety niema żadnego. Poszczególne pieśni mają w nim wprowadzie swoje, i w drukowanej edycji zachowane napisy. Lecz generalnego tytułu dla całej tej kreacji, niema tu nigdzie¹⁾.

¹⁾ Rękopis poematu wraz z owemi notatkami, pisanymi ołówkiem, z rysunkami i akwarelami (widoki Grecyi, Kairu i ruin egipskich), wszystko razem w jednym sztambuchu, jest dziś własnością p. Leopolda Méyeta w Warszawie.

¹⁾ Najprawdopodobniej przepisał Słowacki „Podróż na Wschód“ w Hermopolis, porcie wyspy Syry, gdzie musiał czekać od dnia 28 września do 12 października na okręt idący do Alexandryi.

— Na str. 75 zamiast »Do L. Nabelaka« daj do Ludwika Norwida.

— Na str. 85 brakująca zwrotka jest taka:

Pośrodku tron ujrzałem zboczony i czarny,
Na którym usiadł straszny duch — niedźwiedź polarny.
Figura z krwi i ciała, ohydna i tłusta,
»Mocarz« zapowiedziany w proroctwie oszusta.¹⁾
Przed jego pożyczoną od Mongołów mocą
Szkielety waryatów kładną się, gruchocą,
Podłą się i za podłóż mu składają dzięki.
Słychać trzask czaszek — gruchot piszczeli i jęki.

Na str. 86, po ostatnim wierszu, w tymże samym urywku, następować miał taki wiersz:

Swojej dawnej Ojczyzny-matki stanął wrogiem....

Na str. 103 w urywku XXX, w czwartym wierszu, wstaw w miejsce wypełnione kropkami wyraz Habsburg.

2. Po tem wszystkiem, nie od rzeczy też pewnie będzie bodaj w tem miejscu uzupełnić kilku słowami to com w rozdziale XIII dzieła tego (w T. II, str. 250) powiedział, że chodziło Słowackiemu, kiedy pisał Beniowskiego, szczególnie o schłostanie »Młodej Polski« i poznańskiego »Tygodnika Literackiego« jako tych właśnie pism czasowych, w których najczęściej w owych latach gozaczepiano. — Co do pierwszego z tych dwóch pism, uważam za potrzebne dać tu wyjaśnienie następujące:

¹⁾ Czyby mowa o Towiańskim być miała? (P. A.)

IV.

1. W mojem wydaniu pism pośmiertnych Słowackiego, musiałem w tomie I szym w kilku poezjach pozostawić niektóre miejsca zapełnione tylko kropkami — bądź dlatego, że miałem wtedy rękopisy zdefektowane, bądź z innych przyczyn. Obecnie jestem w stanie w małej części uzupełnić te kropki tekstem.

I tak, na str. 50 (w Rozmowie z Piramidami) ma brzmieć ostatnia zwrotka tak:

Piramidy, czy została
U was jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha,
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny.
My umarłych tylko znamy
A dla ducha trumn nie mamy.

— Na str. 54 w pierwsze kropkowane miejsce wstaw »Z tronów« — w drugie »I car«.

Młodej Polski, przez cały trzyletni czas jej istnienia (1838—1840) wydawcą, a zapewne i redaktorem głównym, był Eust. Januszkiewicz. Między Januszkiewiczem samym a Słowackim nie było właściwie zasadniczej niechęci — owszem, zostawali oni do siebie w stosunku raczej przyjaznym, i to od dawna. Lecz Młoda Polska przyjmowała niekiedy od trzecich osób recenzje, które później nawet sama tego pisma redakcja uznawała za »niesprawiedliwą krytykę« — i tego właśnie recenzje jątrzyły poetę naszego. I tak, pojawiła się tu była jeszcze dnia 21 marca 1839 r. (w Dodatku do Nr. 8) niedługa wprowadzicie i nie można powiedzieć, żeby jawnie nieżyczliwa, a jednak w pewnej mierze niesłuszna, a w każdym razie zbyt goryczą zaprawiona wzmianka o Trzech Poematach J. Słowackiego i o Poemacie o piekle Dantyszka. Pisał ją jakiś »Z. K.« emigrant, którego nazwiska się nie domyślam: nie wiem nawet, czy to nie były litery dowolnie tylko przez kogo, inaczej się nazywającego, przybrane. Do tego też pana Z. K. przedewszystkiem odnosi się owo miejsce w Beniowskim (w pieśni III):

»Imię krytyki? — nie! krytyków! — A ba!

Któż z nich ma imię? — Z. K. — S. K. — E. K.

Mówią, że Młodą Polskę pisze — baba!« itd.

Otóż ten krytyk, za literami Z. K. schowany w artykułiku powyższym, przyznaje wprowadzicie, że »nie zna poety, coby miał równy talent wykonania« co Słowacki; przyznaje mu »urocząświatność formy«, upatruje i w świeżo wydanych Trzech poematach »uznaną piękność stylu«. A jednak pomimo tego wszystkiego nie rokuje tej publikacji tego wpływu, tego rozgłosu w narodzie, »ile mybyśmy życzyli«. Ojciec Zadżumionych, powiada, jest to tylko

»przerysowanie« znanego ustępu o Ugolinie w Boskiej Komedyi Danta. »W Szwajcaryi« (wedle niego) »należy do tej osobowej poezji, która gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniuszu — zajmuje zwykle więcej samego pisarza, niż czytelników«. Wacławowi nakoniec robi także różne zarzuty (zresztą uzasadnione i w oczach naszych). Z sarkastyczną zaś złośliwością rzuca się na Poemat o piekle, korzystając z bezimienności tej publikacji i udając ironicznie, że się wcale niedomyśla, kto tego autorem.

Oto są słowa krytyka:

»Poemat o Piekło nie nosi nazwiska autora — ostrożność bardzo na miejscu! Nie wiemy, kto się dopuścił tego eudaictwa; czy jaki człowiek talentu napisał to na żart, dla wypróbowania publiczności — czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobra dusza, radzimy mu, aby tytułów jakie mieć może do pocziwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety«.

Poemat o Piekło był rzeczywiście poronionym utworem: ale można to było wypowiedzieć bez żółci i bez tej niby dobrodusznej ironii. Przecież w redakcyi Młodej Polski bardzo dobrze wiadano, czyje to dzieło. Sam Januszkiewicz zajmował się jego drukiem; autor bowiem przebywał wtedy jeszcze we Florencyi, kiedy rzecz ta była pod prasą.

Na tę zaczepkę nastąpiła odpowiedź poety — dał ją w następnym zaraz numerze Młodej Polski, w Dodatku do Nru 9, z d. 30 marca 1839. Nosi napis: »Kilka słów odpowiedzi na artykuł Pana K. Z. o poezjach J. Słowackiego«. Jest podpisana całym imieniem autora i ułożona w formie jawnej, t. j. osobistej z jego strony repliki. Redakcyja poprzedziła to

kilku słowami od siebie — usprawiedliwiając zamieszczenie tamtego artykułu uwagą, że »krytyka nawet niesprawiedliwa lepsza jest dla poety od zimnego milczenia obojętności, rozumieliśmy więc, iż robimy przysługę (!) P. Słowackiemu, dając miejsce jakimubądź objawieniu myśli Polaków o poezjach jego« itd.

Odpowiedzi Słowackiego nie będę tu już w całej osnowie przytaczał; nadmienię tylko, że powiada w niej poeta, iż jeżeli mu pan K. Z. (w innych miejscach nazywa go i panem Z. K.) zarzuca, że jego poezye, pomimo wytworności kształtów, tak mało mają odgłosu w Polsce, to tem dotknął wprowadzić najgłębszej struny jego sumienia; ale powodów tego zjawiska bynajmniej nie odsłonił, chociaż chciał przez to wszystko, co wyrzekł, owo pytanie rozwiązać. — »Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którym ja jak Hamlet rozmyślam, a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi dopiero mojemu zostawi«. Jak na teraz, tłómaczył sobie poeta ten brak spójni między krajem a jego natchnieniami tem oto trojgiem przyczyn. Na pierwszym i głównem miejscu: okolicznością, że pierwsze tomy jego poezyi były, jak sam powiada »bez duszy«. »Imaginacya moja, młoda jak motyl, wabiona była połyskiem, słońcem, kształtami, kiedy je pisałem. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy jako artysta — ludziom, którzy bynajmniej o artystostwie nie myśleli, ważną i okropną tragedją rzeczywistą zajęci. Pierwszymi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego — i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej; albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząść

mogli i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety.« Do tego najważniejszego, dołączał Juliusz jednak i dwa jeszcze powody: z jednej strony »trochę wyrachowaną obojętność« ze strony tych poetów naszych »którzy podobnie do ministerów politycznych, związawszy się niegdyś razem w opozycją przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom partyą Osińskich i Koźmianów«. Z drugiej strony wskazywał na »wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest ostatni pana Z. K. artykuł«. »A jeżeli krytyk do tego wszystkiego jeszcze doda, że Polska terazniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada — nie serce, ale mózg i rozum: wtenczas może i sam zrozumie, dlaczego poezye Słowackiego są bez rozgłosu«....

Tą odpowiedzią poeta recenzenta jednak bynajmniej nie rozbroił, ale tylko rozjątrzył. Sprawdziły się w rzeczy samej słowa redakcyi Młodej Polski, wypowiedziane w nagłówku do tej jego repliki: »Wolelibyśmy okazać w inny sposób naszą życzliwość P. Słowackiemu. Ale skoro chciał umieszczenia swej odpowiedzi, wypadało nam się stosować do jego woli. Bogdajby był szczęśliwym swoich losów prorokiem!« — Napadł bowiem już po kilku miesiącach tenże sam K. Z. czy Z. K. choć tym razem chryi swojej nawet temi literami już nie oznaczył, na jego Balladyne i z jadowitą nieżyczliwością, zupełnie w intencye autora nie wchodząc i oczywiście już bredząc, starał się dzieło to obrócić w nicość, a w poecie tylko próżność i śmieszna dumę odsłonić. Pojawiła się ta wątrobiana krytyka w Nrze 29 tegoż pisma dnia 10 października 1839 r. i zajmuje kilka kart (str. 337—344).

Takie były więc powody żalu poety naszego do Młodej Polski. Ściągnęły one na jej wydawcę nazwa-

nie go, wypowiedziane w Beniowskim — »babą« (która przyjmuje bez braku, co tylko jej kto do oddrukowania nadesła), ale zerwania zupełnego z Januszkiewiczem to jednak nie spowodowało. Przeciwnie, w roku 1840 pozwolił mu Juliusz ogłosić w swoim dzienniku (w Nrze 17 z d. 20 czerwca) wiersz »Na sprowadzenie prochów Napoleona«, który dnia 1 tego miesiąca ułożył, jak to data pod nim poświadcza, i podpisał go całym swoim nazwiskiem. I nie poszczędziła też redakcja temu wierszowi pochwały, w gorących wypowiedzianej wyrazach. Zaproszenie Słowackiego na ucztę dla Mickiewicza w końcu roku 1840 i przyjęcie przez Juliusza tej inwitacji, świadczą o trwającej i w dalszych czasach pomiędzy nimi, t. j. redaktorem Młodej Polski a Słowackim, harmonii. Ale niechć do pana Z. K. ta tłała w sercu jego i stądto owo miejsce w Beniowskim.

V.

Pod koniec r. 1873, a zatem we 24 lata po zgonie Słowackiego, zwiedzała para rodaków naszych, odbywając podróż w Szwajcaryi, owo miasto, w którym Juliusz najciekawszą może część życia swojego spędził — Genewę. Pośród wspomnień wielu mężów, w różnych zawodach wsławionych, którzy się albo zrodzili w tem mieście albo też dłużej w niem jako stali i naturalizowani przebywali mieszkańcy, a których imionami obecnie ponazywane są place i ulice tamtejsze: nie przepomnieli o tem podróżni nasi, »że nad wszystkie owe imiona, drogie tubylcom, znajdujemy w tej ojczyźnie Russa jeszcze i inne — droższe nierównie dla nas. I one także, choć ich ni dłótem ni rylcem nie uwieczniła Genewa, przyrosły zarówno do jej murów, a jeszcze silniej przyrosły do serc naszych«. Wszyscy niemal poeci nasi generacyi Mickiewicza i Krasińskiego znajdowali po drogach swoich to miasto kwitnące nad przezroczami Lemanu — w dłuższym lub krótszym pobycie swoim w tych murach zaczęli, kończyli utwory oni tu swoje, lub też zaczerpywali do nich natchnień, tak iż to miejsce na zawsze ze wspomnieniami naszemi o nich się spłótło.

Imię Juliusza więcej niż którekolwiek drugie zespółiło się w ten sposób z Genewą.

W następstwie dni kilku pod wpływem takich wspomnień i wrażeń w owym miejscu przeżytych, podróżujący ziomkowie nasi, o których wyżej nadmienilem, dali w Bibliotece Warsz. (1874, Tom I str. 326) zamieścić nader zajmujące opowiadanie, z którego pozwalam sobie kilka ustępów tutaj dosłownie przytoczyć, o ile się przyczyniają do uzupełnienia rzeczy dotyczących mego poety.

...»Cześć nasza dla talentu poetycznego Juliusza sprawiła, żeśmy pragnęli sięgnąć do gruntu w pobudki natchnień, jakie czerpał w Genewie. Szczęśliwe okoliczności posłużyły nam nad wszelkie oczekiwania. Żyje tu jeszcze osoba, która w wielkiej części była dla Juliusza tem, czem Ewunia była dla Adama. Poznaliśmy ową Eglantynę, o której tyle czytamy w listach Juliusza do matki...

»Nie owa to już Eglantyna, jaką wspomina tyloktrotnie Juliusz, mieniając ją swym opiekuńczym aniołem: nie owa to Eglantyna, z którą zrywał fiołki w Pâquis: której wypowiadał wszystkie tajemnice serca swego pod cieniem stuletnich jodeł; która w dniu imienin przyniosła mu pierścionek, symbol wiecznej przyjaźni. Wprowadzeni do jej domu, ujrzelismy siedmdziesięcioletnią matronę w żałobie — w czarnych okularach — pokrywających oczy, zagaste od lat wielu.... Na obliczu jej, w każdym ruchu, maluje się powaga, złączona z nieporównaną słodyczą. Rysy pociągłe, pełne znaczenia, przypominały nam wyryte w medalionie popiersie Klaudyny: na ustach zwiędłych spoczywa łagodny uśmiech, znak prawdziwej dobroci. Mimo wieku zachowała dwa rzędy równych i drobnych zębów, które niegdyś zapewne świeciły jak dwa sznurki pereł w koralowej oprawie. Głos jej czysty, śpiewny, wnika do głębi

duży, jak dźwięk zakłętego dzwonka. Nie dziwimy się bynajmniej, że ten pieszczony głosik, podniesiony rzewnem i głębokiem uczuciem, mógł niegdyś oczarować poetę. Co najwięcej nas uderzyło, a szczególnie było nam pożytecznem, to niesłychana jej prostota, cechująca prawdziwie wyższy umysł.

»Pożyteczną, mówimy, była nam owa prostota pani de Lupé, bo tak dziś zowie się Eglantyna: wyszła za mąż za pułkownika de Lupé, którego zaślubiła w dość późnym wieku. Trudnem było w rzeczy samej położenie nasze. Jak tu przystąpić do głównego wątku naszych odwiedzin? Jak wspomnieć imię Juliusza wobec nieznanej nam osoby? Jak tu przypomnieć chwile dawno ubiegłe, od których dzieli nas przepaść lat czterdziestu? Lękaliśmy się dotknąć bolesnej rany, lub posłyszeć zimne słowo, nie dopuszczające dalszych badań. Nie mieliśmy na usprawiedliwienie nasze słów wyrzeczonych przed laty kilku do Ewuni, że uczucia jej i pamiątki należą nie do niej tylko, lecz do narodu; bo wszakże naród Ewuni nie jest narodem Eglantyny. Tak sądziliśmy zrazu — a przecież z pierwszego słowa Genewki odgadliśmy, że kraj Juliusza został dla niej jakby drugą ojczyzną.

»Eglantyna sama z nieporównanym taktem złamała pierwsze lody. Sama rzekła zaraz po powitaniu: Wiem, co was tu sprowadza! Chcecie zapewne posłyszeć coś o waszym wielkim pocie. Tak, pani, odrzekliśmy na to — Juliusz w samej rzeczy należy do gwiazd przyświecających jasno na poetycznym widnokręgu naszym. Droga nam jest pamięć jego: drogimi nam ci, którzy urokiem współczucia koili to serce stęsknione za domem, za rodziną!

— Prawdaż to — zagadnęła, że wydano listy poety? Czyż imię moje, wspominane w tych listach, dało powód do jakichś domysłów?

— Wydano w wielkiej części listy Juliusza — odrzekliśmy; imię twoje pani, często w nich wspomniane, równie jak imię czcigodnej matki twojej, a wspomniane z uczuciem prawdziwej przyjaźni i najwyższego szacunku.

— Tak jest — odparła — matka moja kochała go jak syna!

...»W ciągu dwugodzinnej, a młej nad wyraz pogadanki opowiadała nam Eglantyna wiele ciekawych szczegółów o życiu i charakterze młodego przyjaciela. Był on nadzwyczaj staranny tak w ubraniu, jak we wszystkim co go otaczało. Mimo że zasiłki, jakie otrzymywał od matki i od księgarzy, nadzwyczaj były szczupłe, nie brakło mu nigdy pieniędzy. Porządny w prowadzeniu rachunków, strzegł się najmniejszego długu: nie nigdy nie potrzebował od nikogo, sam jednak chętnie przychodził w pomoc drugim, o ile pozwalała na to możliwość.

»Ciekawa to strona charakterystyki poety naszego. Jakże wymowną mamy w niej odpowiedź na teorie zwolenników cyganii i literackiej, które czas jakiś niestety grasowały i w Warszawie: a stawiały za pewnik, jakoby ład w życiu tamował polot twórczych skrzydeł; jakoby geniusz rozwijał się najdzielniej w dymnej knajpie lub w zaduchu brudnego poddasza.

»Cichy, smutny, melancholijny poeta nasz pracował bez ustanku. Jeśli strudzony porzucił na chwilę pióro, wygrywał na fortepianie ulubione melodie; niekiedy znów chwycił ołówek albo pędzel i kreślił pełne wdzięku szkice, to z otaczającej go a tak bogatej przyrody, to niekiedy ze wspomnień zachowanych w sercu głęboko. Z pomiędzy tych ostatnich darował Eglantynie wykonany gwaszą widok botanicznego ogrodu w Krzemieńcu, gdzie zbiegły jego

dziecinne lata. Pod rozłożystymi topolami stała mała ławeczka, na której siadywał zwykle z matką.

Opowiadała tak dalej gościom swoim pani de Lupé różne inne jeszcze o poecie naszym szczegóły: wspominała o listach jego, z Włoch, ze Wschodu i z Paryża do niej pisanych. Później dotknięta ślepotą, oddała je do zachowania mężowi. Po śmierci pana de Lupé zbiór ten cały zaginął. Ktoś jak widać, korzystając z jej kalectwa, zabrał autografy, które w miarę wzrastającej sławy poety, nabierały coraz to większej wagi.

— »Pozostał jej tylko jedyny list pisany z Ziemi Świętej — znać list ten chowała osobno. Pismo na nim zupełnie zatarte, odczytać go niepodobno. Złany był, jak mówiła, umyślnie octem w kwarantannie — dlatego papier tak pożółkł, litery tak wybladły.

»Pokazywała nam także portret Juliusza, wykonany w Rzymie 1836 r. ręką jego wuja Januszewskiego. Akwarella oprawna w ramki, wisi jak widać w jej pokoju. Piękny to bardzo portrecik: rysy pociągłe, delikatne, nadzwyczaj regularne: wyraz oblicza smutny, zadumany: nie dopatrzeć najmniejszego zarostu. Z pod okrągłej czapeczki greckiej świeci wysokie czoło: po obu stronach wybiegają na skronie pukle ciemnych wijących się włosów; oczy ciemne, szeroko rozwarte, wzrok głęboki, znaczący. Takim był Juliusz w dwudziestym piątym roku życia, gdy przebywał w Genewie. Eglantyna podziwiała nadzwyczajne podobieństwo wizerunku. Rysy teżsame, jak w znanym medalionie dłota Władysława Oleśczyńskiego: całość jednak więcej przypomina nam portret Byrona w jego młodzieńczych latach.

Poprzestanę na przytoczeniu następującego jeszcze wyjątku o stanie domu i urządzeniu pokoju, który służył czasowi swego za mieszkanie poecie. Pani

de Lupé nie zajmowała już bowiem owego domu na przedmieściu Pâquis, w którym pani Pattey, matka Eglantyny niegdyś utrzymywała pensję. Z jej śmiercią od dawna przeszedł on w inne ręce.

»Zdarzenie mieć chciało, że dom ten obszerny był w tej chwili cały do wynajęcia. Korzystając ze sposobności, przedstawiliśmy się odzwiernej jako kandydaci na lokatorów: to nam dawało prawo do przejrzienia wszystkich zakątków obszernej dwupiętrowej kamienicy. Z niemałym podziwieniem odzwiernej minęliśmy wielką salę jadalną i piękniejszy salon z balkonem, a pobiegliśmy co żywo na drugie piętro do maleńkiego pokoiku z oknem wychodzącym na wschód: był to niegdyś pokój Juliusza. Naprawdę odzwierna chciała nas stąd odciągnąć, dowodząc, że ten pokój należy do najskromniejszych w całym apartamencie. Domyśliła się w końcu, że jest w tem jakaś tajemnica, i ujęta otrzymanym datkiem usunęła się grzecznie, zostawiwszy nas w ubogim pokoiku.«

»Ubogi on, to prawda: ściany wylepione żółtym papierem w kwiatki — nie w karmazynowo-zieloną kratę, jak to było przed laty czterdziestu. Widok z niego nawet mniej rozległy. Okno wychodzi na ogród, jak niegdyś, lecz ogród ten zmalał podobno o część szóstą. Pobudowano na nim gmachy drogi żelaznej. Ze stuletnich świerków, dębów i sosen, pod których cieniem poeta zbierał siołki z Eglantyną, pozostały tylko dwie jodły, nieme świadki przeszłości.«

»W izdebce puściej jeszcze niż w ogródku. Z położenia ścian i dwóch okien snadno było odgadnąć, gdzie stało owo biurko czeczotkowe i ten ogromny fotel, w którym poeta całkiem tonął, tak że go widać nie było, jak pisze w liście do matki: ze wszystkich sprzętów został tylko piec niewielki okrągły.

»Ileż tu obrazów zrodziło się w tej twórczej wyobraźni, ile uczuć grało w tem płomienistym sercu, ile brzących dźwięków zlało się pod piórem poety w ten metaliczny rym, który zapewnia mu jedno z pierwszych miejsc w liczbie naszych nieśmiertelnych mistrzów słowa!«

»Długo staliśmy w oknie obróconem na wschód, w stronę, w którą poeta z niemniejszą zapewne poglądał tęsknotą, z jaką my w nią dziś poglądamy! I przed oczyma naszymi przesunęło się zwolna passmo trzyletnich zdarzeń, uczuć i myśli, pod których wpływem dojrzała myśl wieszczą, duch jego spotężniał i przez twardą życia opokę wyżył sobie nowe drogi w świat ideału!«

VI.

Listy J. Słowackiego do pani Joanny Bobrowej ¹⁾.

I.

Paryż, Rue Castellane 11, d. 16 czerwca 1841 r.

Pani!

Przebyłem nareszcie mój dzień Donkiszotowski, nogę silnie postawiłem na szali i podniosłem w górę całą zgrają jezuitów, potem zdjąłem ją i poupadali w błoto, ale w błoto, z którego się już nie wygrzebią tak prędko — niech spoczywają. Gdybym wiedział, że Cię Pani opis dnia tego cokolwiek mógłby zabawić, nie lękałbym się pisać, bo wiem, że Pani jesteś szlachetna i nie będziesz wątpiła, że to, co mówię, jest prawdą — staram się nareszcie tak żyć, abym o każdej chwili życia mojego mógł szczerze mówić, a teraz więcej niż kiedykolwiek dbam o to, aby tak było, — i na Boga tak jest! — Zaledwo przyjecha-

łem do Paryża, wrogi moje, wychłostane w pierwszej i w trzeciej pieśni Beniowskiego, wydawcy Młodej Polski, jezuickiego dziennika, a obszerniej biorąc jeszcze rzecz, Litwini — postanowili zabić mnie lub upokorzyć; jakoż na drugi dzień zaraz przystali mi jednego z eleganckiej litewskiej młodzieży, aby mię wyzwał. Ten, z miną bardzo dumną, oddał mi bilecik, który tu w liście Pani posyłam, abyś widziała, do jakiej otwartej wściekłości przyszedli ci jezuici, którzy mię dotąd bezimiennie po różnych pismach kłasi. Przeczytawszy bilecik, schowałem go do kieszeni i odpowiedziałem, że papieru wzmiankowanego nawet widzieć nie chcę i będę się strzelał, przyjmując wszystkie warunki, które mi podadzą. Jakoż nazajutrz posłałem do nich mojego sekundanta, z poleceniem, aby na wszystkie pojedynkowe punkta, przez nich podane, przystał. — Przez dni pięć czekałem na ostateczną ich decyzję; w poniedziałek dopiero pod wieczór o jedenastej dowiedziałem się, że pojedynek ma być nie w St. Germain, ale koło Paryża, na placu, otoczonym pustymi murami, w miejscu zamkniętem; że schodzić się mamy do mety o 20 kroków i strzelać, kiedy się podoba. Dowiedziałem się o tem od mego sekundanta, że mój przeciwnik, ten sam krytyk Balladyny, który podczas improwizacji mojej omdlał, przywieziony został z St. Germain, gdzie serce swoje u panny Pauliny Pl... zostawił, przywieziony bez serca, błądy, z czerwonymi obłąkanymi oczyma, bardziej do miłości, niż do strzelania się skłonny. Jest to młody, 28-letni chłopak — ładny, lecz chorowity i nieco nalanej eery, możebyś go Pani żałowała. Może byś.... sam nie wiem, ale Pani i zawsze Pani mieszasz się teraz do wszystkich spraw moich — myśl o Pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w nim zawsze bez wstydu mógł przejrzeć.

Teraz z dziecinnymi szczegółami opiszę Pani ranek wtorkowy. Między 9 a dziesiątą godziną miał być pojedynek, aby zaś w razie napadu przez ludzi sądowych można

¹⁾ Ob. dzieła niniejszego tom II. str. 224—5 uwaga.

się było czem od procesu kryminalnego obronić, — pojedynki teraz bowiem są karane we Francyi, i chociaż sąd przysięgłych zwykle przez wzgląd na opinię pojedyńkowego zabójstwa, tak jak innych morderstw nie karze, zawsze jednak sześciomiesięczne więzienie i kara pieniężna spada na zabójcę i sekundantów, — dla zapobieżenia więc temu kupiliśmy królika, który miał nam służyć w razie napadu przez policję za wymówkę.... biedny królik! — on był śmieszno-tragiczną stroną naszego pojedynku. We wtorek więc o godzinie 5-ej rano obudziłem się — przysięgam Pani, zupełnie spokojny, — spojrzałem na drzewa, rosnące pod memi oknami, na słońce złote, wypaliłem cygaro, wypilem szklankę starego wina, zjadłem dwa ciasteczka, i ubrawszy się cały czarno, tak aby żadnego celu na mojej osobie nie było, wyszedłem sam z domu o 7-ej do ogrodu Luxembourg, gdzie o pół do dziewiątej miał się zejść ze mną Nabelak i zaprowadzić na plac, niedaleko od ogrodu będący. Przechodząc koło kościoła Magdaleny przez targ kwiatów, kupilem za grosz różę, abym ją przez ten ranek w rękę trzymał i mógł potem zwiędłą posłać — komu? Pani to odgadniesz. Idąc dalej, zaszedłem do kościoła Ascension i tam właśnie trafiłem, że ksiądz, kończący mszę, żegnał; schyliłem pokornie przed błogosławieństwem głowę — i wyszedłem.... W ogrodzie, na który Pani patrzałaś, stanąłem znowu, i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znajomych oknach; ten dom teraz wał; okna były zamknięte, żaluzye pospuszczane — poszedłem dalej. — Pani nie wiesz, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w rękę, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo, w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie? — Dobrze jest jednak użyć takiej przechadzki, uczuć w sercu siłę dumną i niezłamaną uczuć, nawet zachcenie krwi, w ręce czuć broń, na sobie samym oprzeć się i uśmiechnąć się czując, że dobrą jest podpora. W Luxemburgu

o trzy kwadranse na 9-tą ujrzałem zbliżającego się Nabelaka. — Cóż, zapytałem, czy przychodzą?... Tu mi Nabelak donosi, że nowa się rzecz stała: że Ludwik kasztelan Plater — przyjechał z St. Germain za moim przeciwnikiem; że nabożny Cezar Plater mu towarzyszy: że oba są u Ropel.... i godzą sprawę; że oba mają natychmiast do mnie w prośby przyjechać. Zawrzała we mnie krew: postrzegłem, że Jezuici mi z rąk uciekają, — przeczułem, że ten blado-zielony wróg, któryby pod moim pistoletem omdlał, nie pokaże mi się na celu u już zapalonego krwią oka mojego: spokojnie jednak rzekłem do Nabelaka, że jestem na placu boju i nie ulegnę. Nabelak prosił mię tylko o grzeczne z kasztelanem obejście się i o krew zimną; wkrótce zjawili się pacyfikatorowie. Kasztelan wziął mię pod rękę, Cezar wziął pod rękę sekundanta mojego i tak w głębokiem milczeniu szliśmy przez ogrodową aleję. Nareszcie kasztelan zaczął lisią przemowę, przeciwnika mego oskarżył o nierozwagę dziecinną, mnie i moje postępowanie zaczął wynosić pod niebiosa, skończył pokorną, ale bardzo podstępłą prośbą, abym go *upoważnił* do medyacyi... Tu odbiegła mnie już zupełnie rozwaga. — »Nie upoważniam Panów do żadnej medyacyi, krzyknąłem, jestem na placu boju; jeżeli przeciwnik, który mnie wyzwiał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mnie każdy bł.... wyzywał, zwlekał od dnia do dnia i na plac mnie wyprowadzał napróżno«. Tu obróciwszy się do Nabelaka, — Panie Nabelak — rzekłem, — proszę, aby mi wyznaczona była dziś, albo jutro, godzina pojedynku; ja na nią stanę i będę czekał. — Widząc Nabelaka, że coraz bardziej w gniew wpadam, wydał nareszcie całą tajemnicę. — Z kimże ty się bić chcesz, rzekł do mnie, chyba z wiatrem; oni się już cofnęli. — Czy tak? — zapytałem kasztelana, — czy się już cofnęli? — A tak, już się cofnęli; — rzekł kasztelan z miną pokorną, spodziewał się albowiem, że jeszcze nie mówiąc mi nic o tem,

dla Pana Ropelewskiego wyrobi, że mu dam jaką słowną przynajmniej exkuzę; lecz obaczywszy we mnie wściekłość tygrysią, on i Cezar Pl... zadrżeli o swoją bladą i drżącą lalkę — i prosto mi ją z pod pistoletu uchyliłi.... Wtenczas poznałem, co to są za wrog, ci przyjaciele, którzy więcej dbają o życie, niż o honor człowieka — tryumfowałem! — Chciał mnie jeszcze kasztelan Plater wmówić, że o tak zakończonym pojedynku pod słowem honoru milczeć należy. Na to mu rzekłem prosto, że słowa honoru na to nie dam, bo do kilku osób o pojedynku już pisałem, więc gdybym dalej milczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogłyby myśleć, że się ja upokorzył i dał jaką wymówkę słowną lub na piśmie — będę więc mówił i pisał o pojedynku, jak mi się podoba. Kasztelan i to przyjął — i tylko obróciwszy się do Nabelaka i wzniosłszy oczy do nieba, zawołał litośnie: »Jak on mnie traktuje!« Tu jeszcze nowa przeprawa: Cezar Plater zaprasza na śniadanie, chce koniecznie, abym się tego dnia z moim przeciwnikiem widział, zgodził się i kochał. Na to mu odpowiedziałem, że kochać można tylko człowieka, którego się szacuje, a ja dla pana Rop. jeszcze szacunku mieć nie mogę; że będę z nim grzecznie i nie dam mu uczuć wzgardy, ani go poniżej w towarzystwie, ale z kochaniem wstrzymam się, aż Pan Ropelewski co dobrego zrobi. Od śniadania wyrwałem się, lecz Nabelak, który miał, jako sekundant, prawo rozporządzać moim czasem i rozkazywać mi, zawiódł mnie koniecznie do Cezarego Platera i tam z moim przeciwnikiem widziałem się. Plater Ludwik miał przemowę w której dowodził, że do pojedynku racyi nie było, że to swoje przekonanie wpoił w serce p. Ropelewskiego, że Pan Ropelewski wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego. Po której to mowie P. Rop. podał mi rękę, ja mu podałem moją, mówiąc mu zimno: »zapomnijmy o tem, ale jeżeli mamy zapomnieć, to zapomnijmy na zawsze«. Na te słowa, choć nie bardzo czułe, p. Rop.

rozpłakał się, potem dano śniadanie, na którym jeden tylko z sekundantów Pana Rop. był przytomny, drugi (Kołyśko¹⁾) przez wstyd został w domu i teraz z wroga stał się moim, to jest mojego tryumfu, rozgłosicielem. Stało się tak, że klub się cały o pojedynku rano dowiedział, wieczorem przyjęli mnie więc wszyscy po bratersku i we wszystkich oczach widziałem błyszczącą przychyłość, wszyscy o poemat się dobijają, wszyscy chcą czytać strofę, którą ja krwią moją pieczętowałem byłem gotowy, wszyscy się dziwią, że widząc mnie przez pięć dni przed moim pojedynkiem, nigdy żadnej zmiany we mnie, nigdy żadnego cienia na czole nie spostrzegli; ten mi przypomniawszy, że mnie w poniedziałek wieczór o jakąś książkę prosił, a ja mu ją dać we wtorek obiecałem, drugi, że mi jakąś sztuczkę teatralną chwalił i we wtorek na teatr iść ze mną proponował, — słowem, wszystko się do mnie nawraca. Jeden z moich przyjaciół mówił mi, że mnie postanowił być sposobem Ganala na wieki balsamować i włożywszy mi szklane oczy, w trumnie ołowianej złożyć, abym tak kiedyś do Polski cały i z otwartymi oczyma powrócił. Uściskałem go za to mocno, mocno, bo te oczy jeszczeby i na Panią spojrzwały z trumny ołowianej i może byś przypomniawszy Pani, żeś je często łzami zlane widziała.... A teraz, choć się tak stało i ludzie mówią, że dobrze się stało, wolałbym być, przysięgam Pani na tego Boga, który wczoraj do mnie przybliżył swoje łono i gotów był mnie wziąć w objęcia swoje, jak dziecko skrwawione, przysięgam, że wolałbym wroga mojego mieć przedemną i tam go nauczyć, co to jest igrać z życiem człowieka temu, który nie gotów jest swoje zupełnie odważyć; ale i tak, nauka jest dana, a kara jego może jest gorszą, niż śmierć.

¹⁾ Nazwisko dopisane ołówkiem obcą ręką.

Wrócił do St. Germain; Panna Paulina mu dziś poda herbatę.

Ja samotny jestem, jak zawsze. Róży Pani postać nie mogę, bo w ogniu nie była. Jeżeli Pani chcesz mieć o Alex. Pot., albo o panu Coudère nowiny, to proszę mnie o nie poprosić, inaczej będę milczał, jak gdyby mnie w pojedynku zabito.

Jul.

Przyjaciół, który mnie chciał balsamować, jest to ten sam, który do mnie do Frankfurtu pisywał.

II.

Około godziny czwartej szedłem do Pani w dworostym zamiarze, naprzód — aby powinszować Pannie Zosience¹⁾, której patronka Zofia z trzema córkami stoi w polskim kalendarzu; a ponieważ i w niebie agitować się musi kwestya o niebieskiej słodyczy, kiedy na ziemi agituje się kwestya cukru, chciałem to z mojem miłym dzieciątkiem przemienić w kwestyę cukierków. Tak idąc, spotkałem Pani służącą, która mi powiedziała, że Pani pojechała tam, gdzie się woda leje. Wyrażenie tak było materyalne, że zrazu pewny byłem, żeś Pani pojechała do pompy Grenille, czyli studni Artezyjskiej, i zdziwiony, chciałem Jej czekać aż do obiadu, lecz powiedziała mi służebna, że obiad gdzieindziej jest obstalowany; wtenczas obróciłem kroki moje do domu i w tym to odwrocie przyszła mi nagle idea jasna, że wody się dziś leją w St. Cloud, że Pani musisz być w St. Cloud z Panią Audlej, z Panem Audlej, z doktorem Dagobertem, z Manem i z po-

łową Paryża, jeżeli nie z czem więcej.... I dobrze się stało, że się tak stało.... bo to, co byłbym powiedział ustnie, powiem na piśmie. Oto żegnam Panią! — Nie w mojem sercu niema, co-by się mogło przydać Pani, owszem, wszystko może odwieśćoby Ją od egoizmu, od szczęścia.... Jam ciągnął za Panią dawny jęk przeszłości, ze mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna. — A ilem ja osobiście, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zliczyć i tej nuty może nigdy Pani między różnemi tonami wspomnień nie znajdziesz. Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko się znajdzie w łonie Bożem, ale biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów. Znikajmy więc, abyśmy się odnaleźli.... Na ostatnią pamiątkę za-improvizuję Pani, jak gdybym żył jeszcze.

O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady!

To tak, jak ludzie przyjaciółom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci błądny
Śród leszczyn w Gisbach, a śród laurów w Terni.

Dzikiem zrywał na murawie kwiaty,
A Pani w skałach siadłabyś myśląca,
Jak Anioł, skrzydłem kaskady skrzydlaty,
Czekając z nad skał śpiewu — i miesiąca.

Gdybym ja Panią do kaskady woził
Możeby wieczną tam zatrzymał siłą —
Śpiewem skamieniał i lodem zamroził.
I kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Dzisiaj siedzącej przed kaskadą w koczu
Sumienie Pani powie samo głuche....
Że niegdyś łzy się tak sączyły z oczu!
A dzisiaj! oczy patrzą — takie suche.

¹⁾ Później małżonce Juliusza hr. Dzieduszyckiego.

Czyś tem przeklęta, czy błogosławiona,
 Że serce zimne — oczy też nie leją?
 Powie ci kiedyś mogił druga strona,
 Gdzie serca pękną, albo się rozgrzeją.

Co do mnie — wiem ja, jak to praca pusta
 Serce kobiece na czas przeanielić! —
 Dla tego odtąd — wiecznie zamknę usta,
 I wolę nie być z Panią — niż zgon dzielić.

Gdybym był duchem Wersalskiej natury,
 A taką Ciebie między tłumem zoczył,
 Zleciałbym na Cię jak kaskada z góry,
 Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

O! dosyć już, trzeba się rozstać — bez groźby —
 ze smutną cichością odchodzącego człowieka.... Żegnaj
 mi Pani — do jaśniejszych i wyświetlonych czasów.
 Lolly ¹⁾ i Zosieńka, niech będą zdrowe.

Juliusz.

*Dnia 4 maja (1842 ²⁾).
 Paryż.*

III

Sama myśl, że Pani byłaś wczoraj w Wersalu, na-
 pełniła mnie nadzwyczajną trwogą. Patrzałem dziś z nie-
 spokojnością na okna Jej, zakryte firankami, byłem nawet
 u portiera, abym się dowiedział, czyś Pani wróciła do domu
 szczęśliwie, wszystko to jednak nie jest mi dostatecznem.

¹⁾ Później Maurycowa hrabina Potocka.

²⁾ Rok dopisany obcą ręką czerwonym atramentem.

Przypominając więc sobie, że niegdyś w domu Pani nie
 byłem zupełnie obcy, upraszam o kilka słów zaspakaja-
 jących i te mi wystarczą i pomnożą liczbę szanowanych
 drogo pamiątek, które winniem Pani dobremu sercu
 i szlachetności.

Jul. Słowacki.

Paryż—Poniedziałek.

IV.

Wczoraj, po odebraniu listu Pani, udałem się do
 panny Gedge, którą natychmiast rezonowaniem zdobyłem —
 i jako rzecz zdobytą w poniedziałek wysyłam.... Przypo-
 mnij sobie Pani Donkiszota, który, uwolniwszy z kajdan
 krutów, każe im iść do Toboso i skruszone kajdany zło-
 żyć u stóp swojej królowej. Tak właśnie uwolniona od
 przestrahów panna Gedge, pokonana moją wymową, w pią-
 tek przyszły pokaże się przed tronem Pani i powie jej,
 że ja zawsze sługą jestem gotowym na wszelkie rozkazy.
 A że w piątek panna Gedge będzie we Frankfurcie, o tem
 wątpić nie należy, albowiem obstalowane już ma miejsce
 na poniedziałek w dyliżansie i paszport już posłany do
 podpisów. Niechże więc Pani raczy wysłać kogo do biura
 dyliżansowego, aby na pannę Gedge w godzinę jej przy-
 jazdu czatował i uwolnił ją od błakania się po oberżach;
 racz także na wszelki przypadek napisać do niej mały bi-
 lecik, z wymienieniem swego adresu i ten bilecik niech na
 nią w biurze Frankfurckiem poste restante czeka. Co do
 warunków z nią pieniężnych, są takie, jakie Pani sama
 podałaś.... Przrzekłem Jej tylko, że koszt podróży zwró-
 cony jej będzie, zda mi się, że tak słuszność nakazuje,
 wydatek ten nie będzie wielki. O innych drobiazgach zu-
 pełnie mnie nie zaczepiała. Wszystko to przekonało mnie,

że wyglądam na bardzo pocziwego człowieka, albowiem, nie mając w ręku żadnego dokumentu, nie mogąc nawet pokazać listu Pani dla żartobliwego tonu, który w nim panuje, pokazałem się sam tylko, i zupełnie zyskałem zaufanie.... Teraz więc gdyby mi się zachciało pannę Gedge wyprawić do wysp Kanaryjskich, albo do Australii, mógłbym to uczynić i udałooby mi się niezawodnie. Ale cóż mi z tego, że Panna Gedge będzie się po morzach błakała?... Zdaje mi się, że jest to osoba dobrego serca i wielkiej prostoty; ubior jej granatowy przypomina mi greckie czernice, czyli mniszki, nie chciałbym jednak być kleftem na tej samej górze, gdzie klasztor, napęczniony takimi czernicami, girlandą okien księżycowych pomiędzy cyprysami błyszczy. Lecz ponieważ tu nie idzie o klefta, ani o poezję, ale o Panią i jej codzienne życie, sądzę, że panna Gedge będzie prawdziwie na swoim miejscu. Podobna mi się zupełnie dziecinne prawie zaufanie, z którym do Frankfurtu wyjeżdża; żadnych odemnie nie żądała zapewnień, ani przyrzeczeń, wzruszony więc, przyrzekłem sam, nieproszony i nieupoważniony, że w Pani znajdzie trochę niespokojnego ale pięknego anioła, w Pannie Sofinette zupełnego aniołeczka, a w pannie Lolly¹⁾ model najpiękniejszej anielskiej cierpliwości i posłuszeństwa, najcichszą i najbielszą z liliów (sic), które nad Menem rozkwitają. To ostatnie zapewnienie mówiłem nieco niepewnym głosem i ze spuszczeniem oczyma.

Okna Pani nadzwyczaj są smutne i puste, trotoar pod kościołem z asfaltu płonie pod moimi stopami, jak podłoga piekielna. Kolumny kościoła spoglądają na mnie liutośnie, a St. Magdalena, stojąca na frontonie, już zda się płakać nie swoich, ale moich grzechów. Bo zaprawdę grzeszny jestem i pokutujący. Pana Berdona nie spotka-

¹⁾ Córka pani Bobrowej, wydana później za Maurycego hr. Potockiego w Warszawie.

łem jeszcze na widnokręgu ziemskim i myślę pójść na *Morgue*, czy tam na płycie kamiennym (sic) ten biedny nie leży. Olizar pewnie żyje, wiem że żyje, ale go także dotąd nie widział. Potocki jeszcze się nie ukazał, słowem, został się tylko po Pani świat ducha, w którym teraz żyję, nie trącając o nic żywego, a jednak ciągle trącany przez coś, jak gdybym chodził po grzbiecie torped elektrycznych. Spodziewam się jednak, że to minie.

Kończę ten list, albowiem już godzina nadejścia poczty zbliża się, a chciałbym, ażebyś Pani jak najprędzej o wypełnieniu przezemnie rozkazów swoich i o przyjeździe blizkim panny Gedge była uwiadomioną... Spodziewam się, że mi Pani raczysz donieść, czy wysłana przezemnie osoba ręk jej dojdzie.

Zda mi się, że nie więcej nie zostało.

Żegnam Panią.

Jul.

Paryż d. 3 czerwca 1842 r.

Rue de la ville l'Evêque 10 (bis).

V¹⁾.

Paryż d. 9. czerwca 1842 r.

Nazajutrz po wyjeździe panny Gedge, oddano mi list do niej z Frankfurtu. Lękając się, aby nie był przeciwny moim instrukcyom, otworzyłem go i znalazłem dyplomatyczną missywę, przez pannę Lolly redagowaną,

¹⁾ Tekst listu tego podaję poprawiony podług uwag, umieszczonych przez p. Gabryela Korbuta w »Głosie« 1896. Nr. 40 str. 948

prawdziwie krótko i węzłowato. Dziwny wiek! Istoty, które do róż są podobne, podobne są także do ministrów spraw zagranicznych. I to dzieje się całemi familiami! Szczęściem, że w tym listku, który z pracowni domu Pani wyszedł, oprócz mego nazwiska z pomyłką jednej litery napisanego, nie więcej nie znalazłem, coby mnie zadrasnąć albo upiec mogło. Suche listki harmonizują się doskonale z tą kanikulą skwaru i pyłu i rozpalonego asfaltu, po którym chodzę, z sercem podobnem do zamkniętej ostrygi, albo do muszli perłowej bez żadnego już wewnątrz ślimaka.

Na Boga! rzuć Pani błękitnemi oczyma w stronę Paryża, niech mi tu od tego spojrzenia błysnie i rozwidni się na chwilę ciemne powietrze! Połowę tego światła i tej błyskawicy oddam, jak zwierciadło wierne, Aleksandrowi P.¹⁾, który właśnie wczora przyjechał z Rzymu i błąka się tak błędnie, że ja, także błakający się cień, dotąd go jeszcze napotkać nie mogłem. Słyszałem jednak, że jedzie do Frankfurtu, i tę wieść, choć nie pewną, Pani donoszę. Chciałbym się z nim zamieniać, nie wiem, czy na ciało, czy na duszę, czy na te buty siedmiomilowe, które go ciągle przenoszą z miejsca na miejsce i po błękitnem morzu pozwalają mu chodzić suchą nogą, — czy na ten płaszcz krągły i krótki, który w moich oczach stał się tak cudownym, jak płaszcz Szecherezady, który człowieka czynił niewidzialnym, czy na ten choćby worek napełniony wiktuałami i sympatycznymi ziołami, co mu jedna serca i zdobywa win przebaczenie. Proteuszowska jego natura wzbudza we mnie zazdrośne uwielbienie, zaprzęgam się

¹⁾ Aleksander Potocki, syn Szczęsnego i Zofii, Greczynki, dzie-dzie Tulczyńa i Zofijówki, według słów Odyńca »milionowy bogacz, ale z pozoru i usposobienia wyglądający raczej na kwakra, tak sam o tem państwie i bogactwie nie myśli i tak jest pełen dobroduszej prostoty w najlepszem tego słowa znaczeniu«. (Listy z podróży III. str. 191).

do wozu tego bóstwa ekscentryczności z większym zapałem, niż student niemiecki berliński, idący na orczyku, przy Lista rydwanie. Gdybym tego nie uczynił, smutek i nuda zjadłyby mnie do szczytu.

O! Pani, która teraz nie nie robisz na świecie, gdybyś Pani wiedziała, jak to jest boską i odpłacającą się pracą, podnieść z ziemi czoło w prochu już leżącego człowieka? Gdybyś Pani wiedziała, jak oddalenie upięknia każdy ton głosu, jeżeli ten jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny — i z daleka budzić przychodzi; gdybyś Pani wiedziała, jak mi tu słyszeć każdy szept w jej domu; każdy szelest sukni, jak echo, każdego jej kroku dochodzi do mnie uroczyste, pod tą kopułą świątyni zrujnowanej, pod którą teraz siedzę. Gdybyś Pani chciała religijnie być trochę dobrą i litośną? — jak święta, a jak łatwa byłaby ta praca.

Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia i wiem, że próżna. A jednak czuję, że sam winien jestem, że była we mnie jakaś siła nie-użyta, jakieś wojsko duchów nie wyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakas głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać a czego się ja sam lękałem wyprowadzić na jaw — i część zimna, marmurowa, mojej natury zwyciężyła.

Teraz już to wszystko jest za granicami władzy mojej i świata mojego i coraz się bardziej odemnie oddala. Ileż razy, jeszcze tej zimy, te wszystkie moce burzyły się we mnie i chciały wybuchnąć; teraz wieczny odpoczynek sercu mojemu i niech światło wiekuiste świeci mu — i na ten cień cyprysowy, gdzie ono leży, spójrz czasem Pani z uśmiechem, bo prawdziwie, że w tym cieniu unoszą się główki aniołeczków, różom podobne, na gołębih skrzydełkach, i śpiewają mi także pieśni jak gdyby się moje lata dziecinne budziły i znów przechodzić miały.... I powróciłem ze skał Manfredowych do łąk, gdzie słyszeć świągotanie jaskółek....

A teraz nagle odwracam się — i spostrzegam list do panny Gedge, który klnę, bo jest przyczyną tej całej gawędy o niebieskich migdałach. Przepraszam więc Panią i żegnam.

Jul.

VI.

Pozawczoraj odebrałem list krótki, ale mężny i hartowny, od Zygmunta; z listu tego dowiaduję się, że jest teraz w Kissingen.... mocno dosyć chory, ale umysłowie zajęty apokalipsą przyszłości, ideą, która tu już stworzyła piorunowy obłok nad błękitnem niebem paryskim, która ma kapłana, sługi, proroctwa straszliwie spełniające się już teraz i straszliwiej jeszcze grożące przyszłości. Jemu więc w Kissingen, a mnie na asfalcie paryskim straszno i czarno. Świat zdaje się budzić, a my oba zmęczeni, starzani, na pół senni, nie możemy się podnieść zupełnie, ani odrzucić przeszłej połowy nas samych.

...A gdybyśmy ją nawet odrzucili, to jeszcze straszniej i ciemniej będzie nam w oczach serca naszego, żal przeszłości, niemoc zupełna we władzach passyonowanych, serca podobne do czerepów zbitej porcelany saskiej, z kwiatkami tęczowemi i pozłotą, ale już nie podobne czarom całym i urnom, w które kwiaty wkładają. O! tak jest ze mną.... może mniej gorzej z nim, ale pewna jest, że oba cierpimy. Jeśli więc Pani piszesz do którego z nas, proszę i zaklinam, nie udawaj wesołości, ani cukruj słów swoich, ani mi odmawiaj tego szczęścia, abym jej prawdziwe i szczere serce mógł widzieć w każdym słowie: za jaką szczerłość ja odpłacę każdą cząstką i całym sercem mojem, które jest ludzkie, ale nie serce arlekina światowego, które nie igra z nikim i z niczem i nie chce, aby z niem grano. Tem sercem, które się tak teraz broni, piśzę ten list i nie używam już bynajmniej strudzonej i biednej głowy mojej, owszem przeklinam ją, bo mi dotąd

nie nie zdobyła, oprócz pół urągającego Pani uśmiechu i politowania. Niech więc to, co było zapisane, zostanie w powietrznych kartach księgi przeszłości, a teraz uważaj mnie Pani za wiernego sługę, za dobrze nastrojoną harfę, z której ile razy zechcesz Pani prawdziwy ton wyciągnąć, da Ci go, ile razy fałsz szukać będziesz, fałsz będzie winą Pani — i głos wydobyty ze mnie, nie pocieszy Jej. Nie uśmiechaj się Pani! ten list, który trzymasz w ręku, zaczarowany jest wolą moją, czuciem mojem, prawdą moją — zaklęty jest, ma moc i władzę uzdrawiania nawet serca. Serce moje jest jak źródło Syloe na dolinie Jozafata, co trzy dni tylko wytryska; trzy dni, przez które nie było w niem wody, były okropne i długie; uczucia szczere nauczyły się jak jaskółki, odlatywać gdzieindziej po wodę... drzewa nademną uschły, a tę martwość około mnie czułaś Pani przeczuciem, a ja przez cały czas czułem także, że serce pani lękało się i cofało się odemnie z przestachem.... Teraz ta tortura moja skończona, bo zmarłychwstałem.... Teraz wiedz Pani, że Ją kocham jako pięknego ducha, który cierpi; co będzie we mnie moey wskrzeszania, wydobędę z siebie, aby duchowi temu lżej było — i szerzej, i szczęśliwiej. — Widzę stąd, że Pani zadziwiona ten list czytasz, znajdując w nim ton różny od zwyczajnego; wolę więc przestać, a może jaki anioł dośpiewa reszty w sercu Pani, prowadząc ją za rękę *par les jolis sentiers qui invitent à la promenade* — oddaj się Pani temu aniołowi zamyślenia, i tym ścieżkom ociemnionym; niech tam nie zalatuje niemiecka muzyka, ani zapach cygarów — niech powietrze będzie czyste i kryształowe, a konwalie pachną tak jak nam pachniały w dzieciństwie.

Dosyć — dosyć już — tak dalej pisać nie mogę. Panienki by się śmiały ze mnie. Panna Gedge by mnie nie poznała. Panna Gedge, która z taką dobrocią wspomina o mnie, choć się nasza znajomość wojną zaczęła, wojną kocią. Byłbym natychmiast odpisał na jej list, pięcętowany sentymentalną niezabudką i czarnym lakiem,

ale nie wiedziałem, gdzie mam odpis zaadresować: teraz osobnego listu pisać nie jestem w stanie.... *dunque*: Pray to tell Miss Gedge I am greatly indebted for the letter she deigned to write to me, and that, in the first very busy and distracting moments of her stay in Frankfurt. So great a proof of her remembrance powerfully shakes the botanical theory I had been forming of the longevity of a little flower called *forget me not* which grows particularly in Germany, and is not, I think, very much employed in the garlands adorning the heads of others but genuine German Ladies, not even in those of my mother country, where a full blown rose or a white lilly is preferred to the sentimental Ophelia's wreaths. And when I think my theory being undermined by one who some days before addressed me with the very words of Shakespeare saying I was a *cat to her* in the very moment I had been endeavouring to play a part of a trusty dog and to serve her with the utmost of my serviceable powers I feel completely palled and know not how to reconcile the two extremes, that of her past hatred with her present graciousness. I conclude with asking her to forgive the joking tone of the lines, and to be assured, I will for ever be honoured and happy to occupy a plan in the rear of a long list of her most constant and most willing friends and servants¹⁾.

¹⁾ Proszę powiedzieć pannie Gedge, że jestem bardzo wdzięczny za list, który raczyła do mnie napisać i to podczas pierwszych chwil zajętego i rozrywanego pobytu we Frankfurcie. Tak wielki dowód Jej pamięci silnie wstrząsa teorią botaniczną, którą utworzyłem sobie o długowieczności małego kwiatka, zwanego *niezapominajką*, który często rośnie w Niemczech i zdaje mi się, nie bardzo często bywa używany do wieńców. ubierających głowy dziewic, z wyjątkiem prawdziwych Niemek, nawet w mojej ojczyźnie, gdzie wolą rozkwitłą różę, albo białą liliję, niż sentymentalne wieńce Ofelii. Na samą myśl, że moja teoria została obalona przez osobę, która kilka dni temu mnie zainterpelowała słowami Shakespear'a, mówiąc, że byłem kotem dla niej, kiedy starałem się odegrać rolę wiernego psa i usłużyć jej z najzupełniejszym poświę-

Przepraszam Panią za ten rozszerzony pomimo woli mojej przypisek, ale nie wiedziałem, jak zawrócić — bez upadnienia do nóg — skończy się jednak na tem, że muszę upaść do nóg.... ale Pani.... i tak pożegnać Ją.

Jul.

Paryż,

Rue de la ville l'Evêque N. 10 (bis)

dnia 15 lipca 1842 r.

VII.

Paryż d. 6 czerwca 1844. Ponthieu 30.

W Dreźnie, niedaleko kościółka Panny Maryi, blisko także Grüne Gewölbe, i od Elby nie bardzo odległe, zostawiłem ja część mego technienia, — technienie to nie tak święte, jak powietrze kościoła, i nie tak tęczowe, jak emaliowane złotem kruże i urny, w skarbcu saskim stojące, i nie tak spokojne, jak Elba, a jednak coś z tego wszystkiego w sobie mające, zmieniło się w jednego z tych duchów familijnych, które za Panią chodziły i latały, rozwiewając włosy i szepecząc dawne wspomnienia. — Pani temu może nie uwierzysz, ale ja mocno przekonany jestem, że Skierce winienem drogie dla mnie wspomnienie Pani, — z drugiej zaś strony winienem je tu będącemu we mnie duchowi, sereu, które tęskni, myśli tej, która ściga za Panią, oczom moim, które dziś jeszcze patrzyły przy blasku brylantowym rannego słońca na zamknięte głucho okna dwóch domów Elizejskich. Pomimo wymówek w liście Pani, czuć w nim, że Pani wierzysz w słonecznikową pamięć serca mego, i dla tego ten list jest mi

cenieniem. Jestem zakłopotany i nie wiem, jak pogodzić te ostateczności — jej przeszłą nienawiść z jej teraźniejszą uprzejmością. Kończę, prosząc, żeby wybaczyła żartobliwy ton tych kilku wierszy i chcę ją zapewnić, że będę zawsze szczęśliwy zająć miejsce choćby ostatnie na długiej liście jej najwierniejszych i najpowniejszych przyjaciół i sług.

darem nad wszystkie dary, głosem nad wszystkie harmonie (nawet Liszta), słowem, prawdziwem mi jest szlachetnem dawno-polskiem udarowaniem. Ludzie świata zbliżają się teraz do kobiet jak drewniane figurki, ubrawszy się zupełnie w fajerwerki; oko pierwszej kobiety, czy czarne, czy błękitne, zapala od razu te wszystkie młynki, syjące skrami tęczowemi dowiecipu, kręcące się na piersiach po szalonemu.... znajdzie się czasami i słońce fajerwerkowe, palące się na czole u takiego człowieka, a Panie zaraz krzyczycie, że to wulkan, że to człowiek z gwiazd, że to istota, która przez całe życie będzie się różnokolorowym ogniem paliła. Jeżeli w Dreźnie spotkasz Pani takie widmo, spróbuj go i każ mu pierwszej skoczyć do Elby, nim w nieśmiertelność tych ogni uwierzysz; jeżeli z Elby wyjdzie równie jasny, to wtenczas możesz go Pani użyć za latarnię. Ale dla czegoż ja Pani daję tę przestrożę? Pani, która już o tem przedemną wiedziałaś. Wszakże mnie samego przeprowadziłaś Pani przez podwodne otchłanie, zostawiłaś mnie w nich tak długo między wielorybami, ślimakami, wśród gwiazd morskich nimfom świecących, żem zapomniał o ziemi i przywykł żyć w ciemni, wśród fal kołyszących ducha mego.... Po takiej próbie co ja mogłem uczynić? Oto zbliżyć się znów do Pani, pełny milczenia i zakłętej we mnie tajemniczej braterskiej miłości.... to uczucie we mnie wezbrane działało na ducha Pani, jak natchnienie, jak siła wspierająca, karmiąca, ożywcza; nie wiedziałaś Pani, co czynię, i nie opierałaś się wpływowi ducha mojego, to też nabalsamowałem niektóre ranne części serca Pani, i rany się pozamykały — i powietrze wspomnień, chwytane ustami, już je nie tyle rani, niż (sic) przedtem.... Taka jest zasługa moja pokorna u Pani i taka postać moja przed Panią, i takie powinno wspomnienie zostać o mnie na wieki. Przekonałem się teraz, że wszystkie prace nasze na ziemi, choć pod różnemi formami pokazują się, nie są czem innem w głębi, tylko zdobywa-

niem duchów, których jak największa girlanda za nami idąca moc naszą stanowi, a mówię tu o umarłych i żywych. Gdybyśmy bowiem umarłych nie mieli, któżby nam dopomógł u osób dalekich? Któżby nam listy od osób, będących daleko, otrzymywał? Bez tego podszeptu tych, którzy mię na niebiosach kochają, Pani mogłabyś była żyć dwa lata w Dreźnie i nigdy o napisaniu listu nie pomyśleć, albo nie zdecydować się na rzecz, która dla Pani jest tak małej wagi, jest tak bladym epizodem życia Pani nawet w Dreźnie, a dla mnie jest takim wielkiem szczęściem, nawet wśród wielkiego Paryża. Widzę więc, że moi *niebiescy* usłużyli mi, i tylko część jedną wdzięczności za list Pani posyłam, a drugą *Im* oddaję.

Pierwszego lipca wyjeżdżam znów nad Ocean do Pornik, i nie tyle dla zdrowia, ile dla pewnego Druidycznego monumentu, gdzie przeszłego roku zakładałem dawne cienie krwawych kapłanów.... Uczucie to, z którym w noc miesięczną od tych ogromnych, na pustym polu leżących kamieni odszedłem, przywołuje mnie do nich napowrót. Sądzę, że nie krwi chcą te duchy, ale chcą człowieka, który przez lat tysiące nawet miłością przelecieć umie, i cienie bez imion przywołać.... Nie strach mi tych krwawych kamieni, które mi się w myśli pokazują z całą czerwonością przedwieczną — owszem tęskno mi do nich, jak gdyby między krwią w dole, a smętnym ołowianym księżycem na górze mój duch stanawszy pośrodku najlepiej się harmonizował z temi bladociami. Ale cóż ja piszę!... jeśli Pani tego duchem nie uczujesz, to zwierzenie się to z uczucia, weźmiesz za akord waryackiej muzyki, za chromatyczną grę ogromną ręką schwyconą w dwóch różnych światach tonów.... A propos ręki — jest tu ręka jedna, nawet są obie ręce, prawa i lewa, z gipsu odlane i za oknem sklepowem leżące na ulicznym widoku.... jedni mówią, że to są ręce fortepianisty, drudzy, że są fragmentem statuy nieodszukanej i nie odżałowanej, która wystawiała olbrzyma Goliata, czy też króla

Katarachesa w naturalnej wielkości; dziesięć stóp miał w biodrach! Aleksander P.... zapisał je sobie z przychyny że są wielkie, a Pani?... kto wie, może już leżą na Pani stoliku? Zresztą nic więcej interesującego z Paryża — i ja i Małachowski bez listów jesteśmy. Plotek także niema. I dlatego list mój będzie się może pustym wydawał, i za dobroć Pani niewdzięcznym. Ale prawdziwie, że ja z całego serca służę i całym sercem radować się będę, widząc Panią rozweseloną, szczerą, dobrą, wierną wspomnieniom małym i wielkim, słowem odrodzoną podług natury dawnej i podług nowej już świtającej przed nami piękności, widząc Panią zawsze niezmienną, a jednak przemieniającą się.

Nowina o pannie Lolly bardzo mnie pocieszyła, dobry przykład dla Sofinetki i dla mnie, którzy się nie możemy zaokrąglić.... Upadam do nóg panienkom.

Nie opuszczaj mię Pani i nie rwij tej cudownej, jakiejś małej niteczki, która podług listu Pani związek nasz stanowi i bez nieświętości zerwaną być nie może; ile razy pociągniesz Pani za tę nitkę, to odezwe się jak dzwonek, nawet z po-za świata i po wiekach.

VIII.

Pani! Aż z nad fal zielonego Oceanu, abym dowiódł, że nie są one wodą Letejską, ale owszem słonemi łzami Nimf wodnych, piszę ten list. — Bo Pani jesteś jedną z tych osób, których wspomnienie, nie wiem dlaczego, sięga mię w najodludniejszych chwilach życia. Wczoraj, na pustych i wietrznych polach, zbierałem kwiaty dla Pani, nie naśladować w tem nikogo, tylko poddając się myśli jakiejś marzącej i niewytłómaczonej.... Potem ten bukiet tysięczno kolorowy niosąc nad głucho szumiącym i błękitnem morzem, chciałem, aby mi ono dało koral i pereł, aby te w bukiet być mogły wplecione.... i zaprawdę, że taki bukiet ze stepu i z morza, stojący przed

Pani oczyma, oczarowałby podwójną siłą dwojga królestw natury. Wystaw go sobie Pani myślą i niech duch tego bukietu zjawi się Pani we śnie, lub w marzeniu, w oczach na pół przymkniętych, w tem półdziennem świetle, w którym jawią się nam wspomniane osoby.... Co Pani robisz? Czem jesteś zajęta? gdzie jesteś? Czy to jest dziełem farfadetów, a służę Pani, że tu zajęłaś do Pornik jedną osobą, trochę postacią i oczu błękitem i czarnem ubraniem Panią przypominającą? Po co egzystują na świecie te fałszywe semitony podobieństw, które jak muchy brzęczą około ducha i ciągle go utrzymują w niespokojności? A ja — czemu ja zupełnie nie mogę obronić się od wszystkich brzęczeń i promyków, i łechtań jakiejs próżnej imaginacyi, a może skutków serca próżnego. Królestwa nie straciłem, a jak król Lear włóczę się po wietrznych wrzosach i polach ciernistych. Nikt mię nie zdradził, jak córki Leara, a ja jednak, jak gdyby za zdradę jakąś, wiatr wyjący przeklinam, i nie nie straciłem, a jednak za wszystkich tęsknię, wszystkiego pragnę, a nic nie wziąłem, choćby mi wszystko dawano. Wytłómaczyłbym ja Pani te wszystkie dyssonanse, gdybym mógł być Pani jeden tylko klucz muzyczny mojego ducha wytłómaczyć, ale teraz muszę być względem Pani także dyssonansem. Smutno mi w Pornie, smutno, że wrócę do Paryża i tam Pani nie znajdę, bo pókim był w Paryżu, tom się był z tą myślą oswoił, a teraz podróż ta moja, mało tak do przeszłorocznej podobna, gorzej mi czuć daje, że ten jedyny dom, gdzie się ja chronił z taką ufnością, gdzie się siedł z taką wiarą po trochę ciszy i współczucia, zniknął i uleciał gdzieś do wschodu, jak chata Loretańska. A tu w Pornie nie się nie zmieniło: ten sam żebrak siedzi na drodze i każdy łachman jego jest taki, jak dawniej. Moje druidyczne kamienie nie osunęły się do ziemi, mój doktor nie postarzał, oberżysta nie został deputowanym, sługi mnie poznali, żebrak, oberżysta, doktor nie zapomnieli, dla tych ludzi rok jest mgnieniem oka, chwilą — anieli jacyś przeprowadzają

ich po ziemi, zmianę rzeczy zakrywając im skrzydłami. Nie tak dla nas, Pani moja, czy prawda? a dlaczego? bo sami jesteśmy własnymi aniołami, ciągle sami, za wszystko odpowiedzialni, zawsze cierpiący, ja dosyć spokojnie, Pani, rzucająca się jak płotka w kryształowej rzeczce Litewskiej. Powiedz mi Pani, ale szczerze, czy jeszcze są takie chwile, że się Pani rękami chwytasz za włosy, gładzisz je, a z takim gestem, jak gdybyś je wyrwać chciała? Opisz mi Pani szczerze stan serca swego, i wymaluj mi wiernie swoją osobę, ja zdaleka lepszym może będę doctorem niż zbliżką; ja jestem dla Pani człowiek daleki, w perspektywie niby jakiejś alei ciemnej, tam gdzie się ciemność kończy widziany.... idź Pani z wolna i licz wszystkie drzewa alei, i zatrzymaj się czasem, czytając na korze ich suchej napisy — te drzewa to ludzie, a Pani właśnie między nimi teraz jesteś, a ja jestem daleko od nich, wszystkimi siłami duszy mojej z pośrodku nich wyrwany, co dzień więcej czujący, że choć dla ludzi, ale zupełnie ludzki nie jestem. Czemuż ja Pani pisać nie mogę o tych duszach, których tłum znajomy coraz mię wyraźniej otacza, i ziemię zamienia w jakieś niewidzialne królestwo, w którym ja jestem sługą i królem? Gdybyś Pani widziała te sprężyny, które ruszają człowiekiem, te dusze, które przez ducha jednego objawiają chęci swoje, tych umarłych, którzy przez jednego żywego są żywi; pojęłabyś Pani, jaka to rzecz straszna być człowiekiem — i zrozumieć, że jest w powietrzu mnóstwo, które kocha lub nienawidzi. Ale co to wszystko Panią obchodzi? Dlaczego ja to piszę — dlaczego ten list cały napisałem? Ja nie wiem Pani — nie wiem prawdziwie. — Dalibóg nie wiem, bo ja z Panią nie powiązałem żadnej nadziei, bo mi Pani żadnej gwiazdy nowej nie zapalisz, ale nie wiem dlaczego — chciałbym — ot, abyś Pani tu się zjawiła na dzień jeden.... abyś usiadła na płycie granitu, który kościół podziemny Druidów pokrywa, abym ja stanął ze strony, gdzie włosy Pani powieją, aby tak na nas cicho tam będących psy

pasterskie zaszczeakały, jak na mnie szczechają; abyś Pani słyszała i złąkła się na szelest trącej o kamienie pastroci.... abyś okiem obejrzała ten okrągły i smętnie blady horyzont, pełny morza i pustej ziemi. Takiej jednej chwili chciałbym teraz, albowiem pusty jestem jak te stępy, i rozkochany w pustyni serca mego, które się ani poddało ani pękło.

Skarżę się i skarżę się bez końca, jak muszla z wymarłym w sercu ślimakiem. Ale Pani mi ten szum i te szumowiny wybaczysz, — chcąc widzieć w liście moim to, co jest w nim na dnie — szczerą i wielką i pokorną przyjaźń, która nigdy nie przyrzeka więcej, niż chce dotrzymać, ale dotrzymuje czasem więcej niż przyrzeka.

Jul. Słowacki.

Widziałem na wystawie zwierciadło srebrne Dyanny, pełne dyablików i jaszczurek, tak jak skała Pornicka w mojej imaginacyi; przejrzałem się w tem zwierciadle i lękam się, aby w niem cień mojej twarzy nie został i nie pokazywał się w nocy upornie, zwłaszcza że właścicielka przysłała tego lustra wierzy w pokazanie się widm zalustrzanych. Przeszedłem przed tem lustrem, jak może przed Pani pamięcią, nie zostawiwszy na tem szkłe żadnego rysu, ale oczy moje w niem były. Wiadomo zapewne przyszłej właścicielce tego wodnego kryształu, otoczonego jaszczurkami, że Gugus wstąpił w śluby małżeńskie i w jednym z najstarożytniejszych zamków francuskich połączył herby Jagiellonów z herbami niewiem jakimi — ubrany, sprowadzony do ślubu przez swatkę guwernantkę, która go do tak szczęśliwego celu doprowadziła, wszakże nie bez szwanków na drodze. Lada chwila czekam, że panna Lolla odpowie podobnem echem Petersburskiego żurnalu, na echo, które to małżeństwo w Paryskich ogłosiło. Kłaniam Panią.

Pornic, d. 18 lipca 1844 r.

IX.

Paryż, Ponthieu 30. 1845, 18 styczeń, n. s.

Przeczytawszy drogi list Pani, nazwałem Panią wobec duchów, które mnie otaczają, *wielką kobietą*. Wyrażenie to niezwykle może rozśmieszy, bo w całej Europie nie było dotychczas potrzeby takiego słowa, a odznaczające się dowcipem lub sentymentem damy nazywano sławnymi — wielkość jest zupełnie różną od sławności, a wielkość kobieca jest jakąś rzeczą serdeczną, a tak posagową i ciężką, że nawet pani Sand upadłaby pod ciężarem takiego płaszcza ze złotej lamy i zobaczywszy się tak ubraną w zwierciadle, obaczyłaby całą śmieszność sławy kobiecej. Plutarch opisuje matkę Grachów, że ta po śmierci obu synów utrzymywała w Rzymie dom świetny, otwarty, dom pełny zawsze sławnych ludzi. Plutarch powiada, że ta kobieta, dla której świat stał się zupełną pustynią, bez żadnej przyszłości, bez echa żadnego, otoczona ludźmi różnego rodzaju i miary, z największą spokojnością opowiadała im różne szczegóły z dzieci swoich dziecinnego żywota, a jeszcze spokojniej, jeszcze z miłszym na twarzy uśmiechem, śmierć synów swoich opowiadała, tak dalece że ją niektórzy o nieczułość i twarde serce posądzali; ale powiada Plutarch, że źródłem tej spokojności była wielkość i piękność serca, które biło w piersiach smętnej Rzymianki. Tę wielkość więc Plutarch czuł i odmalował, ja czuję także w Pani, ale odmalować nie mogę.... W tym ranku mroźnym nowembrowym, obaczyłem czarną postać Pani, niby większą, na horyzoncie pól czarnym wrzosem pokrytych, wobec tych firanek złotych i srebrnych, które aniołowie podnosili na niebie i niby na wałki zwijali.... Widzę blask złoty straszego słońca i twarz Pani oświeconą, i oczy i usta wpół otwarte, strój nawet Pani jakiś ciemny, obszerny, w złote łamiący się fałdy, i pytam się, jaki to żurnal poradził Pani krój i kolor tej

sukni, w której mi się Pani pokazałaś w Paryżu? Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcza z błyskawicy wschodniej nie wdziawał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić.... Dzięki za ten obraz! — dzięki także za tę myśl Pani o smutnym gdzieś człowieku, który na druidycznych kamieniach leży twarzą także do wschodzącego słońca obrócony — dzięki Pani! że zamiast szukać go myślą po błotnych ulicach Paryża, poszłaś o kilkadziesiąt mil dalej, nad morze grające, na smętne pola, gdzie on siedzi na białych kamieniach i drży jakąś krwawością ciemną podziemnych i przedpamiętnych ludzi. Na tych kamieniach zostawiłem jedną z najpiękniejszych postaci, kiedykolwiek oczom moim zjawionych, prawdziwą Normę, prawdziwą Adalgizę: słuchaj Pani jej opisu.... Raz przy zachodzie słońca.... na tym kopeu druidycznym, z którego świat widać okrągło i puśto na wszystkie strony, opasany przez pół węzłem błękitów morskich — dopaliwszy cygara, upiły wonią tamarynów i chwastów, które mi u głów i nóg rosły.... dwa kuszcze zielone, cyprysowym krzakom podobne, — zamknąłem oczy i myślałem, że prawdziwie jestem już jako Malboroug w piosence umarły, ale niezapomniany.... Otóż, gdy z tego snu i letargu oczy otworzyłem na nowo, słońca już nie było nad morzem, tylko długa i smętna wstęga purpurowa łuny ciągnęła się na zachodzie, a między tą łuną i oczyma mojemu.... postać sylficzna Druidessy, trochę biedna, trochę żebracka, ale cudownie ładna.... i kształtna.... zwłaszcza włosy jej, włosy złote, lekkie jak pajęczyna, w jedną stronę wiatrem morskim odwiane, jak struny harfy ossyanicznej, a pod nią.... dwa półmiesiące z gwiazd, to jest chodaki ogromnemi świekami w półmiesiące podbite, które, ku zachodniemu blaskom obrócone, prawdziwie paliły się meteorycznym blaskiem. Teraz więc Pani z tych chodaków wniesiesz, że to była prosta chłopka, którą ja przez egzaltację moją podniosłem i uczyniłem ja-

kaś poetyczną figurą. Sądząc tak, bardzo się Pani droga omylisz.... Ciało tej dziewczynki dziesięcioletniej było prawdziwie pastusze, ale duch i ducha tego głos, melancholia, delikatność, przeczucia, uczucia, reminiscenye, przenikliwość i mistyczność świadczyły prawdziwie o królewskim pochodzeniu, w prostej linii od Normy i Adalgizy.... Ona mi mówiła o węzach w złotych koronach, które siedzą pod tym kamieniem, na którym ja siadywał, a jam czuł pod sobą tętno i śpiewanie, i świst straszego królestwa. Nazwisko jej było proste, a jednak było dla mnie najbardziej czarodziejskiem imieniem na świecie.... Raz zastałem ją układającą ofiarę z małych błyszczących kamieni; ofiara była słońcu czyniona, bo te kamienie paliły się, jak węgle rozżarzone w jej rączkach. I nie myśl Pani, żeby ta dziewczyna naśladowała lud tameczny, albo się od kogo myśli swych nauczyła.... lud albowiem nie wie, czarne są chłopcy — orangutanom podobne, a Woltera duch w karczynach i szynkach panuje, wygnawszy zupełnie Fausta i wszelkie Druidyczne wspomnienia. Dziewczyna ta więc była sama z siebie poezją.... z nią kilka wieczorów przegwarzyłem, a czasem do łez rozczulony, bo ona mi opowiadała czasem swoją mękę na ziemi, to lato na pracę przeznaczone, a zimę jeszcze gorszą.... Żeby zaś Pani dać miarę delikatności jej domyślnej, przytoczę tylko jeden fakt z rozmowy. Widząc, że pasta krowę dość chudą, chciałem dowiedzieć się, czy ona jest córką domu, do którego ta krowa należy, czy tylko służącą.... nie mogłem jednak prosto o to zapytać, tak dalece królewskość jej ducha panowała nademną.... zapytałam więc nie o nią, lecz o krowę, nie pamiętam już jakim fraze-sem.... ale tak nieobrażającym jej duszy, że pewnie żadne inne dziesięcioletnie dziecko nie domyśliłoby się, o co chodzi. Ona jednak — natychmiast, jak jelonek wzdrygnęła się.... i bawiąc się niby z medalikiem złotym, który wisiał na jej szyi, podniosła drugą rękę do nieba i z dziwną melancholią odpowiedziała mi prosto na ducha pyta-

nie.... »O! Pan Bóg nie pozwolił jeszcze, abym ja obcym ludziom służyła!« Takie są tajemnice Norm.... które od kamieni druidycznych duchami odlecieć nie chciały.... Są to w pastuszkach dumne i piękne dusze, które raz może spotykają człowieka, z którym się rozmówić mogą.... a widząc go, przychodzą śmiało — z prostotą gołębi — siadają przy śpiącym, czekają aż oczy otworzy. Mówią do niego, jakoby go brały na świadectwo, że wiedzą czem są i odchodzą spełnić swój żywot biedny i pracowity.... Nie śmiej się ze mnie Pani, proszę, ani posądzaj o żadną egzaltację wymuszoną i Sternostwo angielskie, głupio sentymentalne. — Ta mi dziewczyna była nauką — i pokorniejszy wstałem z tych kamieni, niżem był, gdy się na nich, jak marmurowy kto, rozciągnął. Lecz ta gołębia już dawno odleciała odemnie, a jam ją dlatego tylko w tym liście umieścił, aby spełnić żądanie Pani, i najważniejszy fakt z mego dwumiesięcznego życia nad morzem opisać.... Inne mniejsze duchy w kitajkowych sukniach z talbanami, polkujące na zapyłonych posadzkach oberży, albo na osiołkach odprawiające pełne śmiechu podróże, nie warte są wspomnienia, nie warte aby pamięć zawędrowała tak daleko....

Żadnej błahej myśli nie ważyłbym się postać do domu tego, gdzie Matka moja, wszedłszy, musiała zaraz zalać się łzami — przez Zosieczkę rozczulona.... Więc i w tej Zośce jest jakiś serdeczny aniołek, który wie, czego matkom potrzeba?... Więc to jest także fortepianistka, która z serca matczynego całe girlandy tonów wydobywa, najczystsze perłowe nuty znachodzi?... W różowej jakiejś była ta dziecinka halucynacyi, kiedy matkę moją przyjmowała, otoczyła ją wszystkim czegom się ja dotykał — pieskiem, sztambuchem.... i jakąś dziwną litością, niby matczyną, nad matką zapanowała.... To też zato kwiatek wrzосу, przez nią urwany, będzie mi świętym....

Co do Judyty, przez jedną nawet chwilę nie miałem za złe, żeś ją Pani w tem miasteczku Izraelitańskim zostawiła; owszem, tak trzeba było, a ja tylko jeszcze raz

to Pani szczerze powiem, że pisząc te rzeczy, ani razu nie miałem na myśli związku przeszłości z teraźniejszością, i teraz sam się dziwię, że jest niby jakaś czasowa okoliczność w rzeczy, która czasu mieć nie powinna. Czas więc to wszystko zatrze, co pod jego stopą prochem być powinno.... a bogdajby i ta dziecina sławą swoją, jak karmazynową firanką, zasłoniła te kilka plam na imionach w przeszłości.

Gadałem długo, a Pani poczujesz w liście, że mgła ciemna wisi nad Paryżem i od strony pól Elizejskich, gdzie mi dawniej jaśniej bywało, pędzi na ulicę Ponthieu swoje czarne kłęby z dymem zmieszane.... Nie nowego nie słyszałem — z Z. ¹⁾ zupełnie komunikację mam przeciętą jego miejscem pobytu, położeniem, a może też przez Fatum dawne, które stanęło pomiędzy nami. Sądzę jednak, że mi to serce nie uderzy fałszywie. Aleks. P.... wyjechał do Rzymu, także trochę, jak mi się zdaje, na Z. zażalony. Proś Pani Boga, aby wrócił nam dawny dzień jasny, w którym-by te wszystkie półcienie zniknęły, bo teraz wszystko na winę czasu złożyć możemy, — jam temu przypisywał długie milczenie Pani względem najwierniejszego ze smutnych i niepotrzebnych przyjaciół.

Jul.

¹⁾ Zygmunt Krasiński.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.

SPIS RZECZY

w tomie trzecim zawartych.

Str.

Rozdział XV.

Rozbiór Lilli Wenedy. — Dany w niej obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowej? Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie »przekleństwa«, skazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiej jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum-Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na której dramat osnuty. Czy jej wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi. I

Rozdział XVI.

Druga połowa roku 1842 i następne lata aż do 1847. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika Bożego. Zawiązanie się Koła jego zwolenników. —

Stosunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niej autora Przedświt. W roku 1842 Słowacki przystępuje do Koła — jego korespondencja z matką i z Krasińskim. — Zerwanie się między nimi przyjacielskich stosunków. — Stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — waśni i utworzenie sobie osobnego Koła.

Str.

33

Rozdział XVII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Książd Marek — Sen Srebrny Saiomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natychmiast — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha.

77

Rozdział XVIII.

Dalszy ciąg rozpoczętej materii. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król Duch — wykład pierwszych rapsodów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza »Do autora trzech Psalmów« — okoliczności chwilowej towarzyszące — stosunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane. . .

113

Rozdział XIX.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczęśny Feliński. — Wiosna roku 1848. — „Konfederacja“ — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z ma-

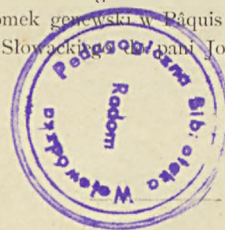
tką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Uspokojenie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicji na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament“.

Str.

189

Dodatki do trzeciego wydania.

I	Urywki z listów pani S. Bécu-Słowackiej do A. E. Odyńca	233
II	Uzupełnienia z dzieła A. E. Odyńca	243
III	Uzupełnienia z dwóch świeżo odszukanych autografów Juliusza	252
	O jego romansie francuskim	252
	Dzienniczek podróży wschodniej	253
	Noc nad grobem Chrystusa	256
	Szczegóły co do poematu „Podróż Wschodnia	256
	Kiedy? gdzie? i pod jakim tytułem był ten poemat pisany	263
IV	Uzupełnienia tekstu niektórych poezyi pozgonnych	266
	O stosunku Słowackiego do Młodej Polski	267
V	Eglantyna i domek genewski w Pâquis w dzisiejszym czasie	273
VI	Listy Juliusza Słowackiego do pani Joanny Bobrowej . .	280



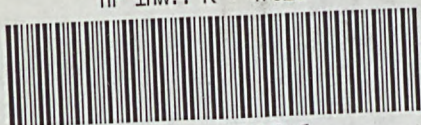
47926



Item



Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 47926



BGZs 47926